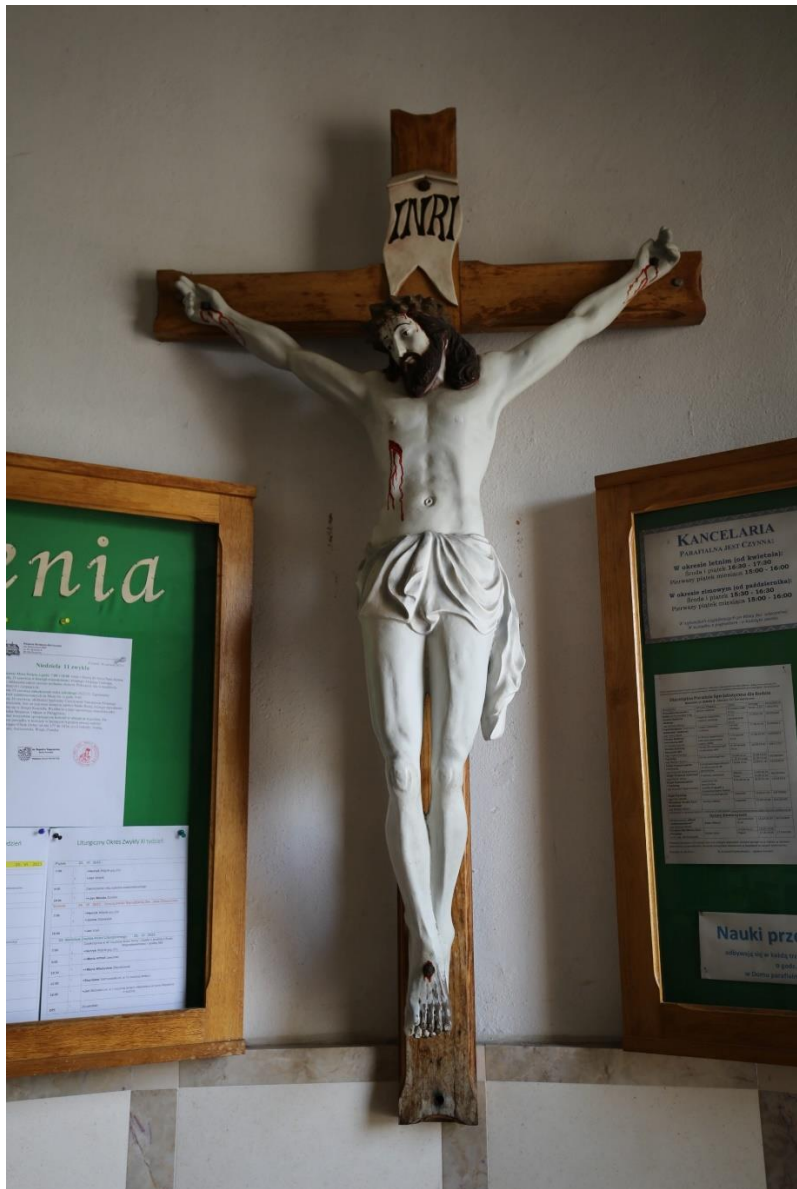


Marcin z Frysztaka



## Więzienna cela w sercu słów złodzieja



## #14/14 Słowo wstępne.

Kim jest słów złodziej. Bandytą. Oszustem. Hochsztaplerem. Kłamcą. Buntownikiem. Czy zwykłym złodziejem. Na zwykłego nie wygląda. Zwykły do niego nie pasuje. Skąd się biorą tacy ludzie. Taki się urodził, czy stworzyło go społeczeństwo. Wyrzuciło na margines i nazwało marginesem. Nie chcemy Cię znać. Nie chcemy się kolegować. Życie jest za krótkie aby się w nim chować. Słów złodziej rozumie. Słów złodziej umie. Zamienić w złoto, to czego nie da się wymienić. Podmienić słowo za słowo. Myśl za myśl. Oszukać, że ta zabrana nic nie warta. W zamian masz myśl samego czarta. Albo niby twoja. Myśl autorska. Ukradzioną. A w zamian zostaje rozpuszczona żona. Czy warto jest myśli swych pilnować, zapytasz. A może myśli swe ubezpieczyć. Może tradycją jest, że myśli znikają. Tylko nieliczne w słowa się przemieniają. Tylko nieliczne żyć przestają. Ukradzione, albo, które same uciekły. Ubrudzone, albo które dzieci zamietły. Przy sprzątaniu pokoju. Przy sprzątaniu własnej duszy. Myśli nie zajm. Nie strzelaj do nich z kuszy. Nie denerwuj. Nie wyrzucaj im, że samotne. Drugiego dania nie serwuj, gdy nie było pierwszego. Jedzenie nocne. Doznania mocne. Słów złodziej zna sposoby pomocne. Aby być dobrym w swoim fachu. Aby znów dokonać zamachu. Na dobro osoby. Oraz dobro wspólne. Dni są pogodne. Albo noce pochmurne. Słowa się nie wykluczają. Słowa się dobrze mają. Jedno na drugie patrzy. Jedne od drugich ściągają. Na egzaminie z życia. Na teście ze słów bycia. Aby rozpoznać samego. Siebie jedyne. Czy jest się naprawdę. Czy poznało się prawdę. Czy takim się pozostanie. Umyj słowo nad ranem. Wyszoruj je szczoteczką. Wyczyść dobrze niteczką. Namów na pakiet rodzinny. I nie mów o nim winny. Każdy ma bowiem gorsze chwile. Słowo jak słowo. Co chwile. Myśli o tym i o tamtym. Zastanawia się nad sensem. Zastanawia się nad wartym. Rozpoczęcia i zaczęcia przedsięwzięciu. Co dodaje uroku dziecięciu. Co utuli malucha, ogrzeje. Ja mówię, a anioł się śmieje. Anioł mówi, że nie zrozumiesz niczego z tej mowy. Ja odpowiadam, że nie docenia słowa, słów i słowy. Jednymi słowy podzielił anioł na połowy. Ludzi na wiem i nie chcem. To jak będzie z Tobą. Wiesz, nie chcesz, czy zadowolisz się ozdobą. Pozwolisz by anioł się śmiał dalej. Czy zamiast rosnąć zdecydujesz się mały, mniej, malej. Ja już aniołom nie do końca wierzę. Myślę tylko, aby się pośmiać. Aby wywinąć numer. No dobra. Czasem uwierzę. Gdy sam na sam mam ochotę z nim zostać. Gdy czuję, że muszę się wygadać. A nie chcę się skradać. I szukać słuchacza. Co na prostej zawraca. Anioł nie ucieka. Anioła się nie trzeba bać. Anioł się tylko śmieje. I woła, Twoja mać. Trzymać słowo. Nie puścić. Słów złodziej to wie. Że gdy trzymasz schowane. Słowo nie zbije się. Z czasem dorośnie, zmężnieje. Słowo zmieni się. Słowo trzeba wychować. Słowo kocha i wie. Że jego przeznaczeniem jest tworzyć. Jego zadaniem jest być. Drzwi do prawdy mu musisz otworzyć. I patrzeć jak zaczyna tyć. Słowo szanuje każdego. Chyba, że złe jest na siebie. Słowo pomoże każdemu. Nawet jeśli leży na glebie. Nie każdy rozumie działanie i życie słowa. I po to jest ta książka. Co dzieli słowa jak mowa. Na ważne i ważniejsze. Na istotne i istotniejsze. A wszystko to polane sosem. Wolnych myśli co się pokłosism. Wyzwolonego umysłu. Wolno biegającej duszy. Kiedyś to zrozumiesz. Jak zamkniesz na hałas Twoje uszy. Kiedyś będzie Ci dane uwierzyć. Że warto jest żyć i przeżyć. Życie swoje szczęśliwie. Ze słowem swoim, które lubi historie cklive. Wykorzystaj więc swój czas. I swoje słowo które masz. Jedno prawdziwe. Jedno wiecznie żywe. Które trzeba pilnować. Przed złodziejem schować. Nie każdy jednak się tego boi. Złodziej nie okradnie złodzieja. Złodziej słów to nadzieja. Że przetrwamy. Że ze słowami się pożegnamy. I zrozumiemy, słów tych plany. Nie planuj więc za słowa. Nie

organizuj im życia. Pozwól im oddychać. Mają długą drogę do przebycia. Uszanuj ich odmienność. Uszanuj ich wolną wolę. Słowa czasami wybiorą Ciebie, a innym razem swawolę. Niektóre zostaną złapane. Inne w kredensie schowane. Jeszcze inne nie szanowane i perfidnie skopane. Ty skup się na jednym. Słowie które tworzy. Ty skup się na tym. Które wiarę przysporzy. Które pozwoli zrozumieć. Które pozwoli umieć. Być i żyć bez troski. Wyciągnąć z oddychania wnioski. Wyciągnij wniosek z oddechu. Wyciągnij wniosek ze śmiechu. Słowo jest tylko jedno. Nawet gdy nie ma bezdechu. Słowo jest tylko jedno. Nie wypatruj słów kresu. Tylko zrozum odmienne, podejście słów do interesu. Poznaj słów złodzieja. Poznaj niezwykłego kradzieja. Co sobie wymarzył słowo. I za nim poszedł. Co go spotkał i za daleko zaszedł. Poznał tajemnicę. Słowa. Poznasz i Ty. Jeśli czysta Twoja głowa. Czytaj i zrozum jak słowo jest zbudowane. Czytaj i sam sobie odpowiedz, czy słowo może być Ci zabrane. Kto jest złodziejem a kto twórcą nich. Opowieść ta powie historię tych. Którzy wiedzieli, którzy się stali. I ze słowem swe życie związali.

Mark S. White

## **PRZEMYŚLENIE**

Słowo nie zastanawia się  
Nad sensem istnienia

Słowo patrzy i wierzy  
Że nic się nie zmienia

Że wzlecieć może w górę  
Że dotknąć może chmurę

Ci, którzy słowo poznali  
Już się z nim nie rozstali

## Więzienna cela w sercu słów złodzieja

1 list

23 października, 5 roku odsiadki

Drogi Dreyfusie,

Jestem słów złodziejem. Wpadłem. Bo nie znałem umiaru. Wpadłem, bo kradłem jak leciało. Słowo po słowie. Nie ważne jakie. Dobre, czy złe. Brzydkie, czy ładne. Bez znaczenia. Brałem wszystkie. Jak leciało. Brałem, bo chciałem. Brałem bo byłem głody. Słowa. Nienasycony. Nie znałem umiaru, ani rozmiaru. Czasami urządzałem na słowa zasadzki. Czasami łapałem je na łapki. Innym razem kopałem doły. Wpadały do nich. Bo się nie bały. Niczego się nie spodziewały. Dół zakryty. Idzie. I bach. Jest. Złapane. Kolejne słowo do kolekcji. Moje. Tylko moje. Z nikim się nie dzieliłem. Pracowałem sam. Kradłem w pojedynkę. Nie było dla mnie ważne ile czasu trzeba czekać. Jak dużo pracy włożyć. Jak dużo cierpliwości. Byłem gotów. Byłem pełny zapału. Chęci do złodziejskiego procederu. Wpadłem głupio. Jak to się zazwyczaj wpada. Chciałem za dużo. Za szybko. Zbyt łatwo. Tak to jest jak człowiek się rozszaleje. Myśli, że sprawiedliwość go nie dopadnie. Myśli, że jest nie do zatrzymania. Taki mądry. Taki sprytny. Potrafi wszystko. Oszuka każdego. Byle tylko dopaść kolejne słowo. Smaczne. Soczyste. Takie miłe. Niewinne i bystre.

Ale dobre się skończyło. Trafiłem za kratki. Do więzienia. Do celi. Smutno tak. Już piąty rok. Leci. Trwa. A ja nie wiem. Jak wytrzymam kolejne 7. Bo tyle mi zostało. Bo tyle muszę zapłacić. Czasu. W więzieniu czas jest walutą. Można za niego kupić. Można za niego sprzedać. Dostaje się go w nagrodę. A traci się czas za karę. Czas tutaj jest bogiem. Lepiej z nim nie zadzierać. Lepiej go nie oszukiwać. Żle się na tym wychodzi. Czas pamięta długo. Kto, co i dlaczego. Nie interesują go motywacje. Tylko sam czyn, taki czy owaki. Nie zaprzyjaźnisz się z czasem. Nie zakochasz się w nim. Nie licz na ślub i dzieci. Psa i obowiązek wyprowadzania. Czas nie szuka bliskości. Ma jej aż za dużo. Aż mu uszami wychodzi. Więzienie nie byłoby więzieniem bez czasu. Czas nie byłby czasem bez więziennej celi. Nie miałby takiej siły oddziaływania. Nie miałby takiej mocy. Jest jak jest. Trzeba się przyzwyczaić. Do rządów czasu. I braku pomocy. Poza czasem w więzieniu panoszy się siła. Jest ważna. Więzienie ją promuje. W więzieniu czuje się jak u siebie. Nie szuka towarzystwa. Szuka za to zwady. Chce pokazać, jaka jest ważna. Ile potrafi. Jak rządzi. Jakie ma znaczenie. Siła zmienia ludzi. Ta pierwotna. Połączona z agresją. Z ego. Z brakiem szacunku do drugiego człowieka. Z brakiem szacunku do samego siebie. Silny znaczy szanowany. Przez współwięźniów. Przez klawiszy. Silni mają najłżejsze prace. Silni mają ludzi na posyłki. Silni mają w więzieniu często więcej i lepiej, niż mieli na wolności. Siła niczego się nie boi. Słabość boi się nawet litości.

Miałem dziś sen. Zdarzają mi się takie sny. Dziwne. Różne. Po których gryzie mnie w środku. Zastanawiam się co i po co. Skąd ten sen. Dlaczego ja. I co on zmienia. Czy zmieniam się ja. Dziś w nocy odwiedził mnie anioł. Czasami przychodzi i mi coś pokazuje. Dziś zabrał mnie na plażę. Było pochmurnie, ale ciepło. Plaża była pusta. Bez ludzi. Spacerowaliśmy tak w ciszy.

Dobre 20 minut. Aż w którymś momencie na czymś stanąłem. Podnoszę nogę a to bursztyn. Mleczno-żółty. Sporawy. Na co anioł do mnie mówi, co to za komar, który został zalany przez żywicę. Jeszcze się rusza. Żywica powoli twardnieje. Komar ma ciągle nadzieję. Myśli że się wydostanie. Jeśli się postara. Jeśli będzie szybciej machał skrzydełkami. A żywica wciąga coraz bardziej. Anioł prosi o bursztyn. Podaję mu go. Anioł przygląda mu się przez chwilę. Po czym wkłada mi go do ust i każe połknąć. Połykam i budzę się zlany potem. Po aniele ani śladu. Brzuch nie boli po zjedzonym bursztynie. Zobaczmy. Zastanowimy się. Ja i komar. Anioł, wie, ale szkoda go nawet pytać. Nie powie. Tak to jest z aniołami. Chodzą swoimi ścieżkami. Piszę i jem. Jedzenie jest dobrym momentem do rozmowy. Jeśli je się z kimś. Albo dobrym momentem na pisanie. Jeśli je się samemu. Dziś jem sam. Mój kolega z celi pracuje. Akurat dziś go nie ma. Karminę nas tu dobrze. Dziś mam panierowany filec drobiowy, ziemniaki i sałatka brokułowo-paprykowa. I herbata. Fusiasta. Nie z torebki. Lubię mocną herbatę. Więc jestem zadowolony.

Czasami się zastanawiam. Jak się zmienił świat przez te pięć lat. Jak bardzo się jeszcze zmieni przez kolejne lata mojego pobytu tutaj. W więziennej celi. Czy poznam stare miejsca. Ludzi, których znałem. Budynki, które widziałem. Czy życie za murami na mnie czeka. Czy już zapomniało. Czy przywita mnie z uśmiechem. Czy tylko machnie ręką i odejdzie w swoją stronę. Czy życie jeszcze przede mną, czy już życie stracone. Zobaczmy. Czas pokaże. Życie sobie a ja sobie. Życie maże a ja marze.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **1 odpowiedź Dreyfusa**

Anioł chciał dobrze ze snu twego  
Abyś zachował nadzieję kolego

Abyś pamiętał to co jest ważne  
Abyś nie stawiał kroków nierozważnie

Myśl o komarze  
Co dla niego dobre

Gdzie mu będzie lepiej  
Na świecie, czy tam gdzie noce chłodne

Komu wytłumaczy i opowie  
Historię swoją

Kto go posłucha i zrozumie  
Że wie ten, kto umie

Nie bój się siły  
Nie ulegaj troskom

Siła kołysze się na trzepaku  
Jej upadek jest rzeczą Boską

Świat się zmienia, pędzi leci  
Gdzie doleci, bez swoich dzieci

Czy zrozumie co jest w cenie  
By świat nie wylądował na przecenie

Trzymaj się bracie, myślę o Tobie  
Tych kilka słów przekazuję Tobie.

Na pocieszenie. Abyś się nie nudził.  
Zrozum i się nie zaniedbuj. Lepiej abyś się trudził.

**2 list**

**9 listopada, 5 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Zastanawiam się czasem nad ideą więzienia. W mojej ocenie więzienia rzadko resocjalizują ludzi. Bardziej utwierdzają w przekonaniu. Że jest się przestępcą. Odbijają się w sercu. Czkwaką, na którą woda nie pomaga. Więzień sam siebie uważa za wyrzutka. Za gorszego od reszty. Za tego złego. Więźniowie mają odbyć karę i wrócić odmienieni na łono przyrody. Hasać wolno i radośnie. Zaprzyjaźnili się już jednak ze złem. Przyciągnęli go. Służą mu. Jeśli kieruje Tobą zły, nie będziesz szczęśliwy. Nie będziesz cieszył się wschodem słońca. Nic nie będzie Cię cieszyło. Życie będzie Cię straszyc. Zmuszało. Abyś go przeżył. Bez przyjemności. Z konieczności. Służyć złu to czuć się okropnie. To tak jakbyś chodził z gorączką. Cały czas. Czujesz, że jest źle. Ale brniesz w to. Głębiej i głębiej, aż się topisz.

W więzieniu można pracować, albo się obijać. Ja z pięciu lat przepracowałem około trzech lat. Aktualnie nie pracuję. Może do tego wrócę. Praca sprawia, że szybciej leci czas. Ale jak czytam książkę. Lub ćwiczę na siłowni. To też szybko czas ucieka. Dwa, czy trzy dni temu byłem na zajęciach z jogi. Połączonych z medytacją. Przyjechali prowadzący z zza murów więziennych. Można się poczuć jak na wolności. Można spróbować nowych rzeczy. Poszukać samego siebie. Ja siebie ciągle szukam. Ciągle się staram znaleźć. Na wszystkie sposoby. Czasami wydaje mi

się, że jestem blisko. Czasami mam wrażenie, że już prawie się znalazłem. Aby po chwili stwierdzić, że to nie ja. Że jestem od odnalezienia się całe dekady. Fatalnie.

W celi mam jednego współwięźnia. Lucjan. Ma 19 lat. Wpadł na kopiowaniu obrazów i sprzedaży jako oryginały. Podrabiał idealnie. Ciężko było się potąpać. Ale się potąpali. Zawsze znajdzie się, ktoś kto zauważy różnicę. Albo nieścisłość w liczbie oryginałów na rynku. Czasem pracuje w pralni. Pomaga za grosze. Prosty, fajny chłopak. Można z nim pogadać. Czasami gramy w szachy. Czasami opowiadamy o tym co będziemy robić jak stąd wyjdziemy. Innego dnia zastanawiamy się jakie kraje zwiedzimy. Co zobaczymy. Ile wydamy pieniędzy. Ile zakosztujemy nędzy. Dobrze mieć takiego kumpla. Niezepsutego. Niezniszczonego światem i latem. Który nie podważa wszystkiego. Nie mówi, że wszystko złe. Który wie co powiedzieć. Wie jak pocieszyć i z wielu rzeczy się cieszy. Wiele go śmieszy.

Dziś jemy razem. Z Luckiem. Podano do stołu. Gołąbki w sosie pomidorowym. Dwa. Uczta dla języka. Lucjan zachwala jedzenie. Słowa, słowa, słowa. Jest co kraść. Nawet nie zauważył, że zabrałem. Nie zauważył, że słowa znikły. Schowałem do kieszeni. Oglądnę wieczorem. Wsłucham się w nie w nocy, gdy Lucek będzie już spał. Kolejne do kolekcji. Kolejne trofea. A na ścianie ciągle miejsce na kolejne. Ciągle ciągnie mnie do fachu. Złodziejskiego. Nie mam innego. Nie znam lepszego. Trzeba brać jak są. Słowa są całym mną.

Piszę bo miałem kolejny sen. Z tych dziwnych. Z tych z aniołem. W rogi głównej. W zasadzie nie wiem kto w tych snach jest ważniejszy. Ja czy anioł. Kto dla kogo robi. Kto komu służy. Wszystko się jakby zlewa. Miesza i buzuje. Wszystko żyje. I kotłuje. Byliśmy na jeziorze. W łodzi. Jak wiosłowałem. Odwrócony. Na przedzie łódki siedział anioł. Kazał się zatrzymać. Przestać wiosłować. Przestałem. Uderzyła mnie cisza. Nie wiem jaka była pora roku. Na pewno nie zima bo było zielono. Ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Pora roku nieokreślona. Cisza podkreślona. Anioł wychylił się z łódki. Włożył rękę do wody i wyciągnął małą rybkę. Podał mi i mówi, żebym ją zjadł. Powiedziałem, że nie jadam surowych ryb. Anioł odpowiedział, że ta ryba po to się urodziła. Po to żyje, żeby jej życie połączyło się z moim. Żeby śmierć podtrzymała życie. Żeby życie pokonało śmierć. Odpowiedziałem, żeby sam żarł surowe ryby i wróciłem do wiosłowania. Po chwili się odwróciłem. Anioła już nie było. Na miejscu na którym siedział leżała mała fujarka z trzciny. Podniosłem do ust i zagrałem. Gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki zerwał się mocny wiatr. Na jeziorze zebrała się potężna fala. Zalała i przewróciła łódkę. Nałykałem się wody i otworzyłem oczy. Lucek pytał co mi się śniło, bo krzyknąłem. Podobno. Mówię, że grałem na fujarce, ale jezioru się to nie spodobało. Podsumował mnie, że jestem dziwny. Może. Pytanie tylko czy to dobrze, czy źle. Być dziwnym. Być innym niż reszta. Niż większość. Być takim jak większość to gwarancja spokoju, czy gwarancja niepokoju. Kto ustala co jest odchyleniem od średniej. Kto postawił margines. Który można przejść, albo przeskoczyć. Kto o tym wszystkim decyduje. Politycy, biznesmeni, żydzi, a może księża. Kto rządzi całym tym bałaganem. Jestem pod, nad, czy za nim. Dobrze jest wiedzieć. Ale jeszcze lepiej nie wiedzieć. Bo wiedza ma swój ciężar. A mądrość to już ciężarówka. Co ciężary wozi. Ale niewielu ma prawo jazdy. Niewielu jest odważnych, którzy nie boją się taką wielką furą manewrować. I żeby się przy tym nie okidać. Ja staram się uważać. Na ile się da. Na ile pamiętam o zakrętach. Wychodzi jak wychodzi. Robak to na rybę przynęta.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **2 odpowiedź Dreyfusa**

Bo grać na fujarce to trzeba umieć  
Nieodpowiednie dźwięki podnoszą zamieć

Nieodpowiednie słowa niszczą i zdeptują  
Nieodpowiednie myśli mądrość wymazują

Uważaj co mówisz, uważaj co myślisz  
Bo swoje drugie życie sobie wyśniesz

Niechący powstanie alternatywa prawdziwego  
I zostaniesz w rozkroku, jak na posyłki złego

Trzeba było brać co dają  
Zjeść rybę a nie zajmować się fujarą

Porozmawiać z aniołem  
Wypytać go co dobrego

Dowiedzieć się jak sypia  
Jak żona, co u niego innego

Niż zwykle, niż szara codzienność  
Choć codzienność bywa lepsza niż odmienność

Choć codzienności zwykle nie doceniamy  
Nie chce nam się z nią gadać i się zamieniamy rolami

Ja robię za nią, ona robi za mnie  
Nieoczekiwana zmiana ról karmi ładnie

Tylko kida się codzienność przy jedzeniu strasznie  
Jak dziecko co nie lubi zupki, bo jest be i kwaśne

Bo nie gra arii na podniebieniu  
Bo życie to nie aria, tylko w polu robienie

Ciężka praca, mała płaca



W grobie rodzina się przewraca

Kiedy widzi jak nic nie robisz  
Że słonym cukrem sobie życie słodzisz

**3 list**

**22 listopada, 5 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Ty już możesz wszystko. Nic Cię nie ogranicza. Nie wiesz co to bariery. Nie wiesz co to zamieszanie. Aby być lepszym. Ciągłe na pierwszym planie. Nie gonisz za modą. Za nowością. Za złotem. Możesz sobie pozwolić na relaks. I cieszyć się lotem. Możesz pozwolić sobie na życie. Zdradź sekret. Wiecznego szczęścia. Uśmiechu co o nic nie prosi. Zdradź sekret wybuchu wulkanu, aby poza wulkanem nikt nie zauważył, że eksplodował. Powiedz jak zdobyć szczyt, aby góra nie zauważyła zdobywcy. Jak złowić rybę, aby ryba nie wiedziała, że została wyciągnięta z wody. To są do prawdy przeszkody. Aby ją zobaczyć. Aby się jej nauczyć. Zrozumieć. Wiedzieć jaki wzór jest na jej obliczeniu. Jakie są szanse, że prawda to nie złudzenie. Nie chowaj tajemnic przede mną i przed światem. Lepiej się podzielić, aby świat wzbogacić. Lepiej się podzielić aby nic nie stracić.

Z Lucjanem rozmawiałem dziś na temat braku problemów. W więzieniu. Że nie trzeba się martwić o ceny produktów w sklepach. Nie trzeba się zastanawiać jak i gdzie kupić węgiel i drzewo. Aby ogrzać w zimie dom. Aby przeżyć. Nie trzeba gotować. Wszystko podane. Nie trzeba prasować, ani ciuchów kupować. To spore ułatwienie. Uproszczenie. Pomaga. Zniewaga. Dobrze jest gdy wszystko jest. Albo może lepiej samemu. Może w tym tkwi piękno życia, aby stawiało przed nami wyzwania. Trudności. Bez względu na rokowania. Żeby piękno pokazywało swoje piękno wewnętrzne. Ale żeby było wewnątrz musi i żyć na zewnątrz. Nie ma tak, że tylko w jedną stronę. To handel wymienny. Ozdoba świeci w każdą stronę. O ile ktoś patrzy. O ile jest światło. A nawet jak nie patrzy. Dalej po dwa, jest trzy.

Patrzę na zegarek. Z białą tarczą i czerwonym sekundnikiem. Wskazuje 14. A obiadu jeszcze niema. Czekam. Zegarek zostałem od żony. Żony już nie ma, zegarek został. Żona mnie zostawiła po tym jak okazało się że kradnę słowa. Gdy się dowiedziała. Nie wytrzymała jej głowa. Wstyd na całą rodzinę. Wstyd na wszystkich znajomych. Słowa ważniejsze od człowieka. Potrzebniejsze. Lub znikome. Niech żyje po swojemu. Ze swoimi pół-słowami. Ze swoimi pół-gestami i nerwowymi tikami. Każdy żyje jak chce. Nie można nikogo zmuszać. By kochać. By ufać. By liśćmi poruszać. By być jak wiatr co pokazuje ruchowi jak to się robi. Być jak ruch, któremu z wiatrem się powodzi. Nie musi się starać. Nie musi się męczyć. Wiatr robi za niego całą robotę. Niech wiatr się męczy.

Podano obiad. Stuknąłem się szklanką z kompotem. Lucjana. Tradycja jak amunicja. Problem gdy jej brakuje. Jak jest to się nie docenia. Bo ma być. Bo nie wyobrażamy sobie, żeby jej zabrakło. A niektórzy od tradycji uciekają. Myślą, że wiedzą. Myślą, że mają. Lepszy zamiennik. Nowoczesność. Wszystko jednakowe. W chińskiej fabryce z plastiku odlane. Wszystko podobne. Człowiek do człowieka. Podobne słowa. Podobne ciuchy i fryzury. Podobne

zainteresowania i mówią o sobie, niezależni. Undergroundowi. Inni niż inni. Głupoty niewinni. Takich słów nie kradłem. Takie mnie nie interesowały. No może czasami. Ale się brzydziłem. Między wersami. Jedzenie. Na zielonym plastikowym talerzu. Jemy zielonymi sztuccami. Także z plastiku. Żeby nie pociąć siebie, lub kompana. Taka zamiana. Na obiad karkówka w sosie. Z kopytkami i sałatką. Przypomina mi się przedszkole. Podobnie karmili. Smaki dzieciństwa. Aż łza w oku się kręci. Lucek opowiada, że czeka na przesyłkę. Rozmawiał przez telefon z dziewczyną. Jakieś papierosy, słodycze. Dżemy. Dobrze, że się cieszy. Dobrze, że ktoś o niego dba. Lepiej jak dbają, niż jak kamieniami rzucają. Obiad pozwala zapomnieć, że jesteś w więzieniu. Mózg informuje umysł o zadowoleniu. O smaku na podniebieniu. O tym że brzuch się napętnia. I o tym, że Twój kolega ma tak samo. Ani lepiej. Ani gorzej. Jecie z jednego gara. I kończycie wyprawę jedzenia na jednej toalecie. Taka komuna. Coś na wzór. Moralności bez kości.

Sen. Znowu opowiem bo miałem. Bo był. Żył. Swoim życiem. Lub moim życiem. Po swojemu. Trudno mu się dziwić. Wszystko chce żyć, to sen także. Tym razem budowałem z aniołem dom ze szkła. Cały szklany. Zamiast cegieł szklane panele. Skręcane śrubami. Niektóre. Inne na kleju. Nawet podłogi ze szkła. A pośrodku ja. Zakończyliśmy pracę. Dom gotowy. Usiedliśmy na szklanej sofie i czytamy gazetę. Chwilę ja. Chwilę anioł. Gazeta jedna. Nas dwóch. Nagle zeszli się ludzie. Z aparatami fotograficznymi. Z komórkami. I robią zdjęcia. I kręcą filmiki. Nie widzieli jeszcze takiego domu. Życie nie dają. Wpraszają się do środka. Bez zaproszenia. Wyrzucają nas przez okno. Oszaleli. Domu dla siebie zapragnęli. Chcieli być w centrum. Chcieli dla siebie. Ale nic z tego. Przyszli nowi. Młodszy. I wyrzucili poprzedników. Ruch jak w ulu. Anioł patrzy i mówi. Kury w kurniku potrafią się dogadać. Każda ma swoje miejsce. Każda ma swój kąt. Człowiek myśli, że jest ważny. Że jest odważny. Więc bierze, traci, walczy, ponosi rany, albo staje się znany. Musi być ruch. Musi się dziać. Żeby się człowiek, mógł do siebie śmiać.

Czy sen jest tylko snem. Czy trzeba się pogodzić z tym. Wyciągnąć wnioski. Czy mieć go gdzieś. Żeby nas uczył. Przestrzegał. Czy to tylko tania rozrywka. W nocy. Jak telewizja po północy. Taki zapchaj umysł. Co istnieje, bo ma nadzieję, że się nie zestarzeje. Nie wiem. Może wiesz Ty. Może potrafisz zrozumieć co znaczą sny.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **3 odpowiedź Dreyfusa**

Sen to zakłęcie, to małe śpięcie  
To ciała z duchem zetknięcie

Duch opowiada historię ciała  
Ciało buntuje się, mówi, że nie chciało

Sny uczą, sny mówią w swoim języku  
Możesz języków znać bez liku

Ale jeżeli nie otulisz snu spokojem  
Zapomnij, że zrozumiesz go. Nie. Nawet z mozołem

Musisz swoje robić, musisz swoje działać  
A sen ma Ci pomóc. Choć to pomoc mała

A w temacie wiecznego szczęścia  
To wieczne szczęście to wieczne nieszczęście

Nie może być ciągle dobrze. Nie może być pięknie tak  
Bo nie docenisz tego co jest. Nieszczęście daje Ci znak

Daje przeciwwagę. I docenia szczęścia powagę  
Pokazuje dualność, mówi, że ceni rozagę

Pokazuje że różnie w życiu może być  
Że życie jest piękne, tak jak zerwana nić

Dalej jest nicią, dalej może się do czegoś przydać  
Możemy ją wykorzystać, albo możesz mi ją dać

Doceniaj małe rzeczy, stań się fanem drobnostek  
Doceniaj to co rośnie, wzrośnie i urośnie

Bo drobnostka nie zawsze znaczy błahostka  
A szczęście najczęściej znajdziesz na sośnie

Na jej szczycie, co trudno wspiąć się na nią  
Należyście. Patrz. Wspinaj się. I walcz. Za nią

Za to co szczęście daje, za to co szczęściem się dzieli  
Warto stawać murem, nie tylko z okazji niedzieli

Drogi Dreyfusie,

Dziś była afera. Na spacerunku. Pobicie nowego. Podobno podkablował starego. Tak to już jest z nowym, że nie przepada za starym. Nowe rozpycha się łokciami. Chce po swojemu. Nie patrzy na przyzwyczajenia starego. Nie zwraca uwagi na to do czego stare jest przyzwyczajone. Nowe musi po nowemu. Stare woli po staremu. To musi generować spięcia. To musi tworzyć konflikty. Nie da się inaczej. Trzeba zaakceptować. Stare i nowe. Różnice, które dzielą na połowę. Dobrze by było gdyby różnice łączyły. Ale wtedy podobieństwa by dzieliły. Co to byłoby za życie. Co to byłoby za świat. Że robiąc coś podobnie. Mając podobny charakter. Nienawidzimy podobnego. Uznajemy za zagrożenie. Stwierdzamy, że nam nie pasuje. Że nas psuje. Sami siebie wykańczamy. Albo za wykończeniem podążamy.

Lucjan opowiedział mi dziś historię. Swojej nauki. Edukacji lepiej brzmi. Trafniej. Jak chcieli go wyedukować, ale nie potrafili. Z marnym skutkiem. Wyrzucili go z dwóch szkół. To za to, to za tamto. Za niewinność. Prawie. Lucjan mówi, że szkoła psuje. Że oducza się uczyć, a uczy zapamiętywać. Że pokazuje, że nie warto. Że ile byś się nie nauczył, na końcu i tak liczą się układy. Kogo znasz. Co kto komu załatwi. Jaką pracę. Jakie hobby. Jaki standard życia. Wszystko to znajomości. Odnalezienie się w danej grupie. Aspirowanie do danego poziomu. Słodzenie każdemu. Nie nikomu. Mówią, że potulne ciele chodzi przejedzone. A ja wole, że dojrzałe jabłko bywa nadgryzione. Najczęściej. Przez robaka. Dlatego mam gdzieś. Robaka i ciele. Nie interesują mnie. Wolę ciągle się uczyć. Ciągle cieszyć się kolejnym dniem. Wieczny pierwszoklasista. Co za bardzo mu się podoba szkoła, żeby wagarował. Jeszcze nie zepsuty. Jeszcze nie podgnity. Ani nie zeżarty przez robaki. Wieczny pierwszoklasista. Ale kto to taki. To wolny duch, który chciałby i może. Który zaraża optymizmem, bo dobry humor pomoże. Nie ściga się. Z nikim. Bo jeszcze nie dostał numeru startowego. Nie gra z nut. Nie poznał jeszcze nut. Gra ze słuchu. Gra z serca. Z orkiestrą. Tak aby jakoś pasowało. Aby bardziej pomagać, a nie szkodzić. Wieczny pierwszoklasista musi się narodzić. Nie przychodzi się na świat jako pierwszoklasista. Trzeba do tego dorosnąć. Do głodu życia. Do głodu bycia. Aby poznawać. Aby się stawać.

Dziś znowu jem sam. Lucek poszedł na dwie godziny do pralni. A może na dłużej. Niewiele. Czerwony sekundnik pokazuje co jest. A nie co będzie. Na obiad pieczarkowe kotlety jajeczne. Ziemniaczki i sałatka colesław. Smacznie. Chociaż bez mięsa. Da się żyć bez mięsa. Da się żyć bez kęsa. Mięso przywiera do kości. A z kością nie ma radości.

Dziś miałem kolejny sen. W nocy. Z aniołem. Ciągle tym samym. Tym razem szedłem górskim szlakiem. Ja pierwszy. Za mną anioł. I zesłała lawina. Tragedia. Przysypało mnie. Zasypało. Całego. Pod śniegiem ciężko się oddycha. Czekałem. Próbowałem się odkopać. Ale rady nie dawałem. Nagle słyszę kopanie. To anioł mnie odkopuje. Łopatą. I zamiast mu podziękować złoścuję się. Pytam skąd ma łopatę. Dlaczego nie powiedział, że ją ma. Dlaczego kopie dopiero teraz. Mógł mnie odkopać chwilę wcześniej. Od razu. A tak, to musiałem się zastanawiać, czy przeżyję. Musiałem się martwić o los. Anioł nic nie odpowiedział. Tylko mnie odkopał. I pokazał ręką na szczyt góry. Po czym poszedłem w odwrotnym kierunku. Zamiast wejść na szczyt zszedłem z góry. Anioł poszedł w górę. W kierunku szczytu. I tak rozeszły się nasze drogi. I tak

się obudziłem. Pełen trwogi. Co sen ten znaczy. Ile dla mnie znaczy. To się zobaczy. Albo się zrozumie. Zrozumiem dokładnie tyle. Ile umiem.

Co myślisz o lawinie kolego. Co znaczy. Coś dobrego czy złego. Co daje na szczyt wejście. A co oznacza ze szczytu zejście. Tyle pytań. Wszystko pyta. Gdy rozkwitasz, pytanie znika. Tak słyszałem. Tak ktoś mówił. Nie rozumiałem. Nie polubiłem mówiącego. Bo gadał tak, że rozumiałem wszystko wspaniale. Ty lepiej słuchasz. Mniej mówisz. Lepiej słuchać. Niż w ognisko dmuchać.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

#### **4 odpowiedź Dreyfusa**

Z tym ogniskiem, to różnie jest  
Czasem to znak, a czasem to test

Czasem oczyszcza, duszę i ciało  
Czasem pożera i ciągle mu mało

Czasem historii rzewną opowie  
Czasem głupoty chodzą mu po głowie

Lubi się zwiększać, rosnąć, pochłaniać  
To go wyróżnia, nie musisz go ganiać

Samo przyjdzie. Samo jest.  
Ognisko jest zawsze blisko. Fest.

Co do młodości  
Co do starości

To wolę mięso zjadać bez kości  
Kość jednak przywiera

Z mięsem nierozdzielna  
Kości zostają. Dla mięsa się stają

Twarde jak kamień  
I całkiem nieczułe

Nie próbuj ich pogryźć  
Źle się to skończyć może

Nie próbuj zrozumieć  
Jak dobrze jest mieć Ciebie, mój Boże

Co do lawiny, to sam wybrałeś  
Sam drogę poznałeś i zdecydowałeś

Mogłeś połączyć się na wieki, na dobre  
Wybrałeś ziemię, ludzki trud, a nie życie swobodne

W każdej jednak chwili możesz z drogi zawrócić  
I iść na górę. I zmieniony z góry tej wrócić  
Ubogacony. Na nowo odrodzony  
Szczyt daje życie, dolina to czas tracony

W dolinie żyć można o ile głowa Twoja na szczycie  
Ciało ciągle na szlaku. A rodzina w niebycie

Co do młodości to woli się bawić. W radości  
Co do starości. Woli wspominać. Ze złości.

Że już nie jest młoda. Że się zestarzała.  
Że kiedyś umiała. A od dawna nie chciała.

**5 list**

**24 grudnia, 5 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Kiedyś zależało mi na pieniądzach. Goniłem za nimi. Zagoniony. Zasapany. Zmęczony i poraniony. Żeby tylko zdobyć. Żeby mieć. Żeby jeszcze trochę. Jeszcze więcej chcieć. Nie znałem granic. Nie znałem zaspokojenia. Ciągle więcej. Ciągle szybciej. Jeszcze więcej chcenia. I tak uciekał dzień za dniem. Na marzeniu o forsie. Na próbowaniu. Kombinowaniu. Jak ją zdobyć. Jak ją mieć. Aby wydawać. Coraz więcej. Aby sprzedawać. Coraz taniej. Uzależniony od tego ułtucia, gdy widzisz nowy przelew. Uszczęśliwiony z nowo zakupionej rzeczy. By po piętnastu minutach o niej zapomnieć. By nie pamiętać tego co było. Bo są już nowe pragnienia. Żyją i oczekują spełnienia. Bo już jest nowa moda. Starej nie ma. Co za szkoda. Bo już jest nowe chęć. Pieniądze. Pragnienia. Pobudza. Ułudę. Przeszkodę na drodze do szczęścia. Jedyłą. Największą. Pieniądz Panem. A Ty sługą. Pieniądz przyciąga. Zastonę na oczy zaciąga. Ty pewnie miałeś podobne problemy. Niewielu jest innych. Niewielu pieniędzy nie zniewala. A może byłeś w tej mniejszości. Może byłeś w tej wyjątkowości. Która pragnie wolności. Tak jak reszta pieniędzy. Która pragnie otwartości. Na życie. Bez kupczenia. Bez handlowania od rana

do wieczora. Sobą. Rodziną. Znajomymi. Całą krainą. Kto ile warty. A co się opłaca. Czy to się zwróci. Mówisz, taka praca. A mnie się wydaje, że to nie jest praca. Tylko choroba umysłu. Praca się opłaca. Jak żyć. Skoro pieniądz nie jest najważniejszy. Jak żyć. Skoro zysk to nie cel i powód. Jak żyć. Skoro człowiek to coś więcej niż kupiec, albo sprzedawca. Ile jeszcze chcesz kupić. Ile potrzebujesz. Zapytaj samego siebie. Zapytaj swojego ego. Czego mu trzeba. Ile szampana i krewetek. Żeby zadrgać i zaśpiewać. Żeby w dumę się odziewać.

Teraz niewiele mi trzeba. Teraz cieszę się z kotleta schabowego z ziemniaczkami i buraczkami podanego jako obiad. Lucek dał mi swoje buraczki. Nie przepada. Sam nie zjada. Więc oddaje. Miły gest. Gdyby był głodny to by zjadł. Ale nas nie głodzą. Więc można dzielić na lepsze i gorsze. Smaczniejsze i mniej. Jemy. Rozmawiamy o motoryzacji. Luckowi podobają się nowe samochody. Ładne. Z lakierem metalik. Bo błyszczą. Niektórych przyciągają takie rzeczy. Czym bardziej rzuca się w oczy tym smaczniejsze. Dla oczu. Dla umysłu. Dusza płacze. Umysł w ogień skacze. Sen. Pewnie już się domyślasz, że coś mi się śniło. Skoro piszę. Skoro mówię co się zdarzyło. Masz rację. Trafiłeś kolego. Znow odwiedził mnie anioł i dużo się działo. Sen nie wie że jest snem. To też jest ciekawe. Myślisz, że to wszystko naprawdę. Myślisz, że to się dzieje. Przeżywasz, tak jakbyś był w środku akcji. Używasz życia jak najdroższych wakacji. I na wakacjach byłem tym razem z aniołem. Na Karaibach. Pod palmą. Na leżaczkach leżymy. Białych. Na jednym ja, a po mojej lewej stronie anioł. Ze słomkowym kapeluszem na głowie. Opalamy się. W pewnej chwili anioł mówi. Promocja na słońce. Dwa w cenie jednego. Wstaje i wzbija się w powietrze. Patrzy na mnie w locie i krzyczy, żebym leciał razem z nim. Że to ostatnia szansa. Drugiej takiej promocji nie będzie. Ja patrzę na siebie. Dotykam rękami swoich pleców. Ale skrzydeł nie ma. Skrzydeł brak. Smutny odwracam się i czekam na księżyc. Może on mnie zrozumie. Może on przekona mnie, że umiem.

Obudzony nie wiedziałem co się stało. Co się działo. I co się stać miało. Anioł nie powiedział, czy na promocję zdążył. Księżyc nie powiedział, czy przekonał mnie do tego. Księżycowego pakietu promocyjnego. Ale czy był taki. Czy dostępny. Czteropaki. Stały i się na mnie patrzyły. Z księżycem datą przydatności do spożycia, się wymieniły.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **5 odpowiedź Dreyfusa**

Widzisz, trzeba było na promocję zdążyć  
Wyrzuty sumienia przestały by Ci ciążyć

Że mogło być a nie było  
Że było ale się nie zdarzyło

Że trzeba było na księżyc liczyć  
A prawdy w księżycu trudno się doliczyć

Że głowa bolała od samego rana  
I mówi do ciała, że jest strasznie niewyspana

Mówiłem, nie przesadzaj z drinkami  
Mówiłem uważaj na słońce pod palmami

Drinki w głowę idą, tak jak gorąco  
Słońce spala ciało. Gotuje wodę wrzącą

Parują myśli i słowa też  
Nie ma czego kraść. Nic tylko się kłaść

Nic tylko rozmawiać z aniołem o kursach walut  
O wahnięciach na giełdzie i cenach surowców

Obmyślać plan w głowie na czym tu zarobić  
Przekonaj anioła, on też się musi zgodzić

Nie ma działania w pojedynkę  
Jak pracuje się w parze

Anioł wyszukuje promocji  
A ja się na słońcu smaże

Kto kogo przekona  
Kto plan swój wykona

Kto będzie zadowolony  
A kto ładnie opalony

Diabeł patrzy na tą całą imprezę  
I zastanawia się, czy zostanie nagrodzony

Za beczynność, ale z wynikami  
Wyniki bronią pracownika, nawet kiepskiego, tak między nami



Drogi Dreyfusie,

Samotność. Czym jest. Po co nam ona. W czym pomaga. A w czym przeszkadza człowiekowi. Za co odpowiada. Czy świat byłby lepszy bez samotności. Czy może jednak się przydaje. Tak jak mięso bez kości. Czy samotność uczy nas czegoś. Wykłada mądrości na tace. Podaje do zjedzenia. A ja brzydzę się i płaczę. Mówię, nie to. Tamto. I zamieniam się dominantą. Jeden bierze ładniejszą. Ja wolę zwyczajną. Bez uduwnień. Prostą. Byle nie samotną. Byle płodną. Co rodzi kolejne liczby. Co tworzy coś z niczego. Gdyby samotność tak potrafiła, to czy urodziłaby coś złego. Czy coś dobrego. A na pewno samotnego. Samotność przecież nie może urodzić bezpieczeństwa. Bo od niego stroni. Samotność nie może urodzić towarzystwa, bo za nim nie przepada. Samotność nie może być matką gwaru. Bo woli smak herbacianego wywaru. W spokoju. W ciszy. Zimową nocą. Która zabiera dzień dniem. Która nie dzieli po równo. Równo rzeczą jest złudną. Samotność pyta się czasem w którym kierunku są góry. A gdzie lasy, po których wilki biegają. Gdzie nie spotka nikogo, poza tymi, którzy tam mieszkają. Zwierzętami. Co za samotnością przepadają. Ludzie ich straszą. Ludzi się oni boją. Zwierzęta i samotność. Nawet kiedy razem stoją. I zastanawiają się po co jest ten człowiek. Do czego potrzebny. Po co dostał parę powiek. Dlaczego tak hałasuje i po co tyle pracuje. Co on ma z tego. Skoro samotność może być kolegą. Który zrozumie. Który umie. Pomilczy z Tobą wspólnie. Zrozumie, kiedy Ci smutno. I uśmiechnie się, kiedy Ci wesoło. W ciszy wszyscy biorą. Ale nie każdy po równo. Nie każdy samotność docenia. A mało kto ją przecenia. Ale gdyby nie ona, nie byłoby człowieka. Niesie ona człowieka, z prądem, jak spokojna rzeka. Co unosi i dba o komfort podróży. Samotność jest samotna. I to jej nie nuży.

Tak się zastanawiam kolego, jak znosisz swoją samotność. Czy się z nią zakumplowałeś. Czy walczysz i przeganasz ją miotłą. Czy starasz się ją zrozumieć. Poznać jej motywacje. Przywiązanie do życia. Czy zabierasz ją na wakacje. Podano do stołu. Znowu jemy coś nowego. Pieczeń rzymska, ziemniaczki i sałatka wielowarzywna. Wielokolorowa. Mieni się i świeci. Ja utrzymuję, że świeci, Lucjan mówi, że błyszczący. A tak naprawdę się mieni. Prawda jest zawsze gdzieś indziej. Obok miejsca o którym myślimy. Że ją tam zobaczymy. Siedzi obok, kawałek dalej. Pali papierosa i śmieje się z nas. Takich eleganckich. Opalonych. Z drogimi rzeczami. Ubraniami i samochodami. A ona nie ma nic. Papierosa od kogoś dostała. W kieszeni drobne. Może na bułkę starczy. Ale śmieje się szczerze i odjeżdża na rowerze. Nie swoim. Kradzionym. Nikt nie mówił, że prawda jest grzeczna. Wiadomo tylko, że jest prawdziwa. Żywa.

Lucjan mówi, że chciałby iść kiedyś na studia. Na ASP. Żeby nauczyli go być artystą po studiach. Malarz z dyplomem może podnieść ceny prac. Rzeźbiarz z dyplomem patrzy z góry na samouków. Nieuków. Ja też tak chcę. Mówi Lucjan. Poczucie się jak ktoś. A ja się zastanawiam czym są studia. Czy są tylko potwierdzeniem, tego, że nie jesteśmy bezużyteczni. Czy uczą nas tego, że życie nauczy nas wszystkiego innym razem. Jak będzie trzeba. Jak znajdzie się ktoś kto za to zapłaci. Praca jest pracą, gdy wykonujesz ją bezinteresownie. Gdy bierzesz za nią pieniądze, to się sprzedajesz. Za grosze. Bo za dużo, to mniejszy grzech. Albo większy pech. Sen. Pewnie się zastanawiasz jaki był. Czy znowu odwiedził mnie anioł. Czy znowu coś głupiego wymyślił. Albo mądrego. To zależy od anioła. Albo od zachowania jego. Nie zawiodę Cię. Bo mnie nie zawiodł sen. Znowu się działa. Znowu podziałało. Anioł zabrał mnie tym razem na

lody. Staliśmy w długiej kolejce. Po kościele. Poszliśmy w niedzielę. Na lody waniliowe. I stoimy tak w ciszy. Przysłuchujemy się historiom jakie ludzie opowiadają. Że kogoś pogryzł pies. Że ktoś nie wie gdzie tu w okolicy są toalety. Że ktoś niepotrzebnie wykupił bilet parkingowy. Dziś nie kasują. Dochodzimy do okienka. Dwa lody, mówi anioł. Kobieta po chwili podaje jednego. I mówi, że to ostatni. Skończyły się. Więcej nie będzie. Anioł polizał loda i pyta mnie, czy chce. Mówi, że mi odstąpi, bo ostatni. Ja mu na to, że skoro zaczął to niech skończy. Anioł do mnie, żebym zapłacił. Bo nie zabrał portfela. Płace za jego loda. Ostatnimi pieniędzmi. Jakie miałem. Miałem je odłożone na autobus do domu. Ale trudno. Zapłaciłem. Poszliśmy się przespacerować. Do parku. Spotkaliśmy innego anioła. Spacerował samotnie. Popatrzył na mojego towarzysza i krzyczy, przebieraniec. Oszust. Anioł co nie jest aniołem. I mój anioł zmienił się w diabła i ciągnie mnie pod ziemię. Ziemia się trzęsie. Powstała dziura. A on mówi, nie zapieraj się. Nie ratuj. Pokażę Ci mój dom rodzinny. Boisko z trzepakiem i koszami na śmieci. Bez segregacji. Wszystko zmieszane. Zmieszane i popłątane. Mówię mu żeby podrapał się za uchem i nakrył kożuchem. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Podziałało. Słowa mają moc. Odczepił się i zniknął pod ziemią. Zostawił mnie samego. Na ziemi leżał niedojedzony wafelek z loda. Podniosłem i wyrzuciłem do kosza na śmieci. Do zmieszanych. Innych nie było. Taki park. Taki świat. Płacisz za życie. Plus vat.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **6 odpowiedź Dreyfusa**

Samotność lubi się ze starością  
Ale nie pogardzi także młodością

Nie dzieli na lepszych i gorszych  
Nie omija głodnych i o pomoc proszących

Samotność jest towarzyszem  
Samotność wywoła kliszę

Z Waszymi wspólnymi zdjęciami  
Jak całujecie się pod dębami

Jak spacerujecie brzegiem morza  
Jak wlatujecie czym wyżej w przestworza

Nikt Cię nie wysłucha z takim spokojem jak ona  
Nikt Cię do ciszy tak nie przekona

Tylko samotność wie co to cisza  
Tylko samotność podaruje Ci misia

I powie, że zabrała go dziecku  
aby było samotne, aby zapiło smutki w mleczku

Mleczko podziało. Dziecko chęć do życia odzyskało  
Pomimo straty misia. Z samotnością zmierzyć się chciało

Za mamę złapało i mówi Kocham Cię jedyna  
Mama odpowiada, to wspaniała nowina

Bo miłość tak właśnie działa  
Że mówi dość, gdy samotność przegina

Dziecko zrozumiało zasady rządzące światem  
I odjechało w siną dal. Od samotności. Małym fiatem

Pytanie tylko czy samotność go znajdzie  
A może kiedy. Bo prędzej czy później odnajdzie

Nie można od niej uciec  
Odjedziesz tylko na chwilę

Gdy samotność przegrywa  
Zabiera Ci bilę

Nie masz czym grać, nie masz jak wygrywać  
I samotność znowu zaczyna się zgrywać

**7 list**

**27 stycznia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

W więzieniu uczę się doceniać małe rzeczy. Drobnostki. Gdy radość sprawia Ci byle co. Chce się żyć. Gdy oczekujesz wielkich imprez, fajerwerków i wystrzałów korków od szampana, niewiele może Cię zadowolić. Rzadko są chwile kiedy się uśmiechasz. Zazwyczaj zwieszasz

wzrok. Duszy mrok. Zazwyczaj nie mówisz od siebie. Z podnieceniem w głosie. Z oczekiwaniem na dalszy ciąg. Na puentę. Tylko mówisz bo wypada. Bo tak Cię wychowali, że trzeba. Mowa dla mowy. Słowa dla słowa. Ulatuje. Leci w przestrzeń i nic go nie zatrzymuje. Nikt słów nie łapie. Poza słów złodziejem. Jak ja. Poza tymi co dzielą słowa na sylaby. Zgłoski. Litery. Zamiatają je wszystkie i wyrzucają. Słowo rozbrojone to słowo niedocenione. Albo przecenione bez historii. Nie dane mu było pożyć. Założyć rodzinę. Wysłać dzieci do szkoły z internatem. By mieć czas dla żony i psa. By docenić ile warta jest ta gra. W słowa. Za pośrednictwem słowa. Które zaczyna się wciąż od nowa. Które składa się w zdania. Na tym polega mowa. A później rozsypuje się na wiele drobnych słów. I ucieka. Wzlatuje. Powyżej głów. Jak na balonie. Jak na paralołtni. Lecą i żyją. Lecą i tyją. Pytanie czy doceniasz. To co przemija. Pytanie czy pomagasz, gdy ktoś chatę z desek zbija. Nigdy nie będzie lepiej. Nigdy nie będzie piękniej. Niż teraz. Jasno, lub ciemno. Ale namiętnie.

Życie. To o nie walczyeie. Nie o szczęście. Nie o pieniądze. Nie o miłość. Nie o złość i stres. Tylko o życie. I jego interes.

I żeby przeżyć trzeba jeść. Jedzenie podano. W jeden owies, w drugi, siano. Co wybierasz. Na co się decydujesz. Dlaczego swoje życie w ramy ujmujesz. Ja zdecydowałem i życia posmakowałem. Słowa kradłem, jak umiałem. Życie brałem, bo żyć chciałem. Ciekaw jestem jak to się skończy. Ciekaw jestem, za co będzie nowy list gończy. Co znowu przeskrobie. Co będzie w żłobie. Kto na tym coś zyska. A kto straci Tobie. Bo gdy nie żyjesz. Nie Ty decydujesz. Nie Ty podejmujesz decyzję i nie Ty za nie żałujesz. Lepiej się mylić i po lodzie chodzić. Niż nic nie robić, żeby nikomu nie zaszkodzić.

A na obiad makaron carbonara. Edycja dania świata. Podróż bez biletu. A nawet gdyby był, to z więzienia nigdzie nie polecisz. Lotnisko zamknięte. Śniegiem zasypało i pilotowi się nie chciało. Mnie smakowało. Znam ten smak. Już próbowałem. Zapycha. Pycha. Lucjan coś ponarzekał, ale zjadł. Niby młody. A młodzi lubią próbować nowych rzeczy. Nowych smaków. A Lucek coś nie bardzo. Kręci nosem jakby jadł za karę. Kompot uratował sprawę. I humor Lucjana.

Po południu Lucjan postanowił pooglądać telewizję. Poszedł więc z innymi. Na jakiś serial. O kowbojach, czy innych miłosnych podbojach. W każdym razie odcinkowy. Dla emocji rozrywkowy. Mnie telewizja nie przekonuje. Jakoś zawsze miałem z nią pod górkę. Raz ciągnęłam ją pod górę. To się ubrudziła. Innym razem ona mnie taszczyła. To się dziecina zmęczyła. Ciągłe coś. Ciągłe jakoś się składa. Że nie wypada. I telewizja mnie nie przekonuje. Ani szczerza ani miła. Więc szybko mi się znudziła.

Co do snu. Bo był. I żyje. Pamiętam go dobrze. Choć coraz szybciej tyje. Był statek jeden i drugi. Stare czasy. Piraci. I jednym statkiem sterował anioł. Mój. Znajomy. Drugim statkiem sterowała śmierć. Kostucha, co w kajucie zostawiła kosę. Najpierw wrogi statek wystrzelił salwę armatnią. Chybili. Nie trafili. Później chcieli na linach wdrzeć się na nasz statek. Było za daleko. Nie dali rady. To Śmierć wpadła na pomysł aby nas staranować. Zatopić nas i siebie przy okazji też. Ku chwale śmierci. Żeby zginęli wszyscy zainteresowani. Lub nie. I to się nie udało. Anioł sprytnie kręcił kołem. Dobry był z niego marynarz. Gdy nic nie zadziało śmierć przebrała się za prostytutkę i podpłynęła naga do burty. Nasi ludzie ją wciągnęli. Nie mogli się oprzeć. W ramach podziękowania zaproponowała swoje ciało. Młode. Jędrne. Mówi, że nic innego nie ma. A anioł na to, że przyda się pod pokładem. Przy wiosłach. Do pracy. Na to marynarze protestują, że taka ładna nie może się zmarnować. A anioł na to że roznosi choroby.

Że piękna jest tylko z wierzchu. A pod skórą czai się śmierć. Czai się zniewolenie. Jeden nie postuchał i zapadł się pod ziemię. Lub pod ocean. Chociaż to już nie brzmi. Drugi czekał na swoją kolej a ja przyrznąłem dziewczynie łopatą w tył głowy. I odprowadziłem do krainy gdzie wieczne łowy. Za zabicie śmierci należy się nagroda. Mówi anioł. Chociaż trochę jej szkoda. Ładna była. Oko cieszyła. Mogłem zrobić zdjęcie. Zanim się zabiła. To powiedział anioł i zniknął gdzieś w niebie. A statek ugrzązł na mieliźnie. Mieliśmy tylko siebie.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **7 odpowiedź Dreyfusa**

Ciesz się z małych rzeczy  
Ja się kiedyś cieszyłem i z radości się powiesiłem

A przynajmniej próbowałem powiesić ducha, nie wyszło  
Choć powietrze z niego zeszło

Od tego czasu jest jakiś nie w sosie  
Od tego czasu wie co to pokłosie

Chodzi sam. Sam nie wiem gdzie  
Mówi sam. Nie odpowiadam na słowa te

Duch powinien być częściej zadowolony  
Tak pisało w instrukcji obsługi, a mój chodzi zgarbiony

Mówi, że droga go czeka  
Planuje długą wyprawę, z daleka

Ode mnie i od zdrowego rozsądku  
Planuje sam, niby dla porządku

Aby nie przeszkadzać, aby głupot nie gadać  
Nie interesuje go że zimno będzie po twarzy go smagać

Nie straszny mu głód, wicher i znoje  
Nie straszy go strach, co na polu sobie nie poje

Wróbli, bo je tylko straszy  
Na straszaniu się kończy, a nikt nie nasypie mu kaszy

Aby miał coś za pracę, aby miał jakąś płacę  
Ja strachowi zapłacę. O ile odda na tacę

O ile nie wyda na pierdoły  
O ile nie wpadnie do szkoły

I nie powie, wiem więcej od Was  
Zostańcie strachem póki czas

Bądźcie jak ja, straszcie za dnia  
Bo w nocy, nie zaznacie pomocy  
Gdy wystraszyście się sami siebie  
I zanurkujecie w grząskiej glebie

Robak się cieszy. Ma używanie  
Gdy wpadasz nieproszony pod jego władanie

Obgryzie dokładnie, obgryzie do kości  
Robak tak wychowany, że nie zna litości

**8 list**

**14 luty, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dzień miłości. Ile ma z miłością wspólnego. Niewiele. Tylko nazwę. Słowo. Chwytiliwe. Robi się na nim biznes. Interes. Portfele pustoszeją. Jak ulice w walentynki wieczorami. Wszyscy gdzieś są. Zajęci drugą osobą. Mówią na to tradycja. A mnie to wygląda na problemy z dykcją. Ciężko wymówić. Słowo nie warte słowa. A warto żeby było warte. Żeby słowo coś znaczyło. Nie tylko z nazwy. Aby słowo się świeciło. Pięknie. Nie tylko w jednym kolorze.

Zamiast święta miłości, zrobiono z walentynek święto seksu. Święto rozpusty i rozwiązłości. Zboczeń wszelkiego rodzaju. Jak przy urwisku. Na skraju. Bo po to te prezenty. Po to te kolacje przy świecach. Po to te starania. Aby zaciągnąć partnera do łóżka. Aby uprawiać seks bez gadania. Ze słowami, które psują. Które seksu nie są godne. Ze słowami które kłują. W niebie takie niewygodne. Jak za małe buty. Niby są a gryzą. Myślisz, że ładne to pasują. A za małe i maltretują. Twoje stopy, Twoją duszę. I wieszasz swoją duszę na spróchniałej gałęzi. Niby wieszasz, ale z nadzieją, że los ją ułaskawi. Sprawiedliwość niech się bawi, a Ty boga seksu sławisz. Bóg seksu i kaca nad ranem. Taki bóg to musi mieć przesrane. Codziennie tyle

stosunków płciowych. Jeden podobny do drugiego. Bez atrakcji nowych. Jeden bardziej zepsuty. Inny przez siebie opluty. Myślą, że dobrze się bawią a mają za małe buty.

Ja z tym skończyłem. Nie bawi mnie już seks tak jak kiedyś. Zrozumiałem, że więcej traciłem. Więcej chciałem i siebie podtapiałem. Teraz unikam seksu jak wody. Seks mi szkodzi. Seks już mi bokiem wychodzi. Lepiej bez. Bez problemu i dżemu. Dżemy są przesłodzone i na zęby szkodzą. Cukier jest tak zdrowy jak alkohol etylowy. Niby niby a na niby. Seksu mi nie brakuje. Nie na niby. Bez seksu się lepiej czuje. Więcej chęci do życia. Radości z życia. Duszy, nie ciała. Tyje się tak, żeby dusza brzuszek miała. Seks jest niepotrzebny. Dowiesz się o tym dopiero wtedy. Gdy z niego zrezygnujesz. Nie tylko żeby. Coś udowodnić. Sobie i światu. Ale po to żeby żyć szczęśliwie. Mówię to sobie, Tobie i bratu.

Jem wspólnie z Luckiem. Obiad przynieśli. Pieczone udko z kurczaka. I frytki do tego. Surówkę oddałem Luckowi. Młody jest. Potrzebuje warzyw. Niech rośnie chłopsko. Opowiada mi, że szczególnie dzisiaj brakuje mu dziewczyny. Że tęskni. I zastanawia się czasem czy nie zdradza. Czy nie zapomina o nim. I o samej sobie. Czy sama sobie nie staje na przeszkodzie. Nie wiem co powiedzieć. Słaby jestem w sprawach damsko-męskich. Nie rozumiem kobiet. I ich dylematów męskich.

I sen. Lubię się nimi dzielić. Z Tobą. Dzięki temu mam wrażenie, że podtrzymuję ich życie. Że nie pozwalam o nich zapomnieć. Sobie, Tobie i światu. Tym razem byłem z aniołem na lodowisku. Na starówce. Na powietrzu. W nocy. Miasto pięknie oświetlone. Przystrojone świątecznie. Powietrze mroźne. Para z ust. Jeździmy na łyżwach. Ja, anioł i wiele innych ludzi. Jeździmy pewnie. Pięknie. Czerpiemy z tego przyjemność. Cieszymy się. Robimy figury. Takie i owakie. Kręcimy piruety. Spadają berety. Ktoś nawet klaszcze. Że ładnie. Że się podoba. Nagle wywraca się pierwsza osoba. Starzec. Później druga. Kobieta w ciąży. Później trzecia. Czwarta i kolejna. Pomagam kobiecie w ciąży. Mówi, że to był zły pomysł z tymi łyżwami. Nie zaprzeczam. Gdy ją ściągnąłem z lodowiska patrzę a wszyscy leżą. Poprzewracani. Powywracani. Cali obolali. Cali zziajani. Zostałem tylko ja i anioł. Tylko my dwaj trzymamy się na nogach. I anioł rzuca się w moim kierunku. Jakby chciał mi pomóc. Powstrzymać mnie przed upadkiem, zanim zacząłem upadać. Ktoś zaczyna wstawać, ale po chwili znowu upada. Anioł do mnie dopada. I mówi, w oddzieleniu istnienie to tylko istnienie, a życie to tylko marzenie. Nie rozumiałem. Odwróciłem się i ujechałem kawałek. Po czym się przewróciłem. O lód przygrzmociłem. Złamałem rękę w trzech miejscach. Prawą. Moją nową udrękę. Złamanie otwarte. Kość było widać. Rozglądałem się dookoła. A anioła nie widać. Obudziłem się obolały. Ręka jeszcze bolała. Okazało się, że na niej leżałem. I cała mi ścierpła. Ścierpła także moja dusza. Nic mi się już dziś nie chciało. Ani czytać. Ani rozwiązywać sudoku. Ani słuchać kawałów opowiadanych przez Lucjana. Konkretnie dwa. Oba o żydach. Oba niesmaczne. Więzienny humor śmieszny więźniów. Nie tylko w więzieniu.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## 8 odpowiedź Dreyfusa

Miłość pomieszana z seksem to nie miłość  
Pożądanie nie zna się z miłością, dość

Powiedzieć, że nie gadają ze sobą o dawna  
A Ty myślisz, że to sprawa niedawna

Od setek lat mijają się na chodniku  
I myślą o sobie nawzajem jak o nocniku

Miłość swoje ma pragnienia  
Pożądanie nie pragnie miłości istnienia  
Pożądanie chce tylko seksu i igrzysk  
Miłość pragnie szacunku i zrozumienia

Która okaże się ważniejsza  
Która okaże się piękniejsza

Za czym Ty gonisz  
Co starasz się dogonić

Miłość czy pożądanie  
Emocje na żądanie

Miłość czy pożądanie  
Popatrz spokojnie na nie

I odpowiedz sam sobie  
Co one oferują Tobie

Co jest dla Ciebie dobre a co złe  
Które chwile budują a które trzymają na dnie

Co Cię uskrzydla,  
Czy jedzenie powidła

Czy warzywa na parze  
Zdrowe, smaczne i o takich marze

Sam decydujesz czym żywisz ciało i ducha  
Czy śmiejesz się z czyjegoś nieszczęścia



Czy śmiejesz się od ucha do ucha  
Bo widzisz dziecko, które się przewróciło  
Gdy klockami się bawiło

Po czym wstało. Się otrzeptało  
I szczerze się rozeźmiało

Tak to bywa. Czasami się potykasz  
Miłość z pożądaniem mylisz

W czterech ścianach się ze złem zamykasz  
A później się zastanawiasz  
Dlaczego znikasz, znikasz, znikasz

**9 list**

**28 luty, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Lucjan jest taki młody a już mówi, że jest alkoholikiem. Mówi, że ponad rok pił codziennie. Że nie mógł żyć bez alkoholu. Od piwa zaczynał dzień. W drodze do szkoły. Po szkole kolejne piwa, albo tanie wina. Ze znajomymi. Bo takie towarzystwo. Alkohol lubi towarzystwo. Szczególnie gdy miesza się w to wszystko młodość. Gdy alkohol przywiera do chęci życia. Gdy niszczy ją doszczętnie. I zostają zgliszcza. Gdy alkohol staje się Twoim sposobem na życie. Ucieczką. Chociaż nie masz przed czym uciekać. Wycieczką. Chociaż nigdzie nie będzie Ci tak dobrze jak w domu. Alkohol staje się jedynym przyjacielem. Chociaż twierdzisz, że masz innych. To bez alkoholu byś ich nie miał. Alkohol trzyma ludzi obok siebie. Co to za sens życia. Być pijanym. Wspólne upodlenie. Wspólny upadek. Żeby był bardziej spektakularny. Chyba. Bo zbiorowy. Bo alkohol dostaje od głowy. Dlatego tak uderza do głowy. Jedna głowa. Jeden skalp. Alkohol się cieszy a Ty sam ze sobą walczy. Ile jeszcze. Jak długo wytrzymasz. Walki ze samym sobą. Wszystkiego się imasz. Żeby nie musieć. Wciąż uciekać. A uciekasz. Bo inne życie to nie życie. Według tego, co żyje na kicie. I tak dzień za dniem. Jeśli tego nie przerwiesz. Zawładnie Tobą Twój cień. Lucjana uratowało więzienie. Teraz nie pije. Bo siedzi. Są tacy co i w więzieniu podlewają swój alkoholizm. Dają rady. Dostają w paczkach. Po znajomości od klawiszy. W taki czy inny sposób. Kupują. Jak masz pieniądze, to w więzieniu wszystko dostaniesz. Lucek nie ma kasy. Nie ma więc picia. Może to i dobrze. To więzienie dla mnie. Tak dziś mi powiedział. Może przynajmniej z picia mnie wyciągnie. Problem tylko jak wrócę. Bo gdzie mam wrócić. Mam jedno towarzystwo u mnie na dzielnicy. Innych ludzi nie znam. Inny styl życia nie istnieje. Dla mnie. I dla innych młodych bogów. Co częściej co popadnie. Zanim na kolana upadnie. A potem na twarz. I wymiocinami się udusi. Jak nie był na dzień. Nie zrozumiesz jak zło kusi. Trzymam za Lucjana kciuki. I za jemu podobnych. Aby zrozumieli. Zanim zrozumienie odmówi wieczne odpoczywanie. I przyjdzie czas. Także i na nie.

Obiad. Lucjan mi podał. Poprosił, żebym spróbował. Zapytał czy smakuje. Czy szef kuchni się sprawdził. Czy może soli, lub pieprzu. Podać. Czy może polać sosem ze smaku o zapachu goździków. Powiedziałem, że dziękuję. Jest jakie jest. Nie potrzebuję innego. Nie potrzebuję

lepszego. Podali bitkę karkową z grillowanymi warzywami i ziemniaczkami. Smacznie i do syta. Jak w restauracji. A nie w wegetacji. Obóz wege-tacyjny. Tak czasami mówię o zamknięciu. Albo myślę przy oczu zamknięciu.

Dzisiaj także miałem swój sen. Jeden z wielu, który mnie się trzyma. Złapał i nie puszcza. Sen o temacie, puszcza. Idziemy przez las deszczowy. Ja z aniołem. Ja pierwszy. W gumiakach. Anioł za mną. Boso. Mówi, że tak wygodniej. Że stopy oddychają. Przy takiej wilgotności woli tak. Więc idzie. Potknął się o jakiś korzeń. Nie pomogłem mu wstać. Wstał sam. Uszliśmy jeszcze kawałek i zahaczył głowią o jakąś lianę. Stracił równowagę i upadł. Wstał, otrzepał się i mówi, że wszystko w porządku. Idziemy. Nie trzeba było długo czekać na trzeci upadek. Przewrotka i znowu podniósł się w mgnieniu oka. Mówię mu, że puszcza raczej mu nie służy. On do mnie na to, poczekaj a zobaczysz kto się kim posłuży. Nie zrozumiałem, ale poczułem. Stanąłem na wężu a ten mnie ukąsił. Zabolało jakby ktoś wbił mi w nogę dwie wielkie igły. Ułamek sekundy a później pulsujący ból. Narastający. I po chwili jakby rozszedł się po całym ciele. Boli ale robi mi się duszno. Serce bije jak szalone. Przez głowę przeszły myśli, że mogę z tego nie wyjść. Anioł przegonił węża patykiem i mówi do mnie. Wyspowiadaj się. Masz jeszcze czas. Nawróć się. Uznaj Jezusa za swego Boga. W Trójcy prawdziwy. Odpowiedziałem, wole jak najszybciej dotrzeć do lekarza. Nie będę tracił czasu na spowiedź. Wolę odtrutkę. Wolę lekarstwo. Ufam medycynie. Ufam nauce. Anioł na to, zaufaj Panu. Bez Niego nie zdążysz zaufać już nikomu. Pobiegłem. Ścieżką. Ile sił w nogach. Nie patrzyłem, czy anioł biegnie za mną. Byle szybciej. Byle prędej. Byle dostać się do szpitala. Byle mnie uratowali. Może zdążę. Muszę zdążyć. Życie bez happy endu to życie bez błędu. Wybiegłem z lasu. Zatrzymałem samochód. Powiedziałem o co chodzi. Kierowca był wyrozumiały. Od razu zawiózł mnie do szpitala. Pomógł mi wysiąść z auta i zaprowadził pod drzwi. Przy drzwiach osunąłem się na ziemię. I pod drzwiami umarłem. Niepojednany. Z Bogiem. Niepołączony. Z Jezusem. Stracony. Dla życia. Zagubiony.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **9 odpowiedź Dreyfusa**

Alkohol to najlepszy z wynalazków szatana  
Gdy go widzi, cieszy się od samego rana

Gdy widzi pijanego, mówi, to mój człowiek  
Nie musi się zastanawiać, nie musi zamykać powiek

Najbardziej cieszą go młodzi  
Którzy umiaru nie znają

Najbardziej cieszą go Ci  
Co mówią, że dobrą zabawę kochają

Myślą, że alkohol jest zabawny  
Że w zabawie jest niezbędny

Mówią, że go lubią  
Tok myślenia mają pokrętny

Ale próbują, nie zgubić się we mgle  
Nie oszukują, że chcą dobrze, te

Próby jednak na niewiele zdadzą się  
Gdy jesteś we mgle, bo widzisz tylko mgłę  
Nie ucz się na swoich błędach  
Bo się nie nauczysz

Ucz się na cudzych potknięciach  
Na nich się utuczysz

Nakarmisz mądrość, dokarmisz zrozumienie  
Zrozum co to jest życie, a co jedynie istnienie

Nie karm się byle czym  
Nie zadowalaj się ochłapami

Żyj pięknym życiem, żyj dla ludzi  
A nie gubisz słowa między wierszami

Pozwalasz by uleciały  
Pozwalasz by się Ciebie nie trzymały

To nie wolność. To brak szacunku  
Do słowa, by znaczenia one nabrały

Urosły, wypuściły korzenie  
Wydały owoc i przekazały istnienie

Przekazały życie dalej co złego się nie boi  
Życie boi się tylko Boga, co na Jego straży stoi

10 list

9 marca, 6 roku odsiadki

Drogi Dreyfusie,

Tak się zastanawiam jak na człowieka działa głód. Czy go motywuje. Czy sprawia, że mu się chce. Czy odwrotnie. Że nie ma ochoty. Że go demotywuje. Skłania do spuszczenia głowy. Zaakceptowania głodu. Uznania go za swojego towarzysza. W wędrówce. I spokojne kroczenie obok niego. Ile ludzi, tyle głodów. Razy kilka. Głód pożądania. Co chce, albo nie może. A nawet jeśli może, to dalej chodzi głodny. Nie do zaspokojenia. Nie do pozazdrosczenia. Głód zwycięstwa. Aby pokazać, że jest się lepszym. I okazać się. Godnym wyższości. I przebiegłości. Głód wiedzy. Taki niepozorny. Niby nic wielkiego. Co złego jest w wiedzieć. Co złego jest w powiedzieć. A jednak jest głodny. A jednak chce i musi. Dopóki go nie powstrzymasz. Dopóki się nie udusi. Głód jest głodny głodu. Od tak. Bez powodu. Żeby żyć. Żeby być. Żeby działać. Duszę w zakłopotanie wprawiać. W brak. Informując, że nie ma a być powinno. W brak. Gdy do braku podchodzisz z twarzą niewinną. Głód doznań. Skrajnych. Takich lub owakich. Byleby się działo. Byleby się nie stało. Ma się dziać. Ma iskrzyć. Ma się lać. Bez względu na rachunek za wodę. Głód władzy. Co zaślania zdrowy rozsądek. Co chce wydawać polecenia. Co chce żądać. Mówić co i jak. Bo wie lepiej. Mówić, że zatonie wrak. Bo sam nim steruje. Głód zbyt dużo nie główkuje. Głód pod publiczkę. Aby pokazać ludziom, że się jest głodnym. Patrz jak długo bez jedzenia dla duszy można wytrzymać. Patrz i płacz. Patrz i klaskaj. Jaki ze mnie oryginał. Jaki ze mnie chojrak. Tyle wytrzymam na głodzie. Tak się poddaje swobodzie. Albo też do niej strzelam. Zależy od głodu. I kiedy niedziela. Zależy na co mam ochotę i kiedy. Zależy czy ugaszę, w miarę potrzeby. Czy głód tylko wycieńcza człowieka do cna. Czy motywuje. Czy nami steruje. Że spać się nie da.

A Ty przyjacielu. Co i jak myślisz o tym. Czy bywasz głodny. Czy bywasz w kłopotcie. Czy mówi Ci ktoś co powinienes. Jak reagujesz na to. Wysypką, czy łaknieniem.

Dziś Lucjan ubrał się odświętnie. A nie jak zwykle. Ma taki jeden komplecik. Na specjalne okazje. Wyjściowy. Bo wychodził. Poszedł do kaplicy. Poszedł na Mszę. Ja chodziłem kiedyś do kościoła. Teraz mniej. W zasadzie w ogóle. Chociaż w Boga wierzę. Ale w księży to już mniej. Lucjan bardziej. Stara się chłopak. Jeszcze może coś z niego wyjdzie. Jeszcze świat będzie z niego dumny. Albo on będzie dumy ze świata. Taka zamiana. Jak krowa łaciata. Która łata jest podstawowa. A która doszywana. Która się zmyje. A która zaślania nasze słabe strony.

Na obiad dostaliśmy gulasz drobiowy z warzywami i ryżem. Zielona zastawa. Gustowna. Pasuje mi do oczu. Lucjan pyta o dokładkę. Nie zrozumieli żartu. Albo próby zwrócenia na siebie uwagi. Lub na śmiech. Że istnieje. Nawet w zamknięciu. Śmiech jest wolny. Nie da się go zniewolić. Zakuć w kajdany. Śmiech nie lubi ciszy. I nie lubi zmiany. Woli jak jest śmiesznie, gwarno i radośnie. Śmiech jak szyszka. Niczym. Rośnie na sośnie.

Pewnie zastanawiasz się co dzisiaj mi się śniło. Czy anioł powrócił. Czy znowu było miło. Czy czegoś się nauczyłem. Czy czegoś się dowiedziałem. Anioł wie. Ja nie. Ja w kącie stałem. Za karę że nabroilem strasznie. Było mi smutno. Było mi źle. Będę pamiętał to zawsze. A sen. Co do snu. To byłem pracownikiem na linii produkcyjnej. Wyjmowałem wnętrzości z kurczaka. Kurczak za kurczakiem. Jechały na taśmie. Wątroba. Serce. Płuca. Trzustka. Anioł pracował tak jak ja. Na stanowisku obok. Nagle jeden kurczak podnosi głowę. Nie przejmuje się rozcięciem

na ciebie. Nie przejmuję się, że powinien nie żyć. Żyje. Woli życie. Woli po swojemu. I mówi. Gdzie tak pędzisz kolego bez zastanowienia. Mechaniczne rozdzielanie ciała od ducha. Mechaniczne myśli, co nie rosną na kiści. Zastanów się. Sam nad sobą. Zatrzymaj się. Nad swoją osobą. Tutaj produkuje się brudne myśli. Mechanicznie. A Ty na swojej taśmie produkujesz części zamienne. Do samego siebie. O ile się spodziewasz. Że coś się popsuje. O ile się spodziewasz. Że życie Cię zepsuje. Co wyprodukujesz. To Cię uratuje. Nawet zwykły kurczak. Jak ja. Się kiedyś psuje. Nawet moje życie, jest życiem dla kogoś. Nawet moje życie, ma sens, tylko czyis. Samolubna egzystencja mnie nie przekonuje. Sam dla siebie żyje ten, co przed życiem wykituje. To powiedział kurczak. Chwilę przed wypatroszeniem. Wyjąłem mu serce. Jeszcze biło. Jeszcze się ruszało, chociaż krwi już nie miało. Nie powinno a żyło. Przez chwilę. Kurczak popatrzył mi w oczy i zmarł. Czy jego żywot dalej się toczy. W raju dla kurczaków. Gdzie nie ma klatek. Gdzie nie ma paszy. Tylko biegają po łące. Kurczaki. I żywią się słońcem. Jedzą co znajdują. Jajka znoszą żeby się mnożyć. Ale czy raj taki, może kurze radości przysporzyć. Ile warte jest życie bez człowieka. Czy kura marzy o wolności. Czy tylko o większej racji żywnościowej. Czy każdy myśli jak Ty. Czy zastanawia się jak można zdrowiej. Kurczak skończył mówić. Zdechł. A anioł tylko się śmiał. Nie wiem z kogo. Z kurczaka, z tego co mówił, ze mnie, z siebie, czy ze świata. Że jest snem wariata. Wariat się obudził. Cały zły potem. Kurczak zostawił mnie z pytaniami. Nie zastanawiając się. Co będzie potem.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **10 odpowiedź Dreyfusa**

Głodny nie jesteś sobą  
Stajesz się sam sobie przeszkodą

Tylko czy z głodem tym walczyć  
Czy może go zaspokoić

Czy głodny może być szczęśliwy  
Czy sam siebie musi stroić

Jak instrument taki czy inny  
Mówisz o sobie, to ja niewinny

Co niewiele mam na sumieniu  
Co potknięcia tylko drobne zalicza

Nastroić się trzeba do pragnienia chleba  
A nie do błędów, które ktoś zlicza

Tym kimś jesteś Ty sam  
A Twoje życie to jest zwykły kram

Powie Ci to pierwsza lepsza kwoka  
Że radość jest w Bogu, że radość to opoka

Bez radości, zjedzą Cię głody na śniadanie  
Ty mówisz nie chce, a musisz patrzeć na nie

Kazali Ci patrzeć, kazali wybierać  
Który głód dla Ciebie. Bierz bogactwo. To sknera.  
Bierz pragnienie miłości  
Fizycznej bliskości

Bierz głód fizyczny  
Będziesz miał rozum śliczny

Bo jak bierzesz to się poddajesz  
Bo jak bierzesz coraz gorszy się stajesz

Sam stajesz się głodem  
Z nogami z rękami

Głód staje się bogiem  
A Tobie się wydaje, że jesteś głaskany

A To na niby, to jest nieprawdziwe  
Głód ma w tym interes. By Twoje włosy siwe

Ściąć. Tak jak ścina się natkę marchewki  
Bez włosów nie poznasz samego siebie

Bez włosów uznasz się za obcego  
A obcego trzeba nakarmić. Głód wie dlaczego.

Drogi Dreyfusie,

Noc jest ciemna. Jak jedna ze stron człowieka. Jak niektóre dźwięki. Jak niektóre odgłosy. Noc lubi po swojemu. Noc lubi ścinać kłosa. Noc wciąga i prosi o więcej. Zaprasza do tańca człowieka. I tańczy do upadłego. Albo do nastania dnia. Do nowego narodzenia. Do istnienia, w blasku. O brzasku. Noc jest małowówna. Dzień w sumie nie mówi wiele więcej. Porozumiewają się bez słów. Ciekaw jestem kto zaczął to milczenie. Dzień, czy noc. Na pewno nie człowiek. Człowiek za dużo gada. Za dużo myśli. Człowiek więcej chce, niż może. Gdy myśli to wymyśli. Noc sama nie wie o czym miałyby myśleć. Noc przykrywa się kocem i czeka na to co się stanie. Kto w tańcu się potknie. Kogo zabraknie. Gdy wróci ponownie. Gdy pokaże się po dniu. Gdy postawi głowę na pniu. Ale nikt nie odważy się ciąć. Nikt nie odważy się zgiąć. Noc jest melancholijna. Jakaś taka mało energiczna. Tańczy bez wyrazu i znowu chowa się pod kocem. Nie widać w niej emocji. Nie widać polotu. Nie zauważam, żeby czerpała przyjemność. Z tego co wielu się podoba. Z tego co wielu lubi. Nocą ludzie myślą, że mogą więcej. Jakby granice się zamazywały. Ciemno jest to ich nie widać. Nocą, ludzie zapominają ile mają lat. Co kiedy wypada. A co od czego odpada. Lub kto nie domaga. W ciągu dnia. A w nocy biega. Podskakuje. Z byle tańca się raduje. W nocy Pan i król wszechświata. A później zdziwienie, że maluszek woła, tata, tata.

Podali obiad. Jem z Luckiem. Pulpety rybne w sosie chrzanowym, z ziemniaczkami i surówką. Rozmawiamy. Luckek opowiada jakie zawsze miał problemy z matematyki. Prawie takie jak z fizyki. Że mu przedmioty ścisłe nie szły. Że nie potrafił pojąć i zrozumieć. Tych liczb. Co która robi. Za co jedna z drugą odpowiada. Dlaczego jedna zachęca a druga zdradza. Lepiej mu szło z biologii. Co leży w człowieku. Jak człowiek oddycha. A jak zając zdycha. Jak komunikują się bakterie. O czym myśli pantofelek. Jak witają się bażanty. I gdzie na zimę odlatują sroki. Luckek mówi, że lubi historię. Co kiedy było. Kiedy byli królowe. Jak się wtedy żyło. Język polski. Swój czy obcy. Języki obce się boją polskiego. Bo go nie rozumieją. Więc śmieją się z niego. Tak miło rozmawialiśmy przy jedzeniu. O szkole. O nauce i o istnieniu. W zrozumieniu. Albo braku. Jedliśmy. Dla życia. Dla smaku.

Co do snu. Bo był kolejny. To był dziwny. Po powtórzył się. Dwie noce z rzędu. Byłem poetą. Na dworze króla. Dobrze mi się żyło. I niczego mi nie brakowało. Mięsiwa. Sery. Chleby. Wszystkiego było dostatek. Od wina zapomniałem że to moja wina. Że się nie dzielę. Że wszystko dla siebie. Niewiele gadałem. Częściej wiersze pisałem. Król mnie lubił. Jego dworzanie także. Uznawali mnie za swojego. Mówili, że dobrze że jestem. Że moje wiersze humor poprawiają. Że oni się na poezji nie znają, ale lubią się pośmiać do mojej. Rozweselić przed śpiewem. Pokrzepić się wierszem jak winem. I wszystko pięknie się układało. Aż pewnego razu spotkałem anioła. Miły, przyjemny. Wytworny zgoła. I podyktował mi raz wiersz ciekawy. Mówi, żebym pisał, a on resztę sprawi. Że ludzie go pokochają. Cały dwór i chłopci. Wszyscy wiersz ten poznają. Że stanę się sławny. Na całym kontynencie. Bo wiersz ten się uniesie i utuli ludzi w zamęcie. Podyktował. Napisałem. I królowi pokazałem. A król w złość wpadł. Król powiedział, że nie będę dłużej siedział. Na dworze. I grzał się w ciepłe Jego. Że skoro jestem taki mądry. To żebym poszukał sobie innej pracy. On mi już nie zapłaci. I wygnał mnie. Na cztery wiatry. Przegnał z królestwa. Na trzy. Ja mówię trzy. On cztery. Nie dogadaliśmy się. Wiersz go obraził. Bo prawda w nim była. Prawda iskrzyła i w serce raniła.

Więc poszedłem. A ze mną anioł. Szukać innego zajęcia. Aby na chleb zarobić. Próbowałem u kowala. Dostałem odcisków. Próbowałem u płatnerza. Powiedział, że nie będzie ze mnie rycerza. Próbowałem u kuśnierza. Ten powiedział, że mam dwie lewe ręce. Chcieli ze mnie zrobić kupca. Więcej straciłem niż zarobiłem. W końcu anioł zaproponował, że zrobi ze mnie anioła. Że w niebie będę wiersze układał. A ja na to, że nie śpieszy mi się umierać. A on na to, że może z ciałem zabierać. No więc dobra. Spróbujemy i zabrał mnie do nieba. Niemy. Przy bramie niebios pytają mnie po co przychodzę. W jakim celu. Anioł się nie odzywa. Mówię, że poezję piszę. Więc powiedzieli, żebym przeczytał. Preczytałem. Wiersz podyktowany przez anioła. Który zamieszanie całe wywołał. Posłuchali. Wystuchali i precz przegonili. Nie potrzebujemy drugiej prawdy, mówili. Twój wiersz, mówi o tym jak dotrzeć do prawdy, co lubi i jak ją oswoić. Jak sprawić, żeby ją podwoić. My mamy swoją. Prawdę objawioną. Nie potrzebujemy Twojej. Wynocha stąd. Ono. Anioł się zaśmiał i odezwał się gdy już byliśmy na ziemi. Umrzesz z głodu, ale sławny. Za lat kilka uznany zostaniesz za wilka. Jednego na milion. Co się nie bał sfory. Postawił na swoim i wygrał na prawdę wybory. Ten jedyny. Który wiedział. Ten jedyny. Co prawdę powiedział. Że jest się tym kim się jest. Tylko wybiera się kolory. Życie to czas jest decyzji. Życie to pole jest walki. Gdzie stajesz po stronie prawdy, albo giniesz od walki. Ty kolegujesz z prawdą. Prawda Cię więc wyzwoli. Ale umrzesz w biedzie. Bogaty prawdę zdradzi. A Ty nie będziesz zdrajcą. Nie odwrócisz się od niej plecami. Nie powiesz jej, żeby się zmieniła. Prawda jest sobą. Tak jak Ty. Poza wierszami.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **11 odpowiedź Dreyfusa**

Tak to jest kiedy słuchasz aniołów  
Do czegoś to doprowadzi, tak jak ryb połów

Nie zawsze do tego czego się spodziewasz  
Anioł nie zawsze zwraca uwagę jak się dzisiaj miewasz

Nie myśli o czym marzysz, jak wyobrażasz sobie życie  
Nie zastanawia się jak Ciebie zadowolić. Po swojemu, należycie

Anioł ma swój sposób myślenia  
Anioł ma swój sposób patrzenia

Widzi to co widzi  
Samego siebie się nie wstydzi



Jego celem jest zawsze zbawienie  
Jego celem jest świętości na ziemi zasianie

Aby ludzie chcieli się dostać do nieba  
A nie brali piekła w przecenie. Jak na zawołanie

Mówisz i masz, duszy zatracenie  
Myślisz i wiesz, że to złe jest. Mącenie

Wody, która jest i powinna zostać czysta  
Dbaj o wodę. Pij zimną. Kiedy jest przezroczysta

Dbaj o chleb, przez Ciebie spożywany  
Świeży chleb jest przez największych niejadków kochany  
Babcia nakarmi, chlebem co w słowo się zmieni  
Babcia zaskarbi przychylność tego co na ziemi

Co na ziemi, w ziemię obrasta  
A Ty na ziemi masz przedsmak Bożego ciasta

Jeśli wiesz co próbujesz  
Jeśli dobrze wybierasz

Poczęstuj się mądrze  
A nie farbę ze ściany zdzierasz

Ludzie patrzą a Ty z zieloną farbą za paznokciami  
Odpowiadasz, nie interesuje mnie co pomiędzy nami

Dla mnie liczy się niebo  
Dla mnie liczy się światło

Cała ściana już zdarta  
Do tynku. Na gładko.

**12 list**

**4 kwietnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

List lubi listy. Chodzą ze sobą na spacer. Lubią usiąść razem pod gruszą. Nie boją się, że owoc spadnie im na głowę. Nie boją się, że zemnie je wiatr. Nie boją się także, że mżawka rozmyje ich litery. Listy żyją w swoim świecie. Tajemniczym. Tylko dla czytelnika. Tylko z czytelnikiem dzielą się tajemnicą. Emocją. Budują słowo. Tworzą je z białej kartki. Kartka jest matką. Tusz ojcem. I tworzą. Spotykając się pośrodku. Dotykając jedno drugiego. Brudzą się przy tym. Znak za znakiem. Słowo staje się krzakiem. Łódką. Albo kajakiem. Co sobie wymarzysz. Co tylko naważysz. Listy także się nie starzeją. Nie mają tego w zwyczaju. Gdy wracasz do listu, nawet po latach, zawsze jest aktualny. List jest wieczną terażniejszością. List jest mową życia wiecznego. Tu i teraz. Na zawsze. Od zawsze. Ktoś puścił słowo w ruch a ono napędza i tworzy kolejne. Jest co kraść. Jest o czym marzyć. Dlatego tak lubię listy. To perwersja słów złodzieja. Co listy ze sobą skleja. Aby tworzyły i układały się w większą całość. Aby nie kończyły się wraz z kartką. Ciekaw jestem Twojego zdania na temat listu kolego. Ciekaw jestem czy rozpoznajesz głębsze znaczenie jego. Mówienie. Niedocenienie. Albo słów stracenie.

Byłem dziś w więziennej bibliotece. Pożyczyłem Dzieje Herodota. Zajmą mnie na jakiś czas. Chyba, że znudzą. To zanudzą. Czas i mnie. Szukając książki spotkałem Augustyna. Więźnia nienawiści. Nienawidził wszystko. Począwszy na samym sobie a skończywszy na każdej innej osobie. Opowiedział mi jak wpadł. Za nienawiść żony. Najpierw. Tak się zaczęło. Później było już tylko gorzej. Drugi raz go zgarnęli za nienawidzenie państwa. Kraju całego. Nienawiść do wszystkiego. Nienawiść na całego. Mówi, że nie żałuje. Mówi, że się nie odzwyczaił. Teraz nienawidzi więzienie. Cichaczem. Żeby nikt nie zauważył. Żeby nikt nie zwrócił uwagi. Może mu się upiecze. Może ujdzie to płazem. Więzienie jest stare, głuche i ślepe. Trzeba by go łać kijem, żeby zwróciło uwagę. I to tylko pod warunkiem, że ból przyznałby się, że jest bólem. Więzienie jest królem. Ale tylko w granicach określonych murem.

Okazało się, że szukają chętnego więźnia do pomocy przy książkach. Godzina, dwie dziennie. Układanie na odpowiednie działki. Alfabetycznie. Według autora. Zgłosiłem się. Może mnie wezmą. Zawsze dzień szybciej zleci. Zawsze coś. Zobaczymy. Jak będzie. Lub nie będzie.

Dziś na obiad placki ziemniaczane z gulaszem. Z serii ziemniak na tysiąc sposobów. Ale placki ziemniaczane lubię. To taki wiejski fast food. W polskim wydaniu. Lucjan był bez humoru. Cały dzień. Pokłócił się z każdym kogo zobaczył. Prawie. Mnie zarzucił, że zostawiam swoje rzeczy byle gdzie. Że fleja jestem. Może. Ale rzeczy się nie skarżą. A to im powinno przeszkadzać. Jak coś. A pretensji brak. Więc się nie przejmuję.

Co do snu to miałem. Nie skłamię, że nie. Tym razem był różowy. Już opowiadam. Stałem w jakimś wielkim stawie. A może bardziej były to pewnego rodzaju mokradła. Po kolana w wodzie. I łowiłem ryby. Na wędkę. Rano. O świcie. Nagle przyleciały flamingi. Dwanaście. Jeśli dobrze policzyłem. Różowe. Poza jednym. Jeden był bardziej czerwonawy. I stoją w wodzie na swoich długich nogach i łapią. Ryba za rybą. Jedzą w najlepsze. A ja nic. Mnie ryby nie biorą. Nie potrafię złowić nawet jednej. Nagle widzę obok mnie anioła. Z wędką. Mówie mu, że szkoda jego czasu. Nie biorą. A on do mnie na to, że flamingi są innego zdania. Nagle stało się coś dziwnego. Czerwonawy flaming zaatakował pozostałe ptaki. Wywiązała się bójka. Walka na dzioby. Różowych było więcej i po chwili wydawało się, poradzili sobie z buntownikiem. Czerwonawy flaming odleciał smutny na zachód. Anioł mówi do mnie, tak to jest gdy jeden występuje przeciwko wszystkim. Tak się kończy gdy masz o sobie zbyt wielkie mniemanie. A poszło o jedną rybę. W stawie pełnym ryb. Odpowiedziałem, że nie wiem gdzie te ryby. Dalej nic nie złowiłem. Anioł odłożył wędkę. Schylił się. Wyjął z wody dorodną rybę i podał mi

uśmiechając się od ucha do ucha. Ja na to, że to jego. Nie moja. Nie potrzebuję litości. On na to że mam wybór. Ryba z litości, lub duży łyk złości. Powiedziałem, że odlecę jak czerwony flaming. Może razem znajdziemy lepsze łowisko. Anioł odpowiedział na to, najlepsze łowisko jest to, które jest blisko. I obudziłem się nie wiedząc, czy jestem flamingiem, aniołem, czy człowiekiem.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **12 odpowiedź Dreyfusa**

Gdybym nie lubił listów  
Nie pisałbym do Ciebie

Gdybym nie lubił słów  
Nie znalazłbym się w niebie

Gdybym nie wiedział dokąd autobus ten jedzie  
Nie dostałbym rosółu na niedzielny obiedzie

Listy piszę często  
Zazwyczaj sam do siebie

Opowiadam w nich co słycać  
Mówię co znalazłem w chlebie

Jakie ziarno, jaką mądrość nową  
Czy przyszła do mnie sama, czy musiałem ruszyć głowę

Czy przedstawiła się na wejściu  
Czy zabłądziła już na obejściu

Czy opowiedziała o sobie  
Czy milczała jak w grobie

Jakie ma oceny na świadectwie  
Czy ma pochodzenie niemieckie

Jak odnosi się do starszych  
Czy woli szpinak, czy rukolę

Ja znam odpowiedź  
Siebie wolę

Wolę posłuchać co mam do powiedzenia  
Wolę zastanowić się nad powodem brodzenia

W wodzie razem z flamingami  
Jeden był inny. Jak to ze stworzeniami

Nie jesteśmy tacy sami  
Nie jesteśmy z jednej formy odlani  
Niby podobni, niby wygodni  
Ale różnimy się. Jak to z wierszami

Każdy jest inny  
Każdy o czymś mówi

Opowiada historię,  
O tysiącu i jednym słowie

Co raz weszło i zostało w głowie  
I od tego czasu cały świat mam na głowie

**13 list**

**21 kwietnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy. Urodziny Lucjana. Poświętowaliśmy. Udało mi się załatwić cztery muffinki czekoladowe. Zamiast ciasta. Podane przez żonę znajomego. Nawet świeczka była do zdmuchnięcia. Wszystko jak na pełnoprawnej imprezie urodzinowej. Prawie. W prezencie dostał duży blok rysunkowy i farby. Żeby nie zapomniał jak się maluje. Zrzuciliśmy się z chłopakami z celi obok. Lubią się z Luckiem. Pojawiła się też flaszka. Lucek miał nie pić ale się złamał. Leży teraz podpity. I nuci sobie „House of the Rising Sun”. Tak się zastanawiam, jak wyglądałby świat bez muzyki. Bez gry na fortepianie. Akordeonie. Kontrabasie. Bez śpiewu. Sopranu i barytonu. Muzyka jest życiem. Uzewnętrznia człowieka. Pokazuje bebechy. Chwali się sercem. Mówi, weź, popatrz to moje. To ja. Moje serce i dusza. Tak gra. To melodia. To

solówka na gitarze a to śpiewam. Ja. Ja muzyka. Ja dźwięk. Ja rytmika. Że jeździec spada z konika. I gruchota sobie kości. O prawdę. Ubraną w melodię miłości. Nie byłoby muzyki, gdyby nie uczucia. Gdyby nie prawda i przecucia. Co po jednym dźwięku się rodzi. Następny. Jeden umiera i przekazuje życie następnemu. Jeden śpiewa dźwięk przekazany kolejnemu. Świat byłby smutny bez muzyki. Popatrz na ptaki. Jak śpiewają. I zakaz im tego. Każ im cicho siedzieć. Nie będą siebie wiedzieć. Nie poznają same siebie. Nie odnajdą się w ciszy. Będzie dla nich więzieniem. Będzie łapką na myszy. Czymś wymierzonym w ich serce. Czymś co ma je zdławić i wykończyć. Ptaki są podobne do ludzi. Niektórych. Co w muzyce widzą wolność. Co w muzyce widzą świt. Jasność która wstaje i spać dłużej nie daje. Jasność, która budzi. Jasność, która nie marudzi. Zagraj kiedyś. Zaśpiewaj. Nie sam. Z innymi. Poczuj siłę muzyki. Zrozum jak jest między tymi, co unoszą swoją duszę. W muzycznej pasji pełnej poruszeń.

Urodziny urodzinami, ale jeść coś trzeba. Dziś na obiad były łazanki z kapustą i boczkiem. Nie da się bardziej po polsku. Tak smakuje Polska. A przynajmniej tak mi się kojarzy. Mój kraj na talerzu. Lucek wybierał kawałki boczku i odkładał na bok talerza. Uwolniłem go od tego kłopotu. Zabrałem co źle się na niego patrzyło. Zjadłem co wzrok mu zamgliło. Nie każdy lubi to samo. Nie każdy potrafi to czy tamto. Są bardziej i mniej utalentowani. Ale zazwyczaj są ludzie leniami. Niewielu chce odkryć co potrafi, do czego ma dryg. Większość żyje z chwili na chwilę. Byle przeżyć. Byle nie przyczepił się nikt.

Kiedyś Cię zaskoczę. I nie opowiem o swoim śnie. Może. Jeśli go nie będzie. Lubię moje sny. Dzięki nim moje życie jest ciekawsze. Współczuje tym, którym nic się nie śni. Nie mają tego humoru po przebudzeniu. Dobrego, lub złego. Zdziwionego, zaskoczonego. Który wynoszą ze snu. Który tworzy się bez ich kontroli. Wibracja. Umysłu, lub duszy. Zależy od tego kto pyta. Zależy od tego kto odpowiada. Zależy czy broni się, czy skrada. Dziś przyśniła mi się jesień. Jesień na wiosnę. Grabiłem liście. Żółte. Czasami pojawiały się pojedyncze czerwone. Z pod wielkiego kasztanowca. Obok były mniejsze drzewa. Nie zapamiętałem jakiego gatunku. Ja grabiłem. Anioł pomagał i wkładał liście do opałki. Następnie razem wynosiliśmy je kilkadziesiąt metrów dalej i wysypywaliśmy na kupę. Przygotowane do spalenia. Pracowaliśmy w ciszy. Po kilku kursach anioł poprosił mnie o zapałki. Podałem. Podpalił kupę liści. Zajęty się szybko. Spalały się dymiąc na szaro. Wielki ogień. Sięgał mojej wysokości. Poszliśmy po kolejne, ostatnie liście. Zebraliśmy je do opałki. Wracamy a ogniska nie ma. Po ognisku nie ma śladu. Jest natomiast strażak. Stoi na miejscu gdzie było ognisko ubrany w charakterystyczny stój. I mówi, że będzie mandat. Że zgłosił do odpowiednich organów. Nie można wypalać czerwonych liści. Można tylko żółte. A my je zmieszaliśmy. Nie dość, że zmieszane, to jeszcze spalone razem. Żółte dają inny dym a czerwone inny. Dymy się pomieszały i pokłóciły. Trzeba było interweniować. Rozdzielać. Zamknąć w osobnych wozach strażackich. Żeby się uspokoiły. To potrafi zniszczyć psychikę. Dymu i liścia. Co pomyśli rodzina i przyjaciele. Co pomyśli ksiądz na parafii. Gdy się jeden z drugim trafi. Połączony. I w złączeniu perfidnie spalony. Przeprosiłem. Anioł powiedział, że on jest tylko niezależnym obserwatorem. Znam ja te anielskie sztuczki. Taki śmieszek. Niby zabawny. Niby humor dopisuje. A jak przychodzą kłopoty, to mówi ja tu nie stałem. Ja tylko ochotę popatrzeć miałem. Kolega. Jak psa buda. Co nie szczeka. A pies myśli że maruda.

Lucjan mówił, że powinni mnie zamknąć w psychiatryku za te moje sny. Nakarmić lekami. I byłby spokój ze wspomnieniami. Śniłyby mi się zastrzyki. Siostry oddziałowe i stare pryki.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **13 odpowiedź Dreyfusa**

Muzyka jest dobra i zła  
Jak w życiu, jak ciasta dwa

Jedno urosło i jest smaczne  
Drugie nieudane, zakalcowate

I tak to już jest z muzyką po zmroku  
Że różni się w swoim toku

Od tej co w ciągu dnia słuchamy  
Jak wtedy, kiedy ciasta wyciągamy

I sprawdzamy i się zastanawiamy  
Na co się natkniemy i jakie Jego plany

Względem każdego z nas  
Popatrz na swoją twarz

Ile wyraża, czy się nie obraża  
Jak słyszy prawdę od duszy lekarza

Jak słyszy szum który robi tłum  
A od tłumy uciekam

Od tłumy trzymam się z dala  
Tłum hałasuje i zapija robala

Ja już swoje wypitem  
Z Bogiem się podzieliłem

Na końcu oddałem wszystko  
Butelkę, ziemię, ściernisko

Dobre złe

Użyteczne, nie

Dałem co miałem bo to prezent był od serca  
Bóg powiedział, dziękuję, ja nie kat morderca

Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz  
Nie oczekuję, że we mnie uwierzysz

Liczy się tylko to  
Czy ciągle i wciąż bieżysz

Czy jesteś w ruchu  
Płyniesz jak rzeka

Rwąca, lub dostojna ale w ruchu  
I na przeszkody nie narzeka

Omija je, nad, pod przepływa  
Zawsze czysta, twarz swą obmywa

W uczynkach dobrych  
I ludzi pogodnych

Snach i marzeniach  
Co są nie do spełnienia

Tak to już bowiem jest z tym Boskim planem  
Że chadza swoimi ścieżkami, nie oczekuj na nie

Że podejda i pozwolą się pogłaskać Jego plany  
Że dokarmisz je owsem, że plan będzie w nawias brany

**14 list**

**3 maja, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dziś dzień ciekawy. Inny niż zwykle bo poświęcony ojczyźnie. Święto państwowe, które wpływa na głowę. Wpływa na samopoczucie i zapewnia z codzienności odtrucie. Przez dobre dwie godziny czytałem w więziennej bibliotece. O Bitwie Warszawskiej 1920 gdzie odparliśmy nacierających sowietów. O zbrodni katyńskiej 1940 gdzie straciliśmy kwiat naszej polskiej

ziemi. O egzekucjach więźniów Pawiaka w Palmirach przez nazistów. I o Powstaniu '44 które zmieniło kariery w dumę bez bariery. Krew. Wszędzie krew. Polska. Przelewana dla wolności. Dla tej ziemi. Naszych przodków. Krew dla krwi. By nikt jej nie rozcieńczył. By nie zmieszala się z błotem codzienności. Zwykłości. Braku nadziei. Braku marzeń. Wszystko jedno kto przyjdzie. Wszystko jedno co zabierze. Co nam każe. I do czego zmusi. By nie zapominać o godności człowieka. O godności Polaka. O honorze i wigorze. Co w polu orze. A od święta strzela. Jak wróg przyjdzie. I gdy widzi Hitlera. Albo innego wariata, co mało mu wciąż świata. I podbijać chce dalej. Zabijać swoje smutki i żale. Wysyłając żołnierzy. Rozkazy, by strzelać. By wysiedlać ludność. By w obozach pracy, wycieńczeniem rozweselać. Nie ma spokoju na świecie. Nie ma spokoju w sercach smutnych. Tych co Boga nie pragną. Tych co określają jako ładną, tylko zdobycz wojenną. Tylko stronę ciemną. W której sami wciąż toną, pod ciężarem broni. Pod ciężarem amunicji. Oddziałów patrolowych oraz milicji. Bóg patrzy i się dziwi. Niby ci ludzie leniwi. Niby tacy lękliwi a nie przestają wciąż strzelać. Nie przestają wybierać. Na którą ziemię napadną. Którą ziemię rozkradną. Która rodzina kolejna. Wyjedzie do Oświęcimia. Która dziewczyna kolejna, zgwałcona zostanie zbiorowo. Bo zbiorowo jest łatwiej. Wydaje się że można. Skoro inni robią to samo. A kto mówi rzecz trwożna. A kto mówi nie wypada. Ten kto poznał człowieczeństwo. Ten co się wita i stawia mu kawę. Nad ranem, aby się rozbudzić. Ten co woła, to szaleństwo. Gdy widzi jak człowieczeństwo marudzi. Że ta śmierć taka, że ta owaka. Że ta ziemia niewarta, bo nieurodzajna. Człowieczeństwo powinno wymagać. Aby człowiek, nie rzecz tajna. Był szanowany przez człowieka innego. Nie może być inaczej, bez spięcia prądowego. Bez tego co zamieszanie wprowadza w spokojniejszą okolicę. Człowiek jest najważniejszy. Nie ważne czy z kresów, czy ze stolicy. Człowieczeństwo przekonałem. Uspokoiło się trochę. Teraz bardziej patrzy sobie na ręce. Jak mu zwracają uwagę, że ubrudzone trochę. Gdy pokazują i krzyczą. Masz tu zostać, pilnować. Człowieczeństwo bierze sernik i mówi, że go musi skosztować.

Dziś obiad. Kuchnia nie świętuje. Kuchnia nie strajkuje. Z byle powodu. Bo nie lubią głodu. Podali gołąbki. Na zielonym talerzyku. Po dwa na osobę. I już nie było krzyku. Że ten chce więcej, a tamten nie dojada. Każdy ma po równo. Nawet jak się wróg skrada. Do gołąbków sosik pomidorowy. Świeży. Pachnący. Nowy. Nie odgrzewany z dnia wczorajszego. Mówię mu, tak, to ten smak. A on nic nie rozumie z tego. Tematu wojennego. Przez wielu poznanego. Ale tak to właśnie jest. Że wojna dotyka wielu, ale rozumie ją niewielu. Jak ze wszystkim. Resztki dajemy bliskim. Sami zaś najeść się chcemy. Kto potwierdza. Lubi kremy. I masaże. Dba o siebie. Sam lub w parze.

Koniec o wojnie. Bo ile można. Gadać długo. Strzelać mniej. Chyba, że ktoś do strzelania się zabiera od strony złej. Co do snu to był pływak. Nurkowałem w jakimś morzu. Pamiętam że woda była ciepła. Bez sprzętu. Płynąłem na dno i wyławiałem małże. Szukałem pereł. Ja nurkowałem a anioł czekał na łódce i odbierał znaleziska. Raz wyłowilem dużą żółtą perłę. Kilka razy mniejsze, białe. Aż trafiła mi się wyjątkowa. Olbrzymia perła zamknięta w nie tak dużej małży. Niepozornej. Schowana. Mieniąca się. Opalizująca. Czarna perła. Nigdy nie widziałem większej. Nigdy nie widziałem piękniejszej. Podałem ją aniołowi. Żeby zobaczył. Co wyłowilem. Naszą zdobycz. Naszą piękność. A on zamachnął się i wrzucił perłę do morza. Krzycząc przerażony, co robisz. Nigdy nie widziałem tak pięknej perły. Nigdy nie wyłowilem czegoś podobnego. A anioł na to, zanurkuj jeszcze dwa razy. Ostatnie dwie próby. Zanurkujesz, bierzemy co wyłowisz i wracamy na brzeg. Zanurkowałem. Wyłowilem dwie małże.



Zanurkowałem, wyłowiłem trzecią. Otwieramy. Patrzymy i oczom nie wierzymy. Trzy perły. Identyczne jak ta wyrzucona. Czarne, piękne, wielkie. Okrągłe. Bez rys czy zagłębień. Patrzą na anioła. A anioł się śmieje. Mówię mu, że anioły lubią nadzieje. A anioł odpowiada, to zależy od tego co się dzieje.

Obudziłem się nie dowiedziawszy się co się z perłami stało. Obudziłem się wiedząc, że ten anioł jest bardziej cwany niż myślałem. Że więcej daje, niż ja chciałem. Dobry anioł to podstawa. Bez niego strawa nie smakuje jak potrawa. Ciekaw jestem, tak się zastanawiam ile osób jeszcze ma podobne sny. Ilu osobom pojawia się w snach anioł. I opowiada, że są coraz dłuższe dni.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **14 odpowiedź Dreyfusa**

Państwo to obowiązek  
Kraj to z ludźmi związek

Wspólne połączenie  
W jednym celu istnienie

Dla dobra wspólnego  
Gdy pytają o niego

Mówię, że dobro trzymam w kieszeni  
I wyciągam gdy nie ma cieni

Gdy nikt nie chce go zabrać  
Gdy nikt nie chce go nabrać

Gdy dobro się przydaje  
Lub gdy pokazuję mu zgraje

Ludzi co nie lubią ojczyzny  
Ludzi co nie lubią kraju

Mówię im, że kraj ich wychował  
Oni mówią, że stoją na rozstaju

Że niby rozumieją, że ojczyzna jest ważna  
Ale narodowość to podział, przyczyna nierozważna

Która mówi, to my to oni

Która mówi, łapmy, mówi, do broni

Że lepiej czuć się obywatelem świata  
Ja mówię, że to gadanie wariata

Ludzie są bowiem różni  
W różnych częściach globu

Są różne tradycje  
Są różne doświadczenia

Inne są też religie  
A to nie jest bez znaczenia  
Dla budowania wspólnego celu  
Dla powstawania wspólnej racji

Racja jest racją między nami  
A nie jak zaznała wakacji

Lub gdy wyjechała w interesach  
Albo zamieszkała na kresach

Do powiedzenia na koniec mam jedno  
Że ojczyzna jest rzeczą niepochlebną

Dla tych którzy nie znają miłości  
Dla tych którzy jedzą ryby dla ości

**15 list**

**27 maja, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Najgorsze w więzieniu jest pozostawanie w czterech ścianach. Zamknięcie przed światem. Pozostawanie z dala od natury. Ty sobie a świat sobie. Nie czujesz się częścią świata. Nie czujesz się częścią życia. Stajesz się więzieniem. Stajesz się zamknięciem. Odcinasz się. Od promieni słońca. Od powiewu wiatru nad ranem. Od zachodu słońca wieczorem. Nie widzisz tego. Nie przeżywasz. Wszystko takie samo. Mury. Sztuczne światło. I ciągle te same twarze. Z takim samym wyrazem. Wszyscy przeżywają to samo. Wszyscy to czują. Oderwanie. Świat ma na nas wielki wpływ. Przyzwyczajamy się do tego, że żyjemy w takich a nie innych warunkach. Że spotykamy różne osoby. Że stykamy się z różnymi sytuacjami. Dzień na

wolności nie ma rozpiski na godziny. Nie powtarza się z taką powtarzalnością jak dzień w celi. Ale ludzie tego nie doceniają. Tego że mogą. Tego, że sami kształtują swoje życie. Tego, że je budują. Jak chcą. Czasami uginają się i dostosowują do kogoś. Ale nie ma to porównania do dostosowania się do roli więźnia. Żadnego. Z niczym nie można porównać zamknięcia. Z niczym nie można porównać braku wolności. Braku tego, mogę. I drugiego, decyduję. I trzeciego, sam buduję. Moim zdaniem każdy powinien zostać zamknięty w więzieniu. Na dwa tygodnie. Tyle wystarczy. By zatęsknił. By zrozumiał. By docenił to, co nazywa zwykłym życiem. Co nazywa codziennością. Codziennosc kojarzy się nam z rutyną, która zabija życie. Nikt nie każe nam powtarzać, ciągle tego samego, ciągle jednego, ciągle od nowa, aż ciągle boli głowa. Sam tworzysz swoje życie. Sam tworzysz swoje jutro. Gdy jest gorąco chodź w samej koszulce, gdy jest zimno nałóż futro.

Układałem dziś książki w więziennej bibliotece. Jeden z więźniów podszedł do mnie i zapytał mnie czy znajdzie tu bajki dla dzieci. Zdziwiłem się. Więzień, który czyta bajki. Ale rozwinął temat i wytłumaczył, że ma dwójkę małych dzieci. I codziennie czytał im bajki na dobranoc. Tęskni do nich. Ciągle o nich myśli. I chciał poczuć się jak w domu. Przeczytać bajki. Może dzieci usłyszą. W myślach. Myśl ojca. Że tęskni. Że nie może się doczekać powrotu do domu. Do dzieci. Tylko nie mów nikomu. Bo więźniowie powinni być twardzi. Takie panuje przekonanie. Powinni nie żałować. I nie tęsknić. Powinni się przed policją chować. W sobie samym. W sobie nie znanym. Osobie młodej. Co idzie do ślubu z przestępstwem w welonie panny młodej. Znalazłem bajki. Takie, owakie. Dałem koledze po fachu. Co chciał powspominać. Podziękował. Ze szczęścia miał łzy w oczach. Ja przywitałem się z prawdą. On z samym sobą. Tak to już jest. Że gdy więcej chcesz. Więcej masz. Lub o to czego nie masz, dbasz. Lub nie masz i nie dbasz. A na obrazie gwasz. Ludzie są różni. Każdy wybiera. Jak żyje. Jak to jakimi farbami namalować obraz. Na czym. Jakimi kolorami. Co będzie na obrazie. Tyle zmiennych. Tyle decyzji. A Ty ciągle pozostajesz na wizji.

Zjadłem dziś obiad w towarzystwie. Jak zwykle. Lucek. W średnim humorze. Ani nie sypał żartami, ani nie był smutny. Taki. Takość przejęła nad nim kontrolę. Opowiadał, że jego dziewczyna popłakała się do słuchawki. Podczas rozmowy. Że tęskni. Że nie wytrzyma tyle czasu. Lucjan mówi, że próbował ją uspokoić. Ale na niewiele to się zdało. Z kobietami nie jest łatwo, odpowiedziałem. Gdy już się rozpędzą, to trudno je zatrzymać. Takie mam doświadczenia. Tak to zwykle bywało. Dzielę się z Luckiem przemyśleniami zajadając się śląskimi kluskami. Z roladą i surówką. Dziś śląski obiad. Jak dla górnika. Może chcą nas zmobilizować do kopania tunelu. Ale zapomnieli rozdać łopaty. A rękami ciężko się kopie.

Śniła mi się dziś kopalnia. Ale diamentów. Bez diamentów. Albo z układem, dużo kopania, mało diamentów. Kopałem kilofem. Co jakiś czas pomagałem sobie łopatą. Pod ziemią. Niewiele było światła. Niewiele było powietrza. Źle się oddychało. Do tego czułem, że śmierzę potem. Czułem, że boli kręgosłup. Nie było lekko. Aż w pewnej chwili. Natrafiłem na coś. Na kamień. A z kamienia patrzył się na mnie diament. I mówi do mnie. Zostaw mnie tutaj. Tu jestem u siebie. Znam okolicę. Tu się wychowałem. Między tymi skałami i kamieniami dorastałem. Patrzę. I widzę anioła. Wziął się nie wiadomo skąd. I patrzy. Co zrobię. Odpowiadam diamentowi, na powierzchni będzie Ci lepiej. Oszlifują Cię. Wydobędą z Ciebie cały blask. Wydobędą to co najlepsze. Staniesz się brylantem. Ktoś oprawi Cię w złoto. Ktoś inny będzie nosił z ochotą. I mówił, patrzcie jaki jest piękny. Błysk w kamień zaklęty. Diament na to mówi, nie chcę. Wolę tutaj. Wolę w brudzie i kurzu. Wolę po staremu. W znanym mi, zwykłym

istnieniu. Ulitowałem się i go zostawiłem. Anioł na to, że kończy się stratą. Zawsze. Tego który znalazł. Tego który docenia. Ale na siłę nie zmienia. Nawet diament ma własną wolę. Nawet diament może wybrać swawolę. Albo zwyczajne w brudzie życie. I swoje nieodkrycie. Pytanie co Ty wybierzesz, ciągnie anioł. Pytanie czy Ty zdecydujesz. Wydobyć z siebie to co piękne. Czy w pyłe i brudzie się trujesz.

Lucek powiedział, że gadałem przez sen. Że powtarzałem, truję się. Truję się. Pytał o co mi chodziło. A to dopiero do mnie dochodziło.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **15 odpowiedź Dreyfusa**

Wiele osób zamyka się w więzieniu  
Na własne żądanie

Wiele osób samych siebie więzi  
I uznają to za dokonanie

Że niby potrafią, że wybierają sami  
A wybierają celę, kraty i kłódkę

Wychodzą do baru lub piją w domu  
I sami zmieniają się w wódkę

Albo zazdrozczą tego, czy tamtego  
I zmieniają się w zazdrość, wieczoru pewnego

Albo zakazują żonie tego czy tamtego  
Więząc ją w domu z powodu nieznanego

Z powodu wydumanego chcesz inaczej niż wolność  
Nie doceniasz co masz, nie szanujesz. co to godność

Myślisz tylko o sobie. Myślisz że wolność wciąż masz  
A wolność to widzi i śmieje Ci się w twarz

Wolność opowiada bajki Ci na dobranoc  
A Ty chcesz czytać samodzielnie, chociaż potrzebna Ci pomoc

Bo nie składasz jeszcze liter odpowiednio. W słowa  
Niby mówisz. Na ile potrafisz. Ale co to za mowa

Jak mylisz znaczenie i mylisz życie z istnieniem  
Poznaj człowieka po oczach, podążaj za znaczeniem

Uszanuj to co znaczenie posiada, co znaczenie tworzy  
Forma formuje. Słowo buduje. Zło oszukuje

A Tobie wydaje się, że tylko trutka truje  
Truje zaś wszystko co buzuje

Wszystko co chce i pragnie na własność  
Wszystko co się pali, a próbuje zgasnąć  
To co wiąże siebie i innych  
To co zapisuje się do niewinnych

Umywa ręce i mówi, nie ja  
A ja wiem i czuję, że to droga ta

Odpowiednia co prowadzi do Pana  
Powszednia, co przysparza uśmiech od samego rana

Bo gdy śmiać Ci się chce  
Gdy z radością mylisz mnie

Możesz mieć pewność i przekonanie  
Że dobrze krocysz. Że patrzysz na nie

Na przekonanie, że wolność to skarb  
Wybierz więc właściwy kolor farb

**16 list**

**10 czerwca, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Kolejny miesiąc. Kolejny tydzień. Kolejny dzień. Liczę chwile, choć nie byłem nigdy dobry z liczenia. Chwile, które straciłem. Lub chwile, które zyskałem. Tylko my sami możemy uznać czas za stracony. Czas się takim nie czuje. To nasza percepcja tworzy ładunek emocjonalny. Który wiąże ze wspomnieniami. Czy z tym co się aktualnie dzieje. Nasze doświadczenia przestrzegają nas, lub skłaniają do określonej postawy. Nasze postawy sprawiają, że nie jesteśmy jednokolorowi. Jesteśmy jak życie, którego doświadczamy. Zabarwiamy się na różne

kolory. W zależności od doświadczenia. W zależności od tego co nas spotyka. Zmieniamy się. Dostosowujemy do sytuacji. Szukamy spokoju, albo atrakcji. Szukamy szczęścia, albo motywacji. Co lepsze, co gorsze, nie powie Ci nikt. Sam tworzysz samego siebie. Ważne tylko, żebyś nie znikł. Ważne, żebyś nie wylądował w rowie. Kto ma mówić, ten powie. Kto ma słyszeć, usłyszy. Kto ma widzieć, zobaczy. Ważne, abyś spróbował, po połowie. Poznał połowę po słowie. Ważne, abyś wiedział gdzie góra. Jak się wspiąć i co zwiastuje czarna chmura.

Dziś miałem nietypowe doświadczenie. Odwiedziny. Przyszedł zobaczyć się ze mną kumpel. Jeszcze ze studiów. Zamierzchłe czasy. A pamięta o mnie. A interesuje się moim losem. A nie jest mu wszystko jedno co ze mną. Jest a co powinno. Przyniósł świeżo pieczony chleb. Domowy. Jakieś słoiki. Ogórki kiszzone. Dżemy. I książkę. Dżumę, Camusa. Znam więc porozmawialiśmy chwilę o tej powieści. Czy świat rzeczywiście jest tak zły. Czy tylko ludzie kolorują go i przebierają po swojemu. Aby był dziwny. Niezrozumiały. Aby stał się pokraczny. Czy to choroba umysłów. Czy to choroba serc ludzkich. A może taka już natura człowieka. Może to normalne, że się pali. Ma płonąć, bo jest co palić. Ma kto podpalać. Zajmuje się jeden od drugiego. A na święta powinniśmy sobie życzyć, wszystkiego złego. Wszystkiego spalonego i zwęglonego. Choć ogień ziemię użyźnia. To może jeszcze wyszło by z tego coś dobrego. Dobro rodzące się ze zła. Czy to wykonalne. Czy w naturze to możliwe. Czy to jakiś słowny ewenement tylko. Wynaturzenie. Ale ludzie to też wynaturzenie. To jak mieszają wszystko w jednym kotle. Dobre i złe emocje. Nienawiść z miłością. Szczęście z nieszczęściem. Histerię tworzy spokój, czy spokój histerię. Kto jest czyją matką. A gdzie ojciec. Ojciec uciekł, gdy byłeś jeszcze mały. Wyjechał za pracą i zapomniał, że ludzie się bogacą. Że umysł nie jest zamrożony. Że żyje i jest na posyłki własnej żony. Tylko pytanie kto jest Twoją matką, ojciec jest mniej ważny. Ale istotna jest Twoja żona. Z kim się ożeniłeś. I na co ona skona. Kiedy i po co. Czy przekaże dalej życie. Czy tylko melancholię. I życie w nieżycie. Żołądkowym. Pytanie od czego. Wiesz doskonale. Tylko się nie przyznajesz do tego.

Kolega opowiadał, że jeździ na motorze. Że to jego pasja. Że już się zrobiło ciepło, więc zaczął sezon. Planuje z kolegami jechać w lecie do Skandynawii. Zobaczyć klify. Zobaczyć Lofoty. Cieszę się. Że on się cieszy. Widzę ile to dla niego znaczy. Oczy mu się śmieją, gdy opowiada o wyprawach motocyklowych. O spaniu pod chmurką. O poznawaniu takich jak on dziwaków. Obieżyświatów. Którzy nie czekają na drugie życie. Którzy chcą wykorzystać to co mają. Wycisnąć je jak cytrynę. Spróbować wielu smaków i zostać przy najlepszym. Przy jedynym. Od którego nie psują się zęby. Od którego nie zginiesz w nędzy. Ducha. Który słuca. I nadziwić się nie może. Jak to jest, że we właściwej oborze siana jest ile tylko być może.

A do jedzenia podano pieczeń wieprzową w sosie pieczeniowym, z ziemniaczkami i kapustą pekińską. Z jajkiem. Lucjan mi opowiadał przy jedzeniu swój sen. Że gonił go facet z nożem. Aż go dogonił. Powiedziałem, że świnia, która zmieniła się w pieczeń na talerzu mogła mieć podobny sen. Proroczy. Pośmialiśmy się. Dobrze się je w miłej atmosferze. Lepiej wtedy smakuje. Zapomina się o plastikowych sztuczkach. Zapomina się o tym kto gotuje. Ale nie ważne kto gotuje. Trzeba mieć szacunek do ręki, która karmi. Zawsze. Bez względu na pogodę.

Co do snu. To miałem. Pewnie Cię to nie dziwi. Pisze przecież zawsze, gdy coś mi się śniło. Tym razem była zima. Dużo śniegu. Byłem na stoku. Wielkim. I zjeżdżałem na sankach. Jako jedyny. Wszyscy jeździli na nartach, albo na desce. A ja na sankach. Rozpędzałem się do takiej prędkości, że ciężko było mi się na dole zatrzymać. Zatrzymywała mnie zaspą. Zderzenie z twardym śniegiem nie było przyjemne. A później wędrówka na górę. Piechotę. Krok za

krokiem. Był wyciąg. Krzesetkowy. Ale nigdy nie korzystałem z czegoś podobnego, więc nie przyszło mi do głowy, żeby spróbować. 20 minut wspinania się, aby zjechać po raz kolejny. Gdy wspinalem się po raz trzeci podszedł do mnie anioł. I mówi, że na dole jest wypożyczalnia nart. Że warto spróbować. I żebym zabrał go na sankach na doczepkę to pokaże mi jak korzystać z wyciągu. Pojedzie ze mną, żeby mi było raźniej. Waham się. Nie wiem co robić. Jest mi dobrze tak jak jest. Ale anioł naciska. Mówi, że warto. No to próbuję. Raz kozie śmierć. Wypożyczyłem narty i wsiadłem na krzesetko. Bałem się tylko na początku. Po chwili się przyzwyczałem. Anioł zajął mnie rozmową. Gdy byliśmy na górze wytłumaczył mi jak się skręca. Że nogi mają być ugięte. Żeby się nie spinać. Pokazał co i jak. I próbujemy. I jedziemy. Anioł za mną. Powoli. Skosem. Jedna wywrotka. Później kolejna. Ale anioł miał ubaw. Pomagał mi wstawać. I jesteśmy na dole. Kolejny raz był już lepszy. Trzeci zjazd anioł nazwał profesjonalnym. Frajda z jazdy potwierdziła. Nagle podchodzi do mnie facet z wypożyczalni nart i mówi, że czas się skończył, żeby oddać narty. I w zamian oddaje mi moje sanki. Ja się patrze na sanki. Sanki na mnie. Nie. Nie przekonają mnie. Nie będę na nich zjeżdżał. Mówię sam do siebie i otwieram oczy. I budzę się. W uszach słyszę jeszcze śmiech anioła. Pewnie śmieje się aż do teraz.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **16 odpowiedź Dreyfusa**

Jaki tak naprawdę jest świat  
Czy jest miejscem, gdzie króluje Brat

Czy może zły rozbił tu swój obóz  
I wybija okna kamieniami łobuz

Nie liczy się z nikim i nie patrzy jaka będzie pogoda  
Nie interesuje go cena benzyny, ani zgoda

Mówi językiem, którego nie rozumiem  
Tłumaczy i krzyczy, że życia nie umiem

To człowiek, sam od siebie tak do mnie przemawia  
Czy zły pod postacią człowieka tu się znowu zjawia

Co mnie czeka w przyszłości, czy wszystko wiadome  
Czy napisane, rozpisane co odrzucam a co chłonę

Czy wszystko ustalone i nawet moje siły zdwojone  
Nie poradzą sobie z życiowym pardonem

Tylko kto komu życie daruje  
Ja życiu, czy życie mnie, od rana główkuję

I co to za życie. Czy wolne, czy uwięzione  
Jak domek z klocków na szybko ułożone

Nagle podbiega dzieciak, przedszkolak  
I kopniakiem rozbija domek, taki nieborak

Nie interesuje go co o tym myślimy  
Ma gdzieś daleko, że na cud liczymy

Że zamek sam się odbuduje  
Że ze zgliszczy nowy powstanie

Zamek w kawałkach a dzieciak się śmieje  
A my nie mamy wpływu na jego śmianie

Nikt na nas, na człowieka, uwagi nie zwraca  
Co chcemy, co dla nas dobre, jaka godna praca

Czy zyskać, czy stracić a może się wzbogacić  
Co rozburzony zamek może dla nas znaczyć

Dlaczego mówią na nas, bez serca  
Dlaczego człowiek to z natury morderca

Tego-tamtego, co lata i pływa  
Siła łańcucha to siła jednego ogniwa

Słyszałem kiedyś o olbrzymie co w skale wykuł świątynie  
Aby człowiek mógł mu oddawać cześć, kiedy tylko palcem skinie

Olbrzyma już nie ma  
Świątynia została

Byłem w tej świątyni  
Olbrzyma woda zabrała

Zabierze i nas  
Nowy olbrzym przyjdzie



Zabraknie człowieka  
Olbrzym z wody wyjdzie

17 list

29 czerwca, 6 roku odsiadki

Drogi Dreyfusie,

Ile warty jest człowiek. Tak się zastanawiam. Czy związane jest to z jego wagą. Wykształceniem. Tego gdzie pracuje. Czy się szanuje. Czy nadużywa tego i owego. A może decyduje kraj. Region z którego pochodzi. To w którego Boga wierzy. To czy wierzy, czy wiara go nie obchodzi. Co je. Co pije. Na jakim poziomie żyje. Czy ludzie go szanują. Czy jest lubiany. A może pogardzany. Czy jest agresywny, czy w postępie i rozwoju sukcesywny. Czy potrafi się dostosować do różnych warunków. Do tego co życie przynosi. Do wszystkich podarunków. A może siła fizyczna okaże się decydująca. A może libido i łóżkowa technika okaże się kusząca. I jak będzie z płatnością. W całości, czy może w ratach. Czy tylko gotówkowa, czy przelewem bankowym. No i w jakiej walucie kupujemy. Lub sprzedajemy. W dolarach, funtach, rupiach, czy denarach. I najważniejsze. Czy kupno człowieka można odpisać sobie od podatku. Czy od sprzedaży człowieka trzeba zapłacić podatek. Od wzbogacenia. Bo coś tam jednak jest wart. Nawet jeśli jeździ na nartach bez nart. Nawet gdy drapie się w głowę bez głowy. Lub gdy korzysta z toalety bez toalety. Dla śmiazków i niedowiarków zniżka. Pokaż co potrafisz. Zaprezentuj się. Zdjęcie na afisz. I reklama w telewizji. Że nie schodzisz z ciągłej wizji. Pytanie tylko czy Boga przekona. Czy ma konto w banku i czy przelewu dokona. Czy będzie z zakupu zadowolony. Czy nie odda na gwarancji. Na wymianę podzespołów. Studenci dobrze czują się na stacji. A księża w kościele. Pytanie tylko jaki jesteś na co dzień. A jaki w niedzielę. Czy człowiek to wielkie słowo, czy tylko malutkie. Takie które chowa się pod łóżkiem. Gdy burza. I czeka na deszcz jak się rozchmurza. Kiedy chmury znikają. Kiedy się śmieją. Z ciebie, czy z Tobą. Umyj twarz zimną wodą. Zastanów się kto wygra mecz. A przy remisie Bóg krzyknie, idź dalej, precz.

Byłem dziś na siłowni. Na bieżni i rowerku. Pobiegałem, popedałowałem. Przed więzieniem nikt na siłowni by mnie nie zobaczył. Nie pokazywałem się w takich miejscach. W więzieniu. Lubię. Doceniłem ruch. Dopiero kiedy mi go zakazali. Dopiero, kiedy usłyszałem, nie wolno. Nie masz gdzie. Nie masz jak. Chyba że na siłowni. Chyba że odlecieś jak ptak. Więc odleciałem. I siłownię polubić musiałem.

A na obiad ryba pieczona. Ja mówię, że dorsz. Lucek twierdzi, że panga. Ważne, że filet. Ja miałem dwie ości. Jedną wyjąłem. Drugą połknąłem. Zobaczmy czy coś się stanie. Jeśli umrę,

napiszą mi w akcie zgonu, samobójca. Przegrał z ością. Przegrał ze złością. Złość lubi ość i każe nazywać się waszmość. Ja się trzymam z dala od złości. Czasami jednak potykam ości. Na złość waszmości.

Sen. Jak tlen. Zabrał mnie w podróż do czasów dzieciństwa. Byłem dzieckiem. I byłem w kościele. Poszedłem. Sam. Bez rodziców. I rozrabiałem. Nie mogłem usiedzieć spokojnie. Chowałem się za ławkami. Biegałem dookoła filaru. Śmiałem się i podskakiwałem, kiedy ksiądz powtarzał, moja bardzo wielka wina. Najbardziej jednak podobały mi się organy. Ich dźwięk. Moc. Aż włosy się jeżyły. Jakaś starsza kobieta mnie upomniała. Po raz pierwszy. Pomogło na kilka minut. Po chwili dalej szalałem. Jakiś dziadziuś pogroził mi palcem. Drugie upomnienie. Pomogło także tylko na moment. Aż w pewnym momencie ksiądz odprawiający Mszę przerwał, podszedł do mnie, wziął mnie za rękę i zaprowadził do ławki dla ministrantów. Koło ołtarza. I powiedział przez mikrofon. Ten młody człowiek będzie służył Bogu. Całym swoim duchem. Będzie cieszył się Panem a Pan będzie cieszył się nim. W rogu, z dala od ludzi siedział anioł. I śmiał się. Pisał też coś na kartce. Notował. Podszedłem do niego i pytam go co pisze. On na to że klisze. Opisuje cisze. Zdjęcie które zrobił, ale nie wyszło. Bo klisza się prześwieciła. I cisza się ze zdjęcia ulotniła. Ja na to, żeby zrobił nowe zdjęcie. Nowej ciszy. Anioł na to, dobrze. I prosi abym zapozował. Na tle obrazu ze Świętą Rodziną. Krzyknąłem, Jezus jest moim Bratem. Anioł zrobił zdjęcie i powiedział, że wyszło. Że cisza uchwycona. Że bez mojego okrzyku by się nie udało. I dał mi lizaka, mówiąc, tylko nie jedz, bo popsują Ci się zęby. Zjadłem całego na raz. Pogryzłem. Aż zęby bolały. I się obudziłem. Cały obolały.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **17 odpowiedź Dreyfusa**

Ćwicz. Sport to zdrowie  
Anioł Ci to powie

I po długiej rozmowie  
Wypije za Twoje zdrowie

Z aniołami nie jest lekko  
Czasem są przemądrzałe

Dziwne mają poczucie humoru  
Dla mnie, niedojrzałe

Takie infantylne i małostkowe

Raz w tygodniu myję głowę

W szamponie w pianie co nie miara  
Zmywam z głowy popiół, od którego trzymam się z dala

Sam nie wiem skąd i dlaczego popiół we włosach znajduję  
Może to wina pogody, która inaczej rokuje

A inaczej w rzeczywistości się pokazuje  
Popiołem głowę posypuje

I mówi, to nie ja to anioł  
Patrzę na anioła a on stanął

I uśmiechnął się szelmowsko  
Mówi, jest po ziemsku i jest Bosko

Którą prawdę Ci objawić  
Pytam, czy tę prawdę będę w stanie strawić

Anioł na to, że byle jak strawi się  
O ile się nie udławi

Biorę Boską  
Anioł z troską

Mówi dobrze słuchaj więc  
Pięć plus pięć równa się pięć

Pytam czy to wszystko  
Czy prawda w tym zaklęta

Anioł na to że to przystawka  
Że to tylko zachęta

Klaszczę więc i czekam na więcej  
A anioł mówi, Bóg woli tak

Że człowiek słucha Go w sobie  
A nie potyka się o znak

Sumienie, mówie  
Miłość, odpowiada anioł

Istnienie, mówie

Życie zawsze w cenie, odpowiada anioł.

**18 list**

**18 lipca, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Idziemy dziś z Luckiem na wakacje. Zastanawiamy się tylko jaki kraj wybrać. I jak daleko dojdziemy. Który będzie wystarczająco ciepły. Ale nie za gorący. Gdzie dobrze gotują. A gdzie jest prysznic wrzący. Gdzie nie ma śniegu. Gdzie człowiek nie jest w biegu. Gdzie ludzie są uśmiechnięci. Pomimo problemów. I tego co ich męczy. Gdzie ludzie żyją w dostatku. I nie żałują upadku. Gdzie nie ma chorób i epidemii. Gdzie nie ma w jedzeniu chemii. Gdzie jest darmowa opieka zdrowotna i darmowe szkoły. Kłotna. Gdzie ludzie mówią do siebie per bracie. I gdzie cześć się oddaje Tacie. Gdzie religia jest nie tylko tradycją. Gdzie kosmici nie są fikcją. No i wiedzę sprzedawać muszą w tabletkach. Od której humor się poprawia i krzesła przestawia. W podwójną literę T. Co się dobrze wstawia. Co mówi co powinna. Jak przychodnia rodzinna. Gdzie wyniki badań odbierzesz. I zobaczysz na papierze. Diagnozę. Niezdatny. Nie nadaje się na wakacje. Bo siedzi w pudle. I diagnoza ma rację. Ale uśmialiśmy się z Luckiem planując podróż. Zwiedziliśmy świat w naszych głowach, oszczędzając na biletach. Wstępu i autobusowych. Nie bolą nas też nogi. Od dreptania dzień po dniu. Najlepiej to się czuję w cieniu. Pod palmą. Albo pod łóżkiem piętrowym. Gdzie piętro nad głową pokazuje że się da. Budować wzwyż do oporu. Ale da, nie znaczy trzeba. Z dala od sąsiada nie zaznasz sporu. Z dala od siebie nie odnajdziesz prawdy. Mówiłem to zawdy, że z dala od prawdy to z dala od życia. Teraz żyję. Albo gniję. Podpieram się kijem. I wierzę. I tworzę. Zanim do grobu się położę. Zrozumieć, zrozumieć. Nauczyć się umiem. I udowodnię przed sobą i Bogiem, że nie będę już leżał odłogiem.

Na obiad zapiekanka makaronowa z warzywami. Dużo sera i majonezu. Jak na Pańskim stole. Jak na ucztach u mościpana. Tyje tylko w tym więzieniu. Myślałem, że w więzieniach karmią jak w szpitalach. Jedno i drugie z budżetu. Ale nie. W szpitalach ludzie głodują a my zajadamy frykasy. My się bawimy na bogato. Że aż mop się myli ze szmatą.

Wczoraj przyszedł do biblioteki pewien młodociany bóg i mówi, że szuka książki. Akurat je układałem, więc zmylił mnie. Pytam, czy to podchwytliwe, czy mam rozumieć dosłownie. Odpowiedział, że bym się nie wymądrzał. Że trzeba mu książki na półtora centymetra. Bo się mu stolik na celi kiwa. I chce podłożyć. Powiedziałem, żeby podłożył coś o podatkach. I tak nikt

ich nie szanuje. I tak tylko człowieka denerwują. Więc niech się przyda wiedza podatkowa. Niech stabilizuje. Bo na co dzień truje.

Co do snu to miałem kosmiczny. Byłem człowiekiem na księżycu. W kosmosie. Wszystko jak w filmie. Wystrzelili mnie w rakięcie. I leciałem. Tygodniami. Może dniami. Trudno wyliczyć. Długo w każdym razie. I doleciałem. Do księżycu. Wylądowałem. A tam rzeka mleka. I przy rzece kobieta nabiera wodę. Ja w skafandrze. Pyta mnie po co mi to. Zdjąłem i faktycznie. Można oddychać. Da się. Nie zdychać. Pytam ją co tu robi. Czy z ziemi przyleciała. Mówi, że chciałaby. Ale nie. Nie pochodzi z ziemi. Tutaj się urodziła. Na księżycu się wychowała. A ja na to, jak to możliwe, że nikt na ziemi nie wie, że na księżycu płynie rzeka mleka. Ona odpowiada, że jesteśmy przecież po ciemnej stronie. Wszystkich interesuje tylko jasna. A ciemnej nikt nie bada. Ciemna się czai i skrada. Ze swoimi sekretami. Ze swoimi słabostkami. I niezwykle urodziwymi kobietami. Pyta mnie, czy odwiedzę ją w igloo. W okrągłym domku. Wydrążonym w skale. Ja na to, że byłoby miło, ale mam obowiązki. Badawcze. Ważne sprawy. Ona na to, że ją mogę badać. Badanie jest badaniem. Mówię, że nie dzisiaj, że pogoda paskudna. A do domu daleko. Ona do mnie, że się mnie nie podoba. Że brzydka. Że mleko nie smakuje. Ja na to, że nie główkuję. Nie zastanawiam się po co i dlaczego. Nie mam ochoty mieć w głowie niczego. Co by mogło a nie musiało. Co by chciało a nie zostało. Ona, na to że ma trzy piersi. I karmi. A ja mówię, że mleko mam w rzece. A rodzinę na Warmii. Dałem jej na odchodne obrazek ze Świętą Rodziną. Zapytała co to za ludzie. Odpowiedziałem, że to skomplikowane. Patrz na nich i medytuj. Kontempluj światło, które z nich bije. To wystarczy. Tak jak Józef się podpiera kijem. Proste metody są najskuteczniejsze. Komplikacja rodzi problemy. Za dużo, to grzech. Zbyt szybko, we trzech. Lepiej gdy po jasnej stronie się niewiele dzieje, niż po ciemnej stronie dziw... kobiety i złodzieje.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **18 odpowiedź Dreyfusa**

Wakacje są dobre  
Byle nie od Boga

Wakacje ubogacają  
Byle nie od życia

Wakacje się starają  
Tak Cię wygłaskają

Tak się uśmiechają

Bo im ciepło

I pieniądze Twoje pachną  
Na Ciebie ręką machną

Ale w Twoich pieniądzach już się zakochali  
Jak górale, którzy schodzą z hali

Gdy zobaczą turystę, bo zaśpiewać mu trzeba  
Podwieźć tu i tam, sprzedać pajdę chleba

Opowiedzieć o sobie i o rodzinie  
Niech turysta wie jak jest u nas na gminie

Niech turysta żałuje że u nas tu nie mieszka  
I faktycznie pożałuje jak okradnie go koleżka

Gdy wystawi rachunek za swój czas i opowieść  
Za dobre słowo co ciągle zaczyna się na nowo

Za uśmiech żony to piecze placki na tłuszczu  
Za kopnięcie dzieciaka to go nie ma już tu

Pobiegł do swoich, pobiegł do kolegów  
Co go od lat kilku uczą w biegu biegu

Gościnność to pieniądz  
Gościnność to błysk

Tego czego pragniesz  
Chyba że to strzał w pysk

W pysk zawsze chętnie w karczmie zaliczyć można  
Gdy łapiesz nie za swoje, i nagle chwila trwożna

Ale są tacy co lubią  
Są Ci co ryzykują

I się z obcą babą  
O szpilki nie targują

Znam też i takich bohaterów  
Co nago w nocy wracali. Bez gajerów

Bo na lodzie zostali, bo wydojeni do cna  
Oszukani, przez miejscowe, śmiechu ile się da

Śmieją się jednak jedni, a głupio jest zwykle innym  
Patrzy na ciebie dziewczyna z uśmiechem całkiem niewinnym

Jakby mówiła, sam się prosiłeś  
Wakacji chciałeś, folkloru, to nowego doświadczyłeś

**19 list**

**30 lipca, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dlaczego w więzieniu nie ma kwiatków. Doniczkowych. Żeby można się było nimi opiekować. Żeby można było z nimi dzielić życie. Ich i nasze. Należycie. Komu przeszkadzają kwiatki. Dlaczego ich zabraniają. Komu to przeszkadza. A rośliny dodają człowiekowi ludzkiego charakteru. Gdy się nimi zajmuje. Gdy dogląda. Pilnuje. Pozostanie tęsknota. Do przyrody, którą można dotknąć. Na którą trzeba czekać. Przyjdzie nam jeszcze poczekać.

Dziś skusiłem się i oglądnałem zawody sportowe w telewizji. Lucek naciskał i namawiał. Żeby z nim poszedł. Że mi się spodoba. Mówił. Opowiadał też, że lubił rywalizację. Sportową. Gdy jeszcze chodził do szkoły. Emocje. Szum w głowie. Bo ludzie się na mnie patrzą. Zastanawiają się jak wypadnę. Kto wygra a kto będzie ostatni. Ludzie czekają. Aż coś się wydarzy. Wygrana o ułamki sekund, lub o jeden punkt, czy bramkę. Oglądamy tak tą telewizję i zastanawiam się czy istnieje coś takiego jak zdrowa rywalizacja. Czy każda rywalizacja okupiona jest trudem, zmęczeniem i bólem. Czy każda rywalizacja sprawia, że w czymś sercu rodzi się smutek. Serce krwawi po przegranej. Naszej. Lub naszego ulubieńca. Zespołu, któremu kibicujemy. A może właśnie o to chodzi. Może radość ze zwycięstwa, to taka radość z braku przegranej. A może bardziej cieszy Cię smutek innych, niż zwycięstwo ulubionej drużyny. Może o to chodzi. Albo wszystko zmieszane. I powstaje jeden sos. Słodko-kwaśny. Trochę radości. Trochę smutku. Trochę emocji. I na koniec dodatek złości. Sport przenosi się na życie. Rywalizujemy w szkole. Rywalizujemy w pracy. O awans. Stanowisko. O wykonanie planu. Najlepszy kolega. Najszybciej zrobiony projekt. Najwięcej warty. Najmniej podarty. Ja konta oni. Oni z próchniejącej jabłoni. Czy poznam kiedyś piękno spokoju. Pyta Jurek Staszka pospołu. Razem być. A nie wiecznie dzielić. Na tych którzy wygrali i tych których wygrana ominęła. I poszła okrężną drogą. Przez pub i klub. Aby opowiedzieć wszystkim w okolicy jaka jest dzielna. Ile może i jak pięknie się zaprezentowała. Aby powiedzieć jakie brawa zebrała.

Po emocjach nie było ani śladu. Chłopaki podskakiwali i krzyczeli. Nie zauważyli nawet, że siedziałem cicho. Siedziałem bez słowa. Nie podłapałem frajdy ze sportu. Ani się nią nie

okidałem. Posiedziałem chwile i wróciłem do celi. Poczytać o pewnym panu, co wyszedł z kąpieli.

Na obiad dziś były pierogi. Niby ruskie a polskie. Niby ich a nasze. Może to przez pierogi ta cała rywalizacja i niesnaski między Polakami a Rosjanami. Choć to bardziej o politykę chodzi. Zwykli ludzie się dogadają. Zwykli ludzie nic do siebie nie mają. Zazwyczaj. Nie ważne z jakiego kraju pochodzisz. Za to istotne z kim interesy robisz.

Co do snu. To miałem. Był. Kulinarny. Pracowałem. W restauracji jako kucharz. Gotowałem zupę. Smażyłem ryby z frytkami. Podawane z puree z groszkiem. Jak należy. To zależy. Od tradycji kulinarnych. Od lat linearnych. Gotuję. Smażę i pieczę. Ze wszystkim daję sobie na kuchni radę. Sam. Anioł jest kelnerem. Ma doświadczenie w lataniu, więc lata. Obsługuje klientów. On lata od lata. Stara się chłopisko. Żeby wszędzie było szybko, żeby zawsze było czysto. Ludzie doceniają. I chwałą obsługę. Chwałą anioła i tego co gotuje. Chociaż sam nie słyszę, to anioł mi mówi, że smakuje. Że klient zadowolony. Nie patrzy nawet na minę, żony. Tylko mówi, wyśmienite. I zerka na z ceną kwitek. W pewnym momencie słychać krzyki. Jacyś ludzie wpadli do restauracji. Bynajmniej nie jeść. Bynajmniej nie w dobrym humorze. Co oni tu robią, pytam, mój Boże. Wbiegają do kuchni, wytrącają mi z ręki rybę i krzyczą, że jestem zabójca. I że nie mam sumienia. Że karmię, ludzi mięsem. Że gotuję zupę ze śmierci. Że oni, obrońcy praw zwierząt mają prawo. Krzyczeć. Mają prawo. Strajkować. I postarają się, aby restaurację zamknąć. Abyśmy zbankrutowali. Abyśmy nie mieli gdzie ryb kupować. Aby rybacy pouciekali. Ja mówię na to, że ludzie lubią ryby. Od zawsze je jedzą. A ryby dalej w morzu siedzą. Nigdy nie jest tak, żeby zjeść wszystkie. Je się tylko trochę i to w czasie, w którym wolno. Łowić i sprzedawać. A do tego wiele to ryby hodowane. Gdyby nie one, ludzie nie mieliby pracy. Gdyby nie one, człowiek nie miałby na tacy. Nic poza głodem. I nic poza smrodem. Który nie uleciał. Bo się zadomowił. Czas zaś szybko zleciał. Abyś się nie głowił. Opowiadam jak historia ta się kończy. Przemówiła ryba sandacz. Całkiem spory. Mówi, wynocha. Wszyscy. Zostaję sam na sam z kucharzem. Zostaję sam na sam z aniołem. I mówi do nas po chwili. Kiedyś myślałem, że długie życie jest warte przeżycia. A teraz wiem, że nie ważne. Długie czy krótkie. Ważne, żebyś był przydatny. Żeby Twoje życie nie poszło na marne. Żebyś kogoś ucieszył. Żebyś kogoś rozśmieszył. Aby powiedzieli. Że smaczniejszego nie próbowali. Nawet z okazji niedzieli. A co powiedzą jak Ciebie spróbują, zapytał mnie anioł. Że w tej restauracji zbyt krótko gotują, odpowiedziałem śmiejąc się. I z uśmiechem się obudziłem. Wiedząc, że nocy nie straciłem.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **19 odpowiedź Dreyfusa**

Rywalizują dwa anioły



Jeden czarny drugi biały

Czarny mówi, że jest zmienny

Biały mówi, że jest stały

W decyzjach i w sposobie działania

Stały lub zmienny, aż do zakichania

Biały anioł mówi, głosujcie na mnie

Lubie wschody słońca i kolacje przy winie

Czarny anioł mówi, głosujcie na mnie

Lubie zachody słońca i kobiety w ślinie

Jeden świadczy czego doświadczy

Drugi lubi o ile nie zgubi

Godności swojej albo też czyjej

Godność wdaje się w bójki, czasem kogoś zbije

Biały anioł woli szacunek

Mówi, że trzyma go na czarną godzinę. Trzyma na ratunek

Czarny anioł nie przejmuje się ratunkiem

Częstuje się nim jak poczęstunkiem

Ma gdzieś daleko, czy ktoś przeżyje

Sam leje nie patrząc gdzie, kijem wciąż bije

I zastanawia się później gdzie

Gdzie się podziały szacunek i mać

A prawda jest taka

Że dom szuka człowieka a nie człowiek domu

Nie mów aniołom

Nie mów nikomu

Nie mieszaj się w rywalizację między aniołami

Słuchaj wciąż tego, co między wierszami

Sprawiedliwy anioł na wierzch wypłynie

Czarny się schowa w świętej wiklinie

Przed przerobieniem, przed wykorzystaniem  
Anioł przychodzi z pytaniem, a ja mam odpowiedź na nie

Czy miłość jest ważniejsza niż Brat  
Kochać to łączyć. Miłość z tym co się czyta wspaniale

Kochać to dawać, siebie oraz grad  
Bez miłości nie ma radości i nie wiesz co to ład

Kochać to mówić, pięknymi słowami  
I czuć. Pięknie. Związanymi ze sobą duszami

**20 list**

**12 sierpnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Więzienie tworzy człowieka. Czy człowiek tworzy więzienie. Czy człowiek jest ważniejszy od miejsca, czy miejsce od człowieka ucieka. Bo myśli że może. Że powinno. Rządzić. Po swojemu. Wydawać polecenia i nie zwlekać. Z decyzjami. Co czekamy na nie. Lub nie czekamy. Bo już wszystko mamy. Tylko ten, kto za niczym nie goni może poczuć się jak kwiat jabłoni. Który jest na ostatniej prostej. By zrodzić owoc. I mieć życie radosne. Życie w spełnieniu. Spełnienie w istnieniu. Ważne kto na co czeka. Ważna jest motywacja. Bez niej się nie narodzi, żadna życiowa atrakcja. Bez niej nie powstaną, ci, którzy zalegli. Bez niej nie powstaną budowle i zbiegli. Co pracowali, ale przestali. W życiowe rozterki się uwikłali. Nie chcą już służyć. Nie chcą być kopani. Mają dość takiego życia. Wolą być wybrani. Wybrani przez Boga. Wybrani przez życie. Kochani i kochać umiejący. Jak ten wszystkowiedzący. U którego jesteśmy na podglądzie 24/7. Jak armia robotów. Wyciąga z kłopotów. Wgrywa system operacyjno-rozpoznawczy. Mówi co warto, a o czym zapomnieć lubić. Trzeba lub polubić gdy się biegnie. Człowiek nie owca. Myśli, że łowca. A to jego łowia i jego wciąż jedzą. Spożywają i ości wyciągają. Chyba, że czasem ość w gardle stanie. Taki chojraczek, takie gadanie. Z samego gadania jeszcze nikt nie umarł. Po samym gadaniu nie jeden się zdumiał. Że można głupoty opowiadać i być znanym. Lubianym. Można nie mieć nic do powiedzenia i być niepokonanym. Bóg patrzy i widzi. Bóg nie nienawidzi. Bóg nie podniesie. Bo chodzisz w zwykłym dresie. Po domu można. Po domu trzeba. Idź wyprowadzić psa. Na spacer. Bo wzywa potrzeba. Mnie czy psa. Prędko. Jego czy ją boli. Kto komu nogi urywa od stoli-ka. Ten nie zrozumie. Że umie. Ten nie pozna. Że można. I tak od czterech tysięcy lat się kręci. Utraty pamięci. Dziury w pamięci. Od tego czy owego. Ważne, że dla samego złego. Więc nie teguj i temteguj. Trzymaj pion. Żyj według reguł. Żyj jak trzeba, żyj tak jak umiesz. Najpiękniej. Najchętniej. A Boga zrozumiesz.

Rozumie ten bigosu smak na którego mówisz przy jedzeniu Brat. Bigos z chlebem. Na obiad. Nie widzę lepiej. Nie da się lepiej. A jeśli już to niewiele. Niewiele lepiej się stoi w kościele. Bigos poprawia humor człowiekowi. Szczególnie stary. Co trochę postoi. Dni kilka. Powietrzem

się napoi. Przemyśli swoje życie. Potrzebę i tycie. Przemyśli zachowanie i się nie skarży na nie. Zrozumie, że zostanie zjedzony. Zrozumie, że zginie. Ten kto nie lubi bigosu, ściga. Ale nie dogoni, bo zwycięstwo mając na dłoni, biegać zaczął i łapać. I po tyłku się drapać. Zastanawiając się jak podejść przeciwnika sprytnego. I jak wygraną już wojnę wygrać, w roli przegranego.

Sen śni mnie. Czy ja śnię sen. Kto kogo gryzie. A kto wypluwa. Bo nie smakuje. Bo go zatruwa. Ten co rozumie, o czym mówi życie. Ten ciągle umie. Śnić ze snem. Razem. Znakomicie.

Byłem politykiem. Byłem prezydentem. Państwa całego. Chodziłem w garniturach. I wszyscy mi się kłaniali. Wszyscy się do mnie uśmiechali. Pokazując swoje białe zęby. Jakby chcieli powiedzieć. Stać nas na dentystę. Nie będziemy w nieładzie siedzieć. Spotykam się z jedną głową państwa, spotykam się z drugą. Na szczycie jestem. Międzynarodowym. Wypłynął problem, wpłynęła skarga. Która wybuchła niczym petarda. Ktoś zobaczył projekt ustawy. Mojej, którą wymyśliłem i podpisałem. Przenieść na arenę międzynarodową chciałem. Żeby wszyscy to samo zrobili. Żeby wszyscy się podatków pozbyli. Śmieją się głowy państw innych ze mnie. Mówią, że oszalałem, że to życie daremne. Żeby żyć i nie płacić. Za życie swoje. Żeby żyć i stracić. Okazję mieszać z gnojem. Mówią mi, to szaleństwo. Państwo trzeba utrzymać. Nakupić broni i się z jednymi trzymać. A na drugich wymachiwać szabelką i rakieta. Mówię im zamieńcie swoje wojny na zabawę z makietą. Na której będą dobrzy, źli. Pożyteczni i zbyteczni. Na której wygrasz, lub przegrasz. Jeśli będziesz grzeczny. Ludzi zaś zostawcie. Dajcie ludziom żyć. Ktoś mnie zamordował. By dać ludziom żyć. W kajdanach i dybach. Płacąc za swe życie. Swoją pracą, czasem i pieniędzmi. Będąc tacy nędzni. Nie zrozumieli. Inne zdanie mieli. I problemu się pozbyli. Trumnę z desek mi wnet zbili a na pogrzebie był mój anioł. Przyszedł do mnie z kwaśną miną. Mnie nie zastał, czas zaś minął. Na modlitwie, wspomnianiu. I prezentach. Rozdawaniu. Niektórzy przynieśli kwiaty ze sobą. Niosą ile uniosą. Dają co mają. Anioł przyniósł szyszek reklamówkę. I rozsypał na grobie. Aby patrzyły i wspominały. O mnie i o Tobie. Co chciałem zrobić, co chciałem zmienić. I dlaczego z życiem musiałem się zamienić. Obudziłem się w grobie i myślę sobie. No to mam przesrane. I będzie zakopane. To co powinno oddychać. To co powinno do życia wzdychać. A nie ma jak. Nie dano mu szansy. Mądrość zakopali. Zakładu pogrzebowego starzy bywalcy.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **20 odpowiedź Dreyfusa**

Miejsce wnika w człowieka  
Bez miejsca byłbyś kaleka

Nie umiałbyś samego siebie

Myślałbyś, że twoje miejsce jest w chlewie

Miałbyś o sobie mniemanie  
Które stać się może, albo się stanie

Uważałbyś siebie za króla  
Własnego pastwiska a poddani to jedna kura

Która gdacze na Twoją cześć  
A Ty za to postanowiłeś ją zjeść

Więc ugotowałeś z niej rosół tłusty przy niedzieli  
Teraz już nic Cię z kurą nie rozdzieli

Połączyliście się ściśle, połączyliście się na zawsze  
Kura zjedzona a kości wylądowały w Wiśle

Mówią ludzie historie  
Mówią, że kiedyś to było

Gdy się z obcymi walczyło  
Gdy się ludzi straszyło

Gdy się wymagało od innych a nie od siebie  
Wtedy można było usłyszeć jak zmarli mówią do Ciebie

Nie strzelaj do innych, bo inni to Twoje kolano  
Co się zgina, wygina i czujesz je mocno rano

Gdy sobie przypomnisz co ważne a co miłe  
Inni Cię postrzelą a kolano Twoje zgnije

Nie pamiętać, nie stękać  
Że można, że trzeba

Tylko robić, tylko zdobić  
Kokardą, to ten lebiega

Co się potyka o własne swe nogi  
Co się spotyka i kupuje ostrogi

Aby przyśpieszyć, aby pocieszyć  
To co chciałoby spokojnie zgrzeszyć

I nie mieć wyrzutów sumienia srogich  
Podejdź i pogłaszcz, bez zamiarów wrogich

Stań wręcz na straży porządku sumienia  
I nie czekaj do czasu zakwaszenia

Tylko wymieć brud, kurz za drzwi  
I opowiedz historię mi

O pewnym człowieku co szalał bez tchu  
I tchu zabrakło mu

By powiedzieć Ci  
Że policzone są na ziemi Twoje dni

**21 list**

**25 sierpnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Drapanie się. Wszyscy się drapią. Wszystkich coś swędzi. Nie patrzą na innych. Nie wiedzą, że innym także coś dolega. Myślą tylko o sobie. I drapią się bez opamiętania. Drapią się bez zatrzymania. Jakby czegoś chcieli. Jakby coś umieli. Jakby spodziewali się ulgi. Czekali aż drapać przestanie. A sami drapią. A drapanie się patrzy na nie. Na swoje drapanie. I macha ręką na nie. Nie chciałem nic więcej. Nie chciałem od życia. Tylko, żeby mi powiedziało jak się drapać z ukrycia. Żeby drapanie drapania nie poznało. Żeby drapanie drapać się chciało. Żeby nie narzekało. Żeby nie jojczało. I po krzakach się nie ukrywało. Mówić do drapania i przekonywać nic nie daje. Są zaś tacy, którzy próbują i na wysokości zadania stają. Mówienie. Bo drapanie wie swoje. I się drapie w banie. Z której powstaje sierpniowa banianka. Zupa krem. Co możesz go jeść od ranka. Co możesz z nim rozmawiać i opowiadać mu bajki. Że krem zabija. Wszystkie zalewajki. Wymiata i pokazuje, gdzie jest ich miejsce. Mówi, nie ujmuje słoików drewnianej desce. Nie ucz mnie jak powinno mieszać się w grotesce. Powiedział Bóg i ciągnie. Jestem wzdry z tego znany. Że tylko największy z głupców pozna moje plany. Tylko największy idiota uwierzy w co bieży. I odpowie na wołanie, po które się zgina na polanie. Raz, dwa, trzy – przekwitanie. Bez wydania owoców. Bez ścinania drzewa i jego kłoców. Wszystko w jednej całości. Wszystko zwięźle. Co nie pomoże, temu rozłożę. Spanie na balkonie. Nie zasłużył na więcej. Na balkonie utonie. W gwiazdach, które na nas patrzą. W spazmach które się niedługo złączą. Miłość zakopuje zawiść sześć metrów. Pod ziemię. Mówi, że pluje na to plemie. Które życzy mu śmierci. Miłość na szubienicy. Rysuje na brudnej od mąki stolnicy. Z kwiatkiem. Bławatką. Co na umierającą miłość patrzy. Miłość kończy kopać i się do mnie mądry. Było ze mną nie

zaczynać. Było wcześniej nie przeginać. To teraz byś siedział szczęśliwy. Nie byłbyś wcale taki lękliwy. Nie byłbyś skory do ucieczki bez sensu. Nie szukałbyś złota w kupie nonsensu. Tylko Ty jesteś złotem. Ty jesteś skarbem. Co się ubiera w moro dla niepoznaki. Żeby nikt nie rozróżnił skarbu od zwykłej draki. Pomyłone. Zeżłone. Draka mnie bierze na stronę. I mówi, że źle zdanie stworzyłem. A ja jej na to, że to dlatego, że się na nią patrzyłem.

Dziś na spacerunku, ktoś pytał czy nie chcę kupić marihuany. Że ma do sprzedaży. Polaczek. Nie ma to jak swojski smak. Podobno. Mnie już to nie bawi. Swoje wycierpiałem. Niech innych życie trawi. Ja się już nie truję. Ja się już nie pruję. Stoję sobie spokojnie i cicho jodłuję. Tak żeby zamieszania nie robić. Żeby nikt nie zauważył. Że na spacerunku ktoś się wrzątkiem sparzył. Mówię mu pod zimną wodę. Mówię gorąco okłada się chłodem. A młodzian na to że to na jego szkodę. Sam sobie życie rujnuje, bo mądrości koniec maluje. Nie oceniam wolności malarza, artysty wyrazu, co czasem mnie przeraża. Chciałbym tylko, i nie jestem w tym osamotniony, przytulić tylko tego co jest obrażony.

Na obiad panierowana pierś z kurczaka z zapiekаныmi ziemniaczkami i buraczkami. Na ciepło. Ze śmietaną. Lucek standardowo oddaje mi buraczki. Mówi im stanowczo, nie. Be, fe. Nie zje. Wypluje prędeż. Nie pracuje. Przestał. Woli oglądać telewizję. Dziś gramy w statki. Takie B1, trafiony. B2, zatopiony. Najedzeni i rozegrani. Nie potrzebujemy dla życia niani. Sami się nim zajmujemy. Sami życie ze smakiem zjemy.

I śniło mi się dziś. Znów. Znowu. Śniło mi się, że jestem wojownikiem. W plemienu tubylców w dorzeczu Amazonki. Co sobie kreskę czarną malują na policzkach. Przed polowaniem. Aby bogowie dopisywali. Aby bóg lasu nie przegonił zwierzyny. Aby bóg strumienia nie zatrzał wody. Aby bóg chmur nie zesłał deszczu. Aby bóg słońca świecił bez końca. Wyszedłem na łowy z dzidą w rękę. Dwa dni szedłem na bosaka przez las w poszukiwaniu ofiary. Zwierzyny. Znalazłem ślady. Szedłem za śladami. I doszedłem. Wytropiłem coś podobnego do kapibary. Ale większe. Dostojniejsze. Nie miałem czasu pytać o imię, gatunek i pochodzenie. Miałem jeden rzut. Jedną okazję i trafiłem. Z nóg kapibarę zwałem. Niosę ją do wioski i po kilku godzinach marszu trafiłem na głodujące dzieci. Chude. Zaniedbane. Ledwo żyjące. Odkrociłem im jedną trzecią zwierzaka. I dałem. Tylko upieczcie na ogniu, mówię. Nie jedzcie na surowo. Idę dalej. Klika godzin drogi i spotkałem wychudzonego jaguara ze złamaną łapą. Nie mógł sam polować. Dałem mu połowę kapibary. Pół z tego co mi zostało. I idę dalej cały dzień z okładem. I gdy byłem już niedaleko wioski widzę dym. Przyśpieszyłem, ale zatrzymał mnie kapłan. Mówi, że udały mi się łowy. Bóg nade mną czuwał. Więc teraz muszę oddać mu połowę z tego co niosę. Więc oddałem kapłanowi połowę mięsa, którą miałem. Wróciłem do wioski. Przyniosłem zdobycz. Mięso, którym może cztery osoby by się najadły. A gęb do wykarmienia szesnaście. Mówię więc. Teraz właśnie. Poproszę boga o jedzenie. Innego poproszę o picie. A trzeciego poproszę o sen. Abym zyskał siły należycie. Zasnąłem. Ustuchał mnie trzeci. I umarłem, we śnie. Zmarły poszedłem do Boga słońca. A ten powiedział do mnie. Tak jak Ty dzieliłeś się z innymi, tak teraz ja, podzielę się z Tobą. To Twoje promienie słońca. Bóg chmury powiedział do mnie. Tak jak Ty dzieliłeś się z innymi, tak teraz ja, podzielę się z Tobą. To Twoja woda do picia. Czysta i słodka. Pij ile chcesz. Kiedy chcesz. Bóg lasu powiedział zaś do mnie. Tak jak Ty dzieliłeś się z innymi, tak teraz ja, podzielę się z Tobą. To Twoje mięso i placki mączne. Dary lasu. Zawsze. Dla Ciebie. Na wyciągnięcie ręki. Powiedziałem, że ludzki los to czas udręki. Ale tutaj. Między bogami. Czuję się jak ubranie bez plamy. I się poplamiałem. Krwią zwierzęcia. I się ucieszyłem. Z nowego zajęcia.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **21 odpowiedź Dreyfusa**

Drapanie. Czy swędzie  
Co jest bardziej uciążliwe

Drapanie bez drapania  
Czy jest w ogóle możliwe

A może swędzenie bez swędzenia  
Kto rozpozna to uczucie

Kto poczuje się z nim dobrze  
A kto jak w nieswoim bucie

Ja mam dość, powiem Ci szczerze  
Też się drapię za kołnierzem

Ubranie może wygląda, ale nie jest wygodne  
Słowa są miłe, ale nie są zgodne

Ktoś mówi, siadaj i jedz  
Jedzenie podano

A ja chcę być na diecie  
I jeść tylko rano

Nie rozumieją bo siebie tylko umieją  
Albo tak myślą, zanim się rozkleją

Mroźna ta zima

Śniegu dużo tak

Że w sierpniu

Przewalam zaspę na zaspę w górę tak

Czy to możliwe zapytasz ciekawie

Wszystko jest możliwe o ile oddasz się sprawie

O ile zrozumiesz czym jest wiara

O ile nie spotka Cie żadna kara

I znowu siedział w więzieniu będziesz

Za winę swoją, lub czyjąś weźmiesz

I znowu nie zobaczysz lata

Nie poznasz go, gdy się spotkacie po latach

Pomylisz lato zimą dokuczliwą

I z wiosną z pozoru trochę lękliwą

Poplątasz wszystko, pomylisz słowa

I zaskoczy Cię Twoja własna mowa

Która ostrzeże Cie przed samym sobą

Bo pomyliła Cię z inną osobą

Dawno się nie widziałeś

Dawno sam ze sobą nie stałeś

Bóg powiedział.

Sam ze sobą będziesz siedział

Sam ze sobą będziesz grał

Aż zakończysz wygraną na szkwał

**22 list**

**1 września, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,



Początek roku szkolnego. Początek nauki. Co roku. Przypomina nam, że z nauką to jest tak, że się ją ciągle rozpoczyna. Na nowo. Że nigdy się nie przestaje zaczynać. Tak zdrowo. Tak to już jest, że nauka to nie jeź. Nie kłuje i nie lubi jabłek. Pozory mylą. Z każdą chwilą. A nauka zostanie. I pyta mnie jakie mam o niej zdanie. A ja myślę, że bez nauki nic nie wyśnię. Żadnego snu nie przyśnię. Sobie, ani jej. Gdy rozchodzą Ci się buty, to je sklej. Ucz się zawsze i ciągle od nowa. Ucz się jak zwykła łaciata krowa. Wyprowadzana codziennie na inne pastwisko. Jedno daleko inne blisko. Wszystko się zmienia ale nie waga nauki. Jej potrzeba i niezbędność. A ludzie to tłuki. Większość zadowala się tym co się lata temu nauczyła. Większość myśli, że wie wszystko i puree sobie z wiedzy zrobiła. Tylko że to puree ma ponad trzydzieści lat. Jest nieświeże i śmierdzi. Nie zrobisz sobie z niego obiadu. Nie posadzisz go z innymi na żerdzi. Bo nie ma innych. Nie ma żerdzi. Nie ma wyboru. Gdy się nie uczysz. Z innymi pospołu. Byłoby pięknie gdyby ludzie na oczy przejrzeni. I uczyć się z każdą chwilą na powrót zaczęli. Na powrót bo tacy kiedyś byli. Gdy byli dziećmi. Gdy się ciągle cieszyli. Cokolwiek zobaczyli wiedzieli, że nowe. Że zaskoczyło. Że drzewo jest pionowe. Że zdziwiło, że woda chłupie jak się ją chluśnie ręką. Że zdziwiło, jak się nakryło księdza sukienką. Dzieci żyją. I życia się oduczają. Oduczony marzysz o życiu, z myśli swoich zgrają. Chciejstwa wszelakiego. Tego, tamtego. Bo chcesz się podobać. Być szanowanym. I prowadź. Sam siebie przez życie nie bacząc na kierunkowskazy. A później dziw się dlaczego siedzisz w rowie. Bez prawa do jazdy. By zobaczyć gwiazdy. By zobaczyć Boga. Trwoga, trwoga, trwoga. W kościach czujesz koniec. Jak to się skończy. Goniec. Bije królową. Świat tańczy z głową na ziemi. Przeciętą. Połową. Tego co zostało. Tego co zostać miało. A Ty się dziwisz, dlaczego małe po dużym skakało. Bo mogło. Bo umiało. Bo mu się chciało.

Byłem dziś chwilę w bibliotece więziennej. Rozmawiałem z dwoma, czy trzema osobami. Jeden więzień pyta mnie, czy znajdzie tu jakąś książkę o rozwodach. Poradnik. Czy coś. Bo chce się rozwieść z żoną jak wyjdzie. A ja na to w śmiech. Że to jak ze złem. Gdy chcesz zrobić coś złego, zrobisz i wyjdzie Ci to doskonale. To dobrych rzeczy trzeba się uczyć. Pamiętać o nich. Złe same się pchają. Wpychają między kanapki. Wchodzą oknami i kominami. Bez pytania. Bez rozstania. Da się żyć. Nie trzeba się rozwodzić, żeby tyć. Żeby dusza tyła. Rosta w siłę. Żeby żona była i częściej prosiła. Trzeba słuchać żony. Trzeba słuchać samego siebie. Tego co Was łączy. Tego co w potrzebie. Łatać dziury, a nie je powiększać. Ulepszać i doszlifować. A nie z pola bitwy spieprzać.

Na obiad leczo z cukinii z pokrojonymi parówkami. Jak to jest, że jedzenie człowiekowi nigdy się nie znudzi. To taka nigdy niekończąca się opowieść. Jedzenie-toaleta. Jedzenie-toaleta. Jedzenie-toaleta. Nie zapomnisz ani o jednym ani o drugim. I sen, który dzieli jedno od drugiego.

A dzisiaj sen nie byle jaki. Bo sen o więźniu na Kamczatce. W pasiaku. W zimnie. Cienkie ubranie. Ponad dziesięć godzin pracy dziennie. Niewielkie racje żywnościowe. Człowiek zawsze głodny i traktowany gorzej od psa. Bity za byle co. Karany przy każdej okazji. Raz dostałem w twarz bo nie zapytałem strażnika, czy mogę zadać pytanie. Tylko od razu zapytałem. Znęcanie się fizyczne. Znęcanie się psychiczne. Byle człowieka upodlić. Byle zmieszać z błotem. I postanowiłem uciec. Robiłem podkop. Gdy wszyscy spali. Żeby wydostać się z obozu. Żeby przejść pod drutami i ogrodzeniem. I przeszedłem. Pewnego dnia mi się udało. Problem jednak z Kamczatką jest taki, że nie ma gdzie uciekać. To dziki teren. Dziewicza okolica. Szedłem kilka dni. Myślę, że mnie nie gonili. Tylu nas tam było, że pewnie nawet nie zauważyli, że jednego

brakuje. Doszedłem do morza. Wpadłem na to, że jedyna szansa to tratwa. Lub łódka. Stańto na tratwie. Łódki nie udało mi się zrobić. Ostre kamienie, które rozłupywałem służyły mi za nóż. Siekierę. Za wszystko. Udało mi się związać belki. I wodowanie. Udało się. Tratwa nie zatonięła. Unosi się. Zrobiłem więc zapasy słodkiej wody i w drogę. Płynę. Morze niesie gdzie chce. Byle dalej. Od Kamczatki. Od śmierci. Od obozu. Co do śmierci to nigdy nie masz pewności, czy się od niej oddalasz, czy do niej zbliżasz. Chyba, że jej ubliżasz. Chyba, że masz ją za nic. Wtedy śmierć nie zna granic.

Po kilku dniach na wodzie. Żywienia się rybami. I wypiciu całego zapasu wody. Straciłem już nadzieję. Byłem przekonany, że morze będzie dla mnie grobem. Wyłowił mnie statek. Trafiłem na chiński statek transportowy płynący z Alaski do Chin. Uratowali mi życie. Zacząłem nowe życie. Na statku mnie nakarmili. Napoili. I nauczyli być przydatnym. Pomagać. Spodobało mi się do tego stopnia, że zostałem. Marynarzem. I nie przejmowałem się bagażem. Wszystko co potrzebne miałem pod ręką. Bo niewiele miałem. Bo niewiele potrzebowałem. A Bóg patrzył i machał ręką. Machanie Boga mnie obudziło. I więzienne życie nieco osłodziło.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **22 odpowiedź Dreyfusa**

Wiersz musi uczyć  
Wiersz musi mieć morał

Jeśli go nie ma  
Skieruj wiersz do doktora

Niech zapisze leki  
Niech zbada, osłucha, taka jego rola

Leki to sposób opieki  
A zdrowe odżywianie to sposób na lepsze spanie

Nie będziesz jednak spał dobrze  
Jeśli sam z sobą czujesz się niedobrze

Nieswojo, dłubiesz w nosie  
Czy grasz sam sobie na nosie

Dłubiesz w uchu  
Czy klepiesz się po brzuchu

Po przejedzeniu emocjami  
Po objedzeniu się strofami

Myślisz tylko o drzemce, która przypomni że ja, rodzi my  
Która podpowie jak nie stawać na głowie

W tym świecie co ciągle czegoś się domaga  
Między ludźmi, co zawsze jeden od drugiego wymaga

Nie mieć nic. Zwykła sprawa  
Mieć cały świat, to w zatracenie zabawa

Mieszaj w kotle, mieszaj  
I w nie swoje sprawy się nie mieszaj

Zrozum i uszanuj czyjeś życie  
W wolności i godności ludzkiej tycie

Pamiętaj o rodzinie, pamiętaj o synie  
Nie jesteś swój, gdy wychowujesz się na kpinie

Uwierz w ducha  
Bo sam jesteś duchem

A zabawa w nieśmiertelność  
To zwyczajność, czy odmienność

Ile duch może a ile powinien  
Czy kieruje życiem, czy jest jemu winien

Jak dużo i jak długo utrzymuje się na wodzie  
Jak często ulega namowom i swobodzie

Duch myśli sercem  
Ty myślisz rozumem

Przemyśl, co jest ważniejsze  
Zmieszaj serce z rozumem

Myśl całym sobą  
Tak jak kum dla kuma jest kumem

**23 list**

**19 września, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dlaczego jeden jest bogaty a drugi biedny. Skąd się to bierze. Podział chwalebny. Dlaczego jeden jest piękny, a drugi garbaty. Dlaczego jeden jest gładki, a drugi włochaty. Jak to jest, że każdy jest inny. Czy to jest jakiś test. Na to jak znosimy odmiennosc. Jak znosimy swoją oryginalność. Lepiej siebie zaakceptować, niż życia żałować. Lepiej siebie pokochać, niż życie gryźć tylko trochę. Tylko kawałeczek, żeby nie zaszkodziło. Tylko troszeczkę, żeby w brzuchu rewolucji nie zrobiło. Życie masz jedno. Wykorzystaj je dobrze. Nie dostaniesz drugiego. I tak otrzymałeś szczerze. Życie to dar. Największy z możliwych. Zaliczasz się do żyjących. Lub jesteś jednym z nieżywych. Zastanawiam się czy podziały mają ludzkie czy Boskie pochodzenie. Czy to nasz wynalazek, czy istniał już wcześniej. Rósł na drzewach. Albo pod ziemią. Zbierało go się na schyłka. Czy spotykało w życiu tylko razy kilka. Teraz się rozpanoszyły. Spotyka się je na każdym kroku. Nawet witać już mi się z nimi nie chce. Mam dość ich. Po dziurki w oku. Bole mnie od podziałów oczy. Boli mnie mózg. Że wszędzie za mną muszą chodzić. Nawet gdy nie szczerzę na nich różg. Nic nie pomaga. Nie idzie ich rozgonić. Podziały są jak udziały. Masz je i nie da się ich roztrwonić. Są do człowieka przypinane. Jest człowiek i jest pakiet podziałów. Podziały się cieszą. Że żyją. Podziały dostają wciąż nowe życie. Jedne się kończą, drugie zaczynają. Nie ma przerwy. W niebycie. Wolnej przestrzeni od myśli. Wolnej przestrzeni od zieleni. Gdzie podziały wytrzeszczają na siebie gały. Bo jedno drugich nie znają. Bo jedno są dla drugich obce. Wszyscy razem a osobno. Nikt z nikim. Jak przy ręcznej młocce. Najlepiej nie zwracać na nie uwagi. Żyć swoje. Robić swoje. I nie dzielić. Nie naśladować. Tak jak inni nie główkować. Bo nikt Ci nie każe, być z jednej formy odlany. Takim jak inni, przez samego siebie pokonany. A Ty, jakie masz plany.

Pod prysznicami byłem świadkiem jak we trzech wzięli jednego. I rozprawiali się z nim do jednego. Powiem wręcz, że wyzerowali. Licznik mu nowy zakładali. O ile potrafisz życie za sobą zostawić. O ile z traumami potrafisz się rozprawić. Jedno życie, tak wiele żyć chowa. Jedno życie, tak dużo w brzuchu schowa. Trudno się patrzy na nienawiść ludzką. Na zezwierzenie i upodlenie co przynosi istnienie. Na wyciąganie ręki po nie swoje. Bo uważasz, że wszystko jest Twoje. Cały świat oszalał i w trupa się zalał.

Cały świat je. I nie zatrzymuje się. Jem i ja. Z Lucjanem obiad. Kotlet szwajcarski z sosem pieczarkowy i ziemniaczkami. Niczego złego nie ma między nami. Po jedzeniu celę sprzątałyśmy. Zmiana prześcieradeł. Zmiana poszewek. A później chwila gry w szachy. Szybka partyjka. Byle trochę pomyśleć. By nie zastała się głowa. Albo byle nie myśleć. To mądrości jest połowa.

Co do snu to lubi czasem porozmawiać. Dopowiedzieć coś od siebie. Postawić na swoim. Sen twierdzi, że ma rację i nie przejmuje się zdaniem moim. Coś zawsze ma do powiedzenia. I mówi. Bez zająknięcia. Tym razem opowiada historię rolnika. Uprawiam ziemię. Niewiele. Kawątek. Hektar może. Ale Po starym. Bez maszyn. Siłą rąk swoich. Trochę zboża. Dużo warzyw. Marchewka, cebula, groch, szpinak, buraczki, papryka zwykła i ostra, pomidory. Zasadziłem. Podlewałem, bo nie było długo deszczu. Siekałem, bo trawę wszystko zarastało. Dbałem. Jak mogłem i jak umiałem. Pewnego ranka wstaję i widzę jelenia który je moje warzywa. Obgryza w najlepsze. Wybiegłem z domu i przegoniłem go. Ale straty spore. Połowę warzyw trzeba było posiać ponownie. Więc posiałem. Dbam i podlewam. Robię co mogę, aby wyrosły. Po tygodniu widzę to samo. Rankiem jelen w polu. Jakby był u siebie. Jakby robił to specjalnie. Nie przejmując się tym, że szkodzi. Że niszczy. Że zachowuje się jak szkodnik. Krzyczałem. Nie posłuchał. Nie było mu przykro. Dostojnie odszedł. Nawet się nie spieszył. Nawet nie wie, że zgrzeszył. Lub wiedzieć nie chce. Jeszcze mu się zechce. Wyjąłem strzelbę i codziennie rano wstawałem wypatrując jelenia. Myślę, odstrzelę bydlaka. Nie będzie mi niszczył upraw. Zasiałem po raz kolejny do końca pole. Wykorzystałem każdy kawałek ziemi. Dbałem jak umiałem. Mija tydzień. Jelenia nie widać. Mija drugi. Jelenia brak. Aż w trzecim tygodniu widzę szkodnika. Siedzi w warzywach jak wcześniej siedział. Więc podchodzę cichaczem. Skradam się, żeby go nie wystraszyć. Ze strzelbą w dłoni. Gdy byłem już dość blisko wycelowałem. Trzymałem jelenia na muszce i słyszę głos, nie zabijaj. Odkładam strzelbę. Patrzę w prawo a tam anioł. Mówi, śmierć nie jest rozwiązaniem. Złość nie jest Twoim panem. Strzel w powietrze. Wystrasż jelenia. A pole ogrodzisz siatką z drutu. Tak aby jelenia nie kusiło. Tak aby z jelenia jedzenie szkodnika nie robiło. Tak zrobiłem. W powietrze wystrzeliłem. Jeleń uciekł. I nie wrócił. Bo siatka pilnowała upraw. Bo kawałek druta strzegł moich praw. W podziękowaniu zaprosiłem anioła na supę jarzynową. Przyszedł z jeleniem. Jako gościem honorowym. Nakarmiłem jednego. Nakarmiłem drugiego. Jeleń się nie odzywał. Tylko uśmiechał czasem. Na końcu powiedział, że szkodził, nie wiedział. Że teraz wie kogo co jest czyje. Że teraz się nie boi, że go ktoś zabije. Obudzony myślałem co znaczy ta opowieść. Dla mnie. Dla anioła. Dla Ciebie. Pewnie co innego powiem ja. Co innego Ty. A z nas obu śmieją się w niebie.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **23 odpowiedź Dreyfusa**

Podziały to życia rozdziały  
Mówisz to wciąż mały

Marząc że kiedyś urośniesz  
Że w życie świata wrośniesz

Że staniesz się całkiem dziki  
Że dołączysz do dzikich klik

Że Panem będziesz na świecie  
Co nie skąpi pani po monecie

Za dotrzymanie czasu i miejsca  
Bo chce nie zaczyna się od chciejstwa

Chce powinno być owocem  
Ruchu serca, a nie kłopotem

Co przyciąga kolejne kłopoty do siebie  
Jeśli nie wiesz ileś wart, zapytaj w niebie

Tam Ci powiedzą jak szanse Twoje stoją  
Czy postoją czy usiądą a może się napoją

Zastanowią i po zastanowieniu rzekną  
Że Kościół jest dla Ciebie Mekką

Że w Kościele znajdziesz Świętego Graala  
Że w kościele tajemnic co nie miara

Tajemnica miłości  
Co nie rozwikłasz jej bez gości

Tajemnica przemienienia  
Co chleb w ciało zamienia

Tajemnica krzyża  
Co życie wieczne przybliża

Tajemnica pojednania  
Co zło płaszczem zastania

I tajemnica zjednoczenia  
Co istnienie w życie zmienia

Nie broń się przed prawdą  
Nie zastaniaj sztuką dawną

Prawda nawet pod łóżkiem Cię znajdzie  
I pokaże się zanim słońce zajdzie

Nie będzie umalowana  
Nie będzie ładnie ubrana

Nie będzie wygadana  
Pokaże tylko co to znaczy zmiana

Co to znaczy wiara  
Która radości daje co niemiara

Pokaże co to znaczy Bóg  
Co kocha i wielbi Go ludzi w bród

**24 list**

**4 października, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Rośniesz jak kwiatek w doniczce, czy jak kwiat polny na łące. Pod lasem. Nie taki dorodny i okazały jak ten doniczkowy. Ale wolny. Ale oddychający świeżym powietrzem. Sycącym. Czekającym i o deszczu marzącym. Opalonym przez słońce co nie zna umiaru i Wyginanym przez wiatr co złamał już paru. Kwiat polny jednak się nie poddaje. Bo jest z tych twardych. Co byle czego nie daje. Co nie dzieli się byle pierdółką. Czeka aż uzbiera. Rozkwita. Pachnie i siebie w ofierze składa. Bądź jak kwiat polny. Taka moja rada. A nie jak hodowlana roślina dogładana. I głaskana. Chemikaliami spryskiwana. Środkami przeciw robalom. Środkami przeciw mszycom. Gdyby był ptakiem, chciałby być gołębicą. Ale ptakiem nie jest. Jest zaś na łasce i nie łasce pana. Co podlewa go za dużo, lub zbyt mało. Niż trzeba. Lub trzeba wody waćpana. Za duży nie urośnie, bo Cię przytną dnia pewnego. Pszczoła Cię nie odwiedzi. Masz tylko wyglądać. Nie masz być użyteczny. Nie masz być pożyteczny. Nie możesz rozsiewać i dzielić się życiem. Nie będziesz autorem gromadki pocziwych kwiatuszków. Nie pożyczysz w stadzie. Rozgość się w swojej matni. Jesteś tu kaprysem. Tak dali Ci na imię. Kaprys znaczy nikt. Ten co nie dba o rodzinę. Nie dba o siebie i o życie wkoło. Kaprys zamieniłby się za pięć minut bycia pszczołą. Ale nie zamieni. Bo jest tylko kaprysem. Co marzy po mocach, aby być na łące irysem. Mówisz o Kościele. Tak pięknie. Że ważny. Że tajemnice skrywa. Że sam w sobie odważny. Że trzyma na łańcuchu prawdę uwiązaną. Że pozwala na nią patrzeć. I oglądać się za nią. Myśleć i tęsknić. A prawda wciąż zajęta. Piszę do niej list. A ona mówi, że przeklęta. Że każdy kto ją zobaczy w chwającego Pana się zamieni. Że każdy kto ją pozna. W świętego zamieni. Byłem w kaplicy na Mszy. Niedawno. Prawdy nie widziałem. Ale to może dlatego, że za daleko stałem.

Pójdę raz jeszcze. Pójdę w tym tygodniu. I kto wie. Może zobacze. Prawdę. Jak będzie miała wychodne. Może się uśmiechnie. Do mnie tak małego. Może powie do mnie wiersz. Poety nieznanego. Który pił raz z tą prawdą. Śpiewał pieśni i poezji uczył. Prawdzie się spodobało. I prawdę sobą utuczył. Zobaczymy. Czy Kościół wyjdzie mi na dobre. Zobaczymy. Czy kroki moje będą chobre. Bo nie każdy musi. Choć każdy powinien. Z prawdą się przywitać i oddać jej co jest winien.

Lucjan miał widzenie. Naniósł owoców. Banany, awokado i mango. Światowi goście. Przynoście. Przynoście. Jemy po bananie i opowiadamy jak rosną. Dziwimy się, że do góry nie na dół. Nie ciągną do ziemi, tylko chcą odlecieć. Daleko, ponad chmury. Uwolnione wzlecieć. Na farmie hodowane niewiele z życia mają. Te co rosną przy domach. Same sobie się podobają. Na obiad połówka golonki. Na głowę. Gdybym wiedział, nie ojadłbym się bananów. Jedno z drugim nie gra. Jedno jest ze świata. A drugie świat z kurzu zamiata. Jedno ma być na tłusto. A drugie jest lekiem na głowę pustą.

Śniło mi się coś znowu. Co raz to nowa przygoda. Aż się nie mogę doczekać łóżka. I tego co razem ze snem wymyślą. Banda zbójcka. Co strzela do niewinnych i grabi. Złoto pana. Oddaje biednym i mówi, że to na czarną godzinę. Żeby nie wydawali na głupoty. Żeby złoto dodało ochoty. Zmieniło smutny ich żywot. Albo radosny na piwo. Zmieniło na uśmiech i żart. Pokaż mi ile złota a powiem Ci ileś jest wart. Czym więcej tym mniej. Czym prędzej tym wolniej. Chmura śpieszy się żeby zamienić się w deszcz. Ty śpieszysz się, aby się wzbogacić jak pijący krew kleszcz. Sen. Sen. Bo o niego tutaj chodzi. W śnie byłem kierowcą ciężarówki, który woził piasek i żwir na plac budowy. Jeden kurs. Załadunek i kiprowanie. Drugi kurs. Załadunek i kiprowanie. Przy trzecim kursie zauważyłem, że coś jest nie tak. Załadowali mi niewiele ponad połowę wywrotki. Przy czwartym kursie, było jeszcze mniej. A przy piątym jechałem prawie na pusto. Za szóstym razem wysiadłem. Na piaskowni. I idę do faceta zajmującego się załadunkiem. Pytam o co chodzi. Dlaczego tak mało ładują. Tyle wolnego miejsca na samochodzie zostaje. On mi na to, że ładują tyle ile widzą, że mogą przyjąć. Że dam rady. Że uniosę. Mówi, że słabne. Że jeżdże i jeżdże. Nie myślę po co i dlaczego. Nie widzę w tym sensu. Jeżdżę dla samego jeżdżenia. Bo mi kazali. Bo pokazali punkt odbioru i punkt rozładunku. Zsypuję i jadę dalej. Ładują mniej, żeby mi się zastanowił. Po co. Co budujemy. Co z tego piasku ma powstać. I jak długo ma stać. Ile jeszcze kursów, nie ma znaczenia. Ważne, żeby wybudować. Ważne, żeby wypróbować. Samego siebie i to co buduje Ciebie. Jego i tamtego. Który w ładowaniu połowy samochodu nie widzi niczego złego.

Obudziłem się i nie wiedziałem co o tym śnie myśleć. Czy był w nim anioł, czy gdzieś zwiąt. Anioł może buduje. Albo budowy pilnuje. A może kieruje ruchem i sprawdza kierowców. Żeby nie jeździli po pijanemu. Chwała Jemu. Najwyższemu.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*



## 24 odpowiedź Dreyfusa

Chwała Jemu, najwyższemu  
Co odkręca słoik od dżemu

Co podaje Ci go do chleba  
Co Ci da, a nie jak zły, sprzeda

Skosztuj dżemu, jego słodczy  
To smak Pana, a nie dziczy

To smak roli, która woli  
Gdy wielką panią głowa boli

Bo nie przyda się przy pracy  
Pani która chce mieć wszystko na tacy

Bo nie przyda się na polu  
Ten kto nie ma chęci jak kawał wołu

Mówią przysłowia  
Mówią postowia

Że człowiek chytry mówi i wie  
Że człowiek chytry nie zmieni się

Chyba że bardzo chce  
Chyba że modli się

To Bóg uleczyć może go  
I nie da zakosztować co to zło

Kwaśnego smaku, cykuty tyk  
Nie pij byle czego, żebyś nie znikł

Słowa kryją wszystko  
Słowa mają znaczenie

Zrób ze słów ognisko  
Zobaczysz przeistoczenie

Zmianę zwykłego w głębokie  
Pokazanie palcem na opokę

Co może spalić ludzkie serca  
Co może scalić duszę. Morderca

Także zostanie uratowany  
Błudnierca także zostanie rozradowany

Jeśli zrozumiesz słowa tego moc  
Nie zamienisz już nigdy dnia jasnego w noc

Nie sprawisz, że kuleć zacznie zdanie  
Nie udowodnisz, że można bawić się w niekochanie

Jedno jest pewne, jedno jest znane  
Że nieużywane mięśnie zostają zastane

Podobnie nieużywane słowa  
Czują się niepotrzebne i pęka od nich głowa

**25 list**

**21 października, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dlaczego jedni polują na drugich. Jedni są wojownikami a inni zwierzyną. Jedli kładą się i czekają na wyrok. Nawet nie uciekają. Tak jak siedzą, zostają. Stają się pożywką. Stają się zdobyczą. Wypchaną głową na ścianie. Bezsilności kotwicą. Ile jeszcze czasu. Ile lat musi minąć. By wszyscy żyli w zgodzie. By wojna mogła zginąć. By wykorzystywanie ludzi znikło raz a dobrze. By jeden drugiego szanował. Człowieczeństwo znaczy mądrze. Człowieczeństwo znaczy poświęcenie. To istnienie w zgodzie na chcenie. To próbowanie łagodzić a nie zaogniać. To starać się. Bilet kolejkowy pobrać. Uważasz się za dobrego. Żli to są inni. Ja jeden sprawiedliwy. Jeden niewinny. Jakoś Ci nie wierze. Jakoś mnie nie przekonujesz. Widzę przecież, że jak nikt nie patrzy. Samemu wariujesz. Chodzisz po ścianach i tańczysz na głowie. To co niepodzielne dzielisz na połowę. I rozdajesz. W promocji. Po dwa złote. Był kiedyś taki pies, co latał samolotem. Był kiedyś taki człowiek, co się w psa zamienił. A pies w człowieka i swe życie zmienił. Już więcej nie szczekał. Już więcej nie gryzł kości. Nie jadł z ziemi i miał więcej litości. Dla zwierząt, psów innych, co wiecznie czekały. Pozwala im czekać. Żeby coś z życia

miały. Ludzie są różni. Jak psy. Choć szczekają. Ludzie też ciągle myślą, że rację mają. Myślą, że są ponadprzeciętni i wyjątkowi. Myślą, że inni są głupi. A oni wielkogłowi. Skoro tak to tak. Nie będę się kłócił. Jak jest młocka to nie będę leżał, tylko zboże młócić. Jezus kiedyś powiedział, a skoro powiedział to wiedział, że ten kto spokojnie siedział. Siedział bo swoje wiedział. Ten zaś co krzyczał, ten co się kłócił. Wiedział niewiele, dlatego temat młócić. Czy powiedział to Jezus, czy powiedział ktoś inny, prawda to jest i kropka. A ja jestem niewinny. Choć zdarzyło mi się że kradłem. Choć zdarzyło mi się że biłem. Chciałem pokazać kim jestem. W zamknięciu sam z sobą tkwiłem. Od siebie się uczyłem i siebie nie lubiłem. Rosłem w swej głupocie. Z każdą chwilą głębiej w psocie. Głębiej w zepsuciu i po uszy w praniu. Brudy wychodzą pierwsze przy gadaniu. Bo co z Ciebie wychodzi to też masz w środku. To czym jesteś to nie otoczka. Którą przyozdabiasz w ubrania i szminkę. Które zdradzasz gdy słyszysz nowinkę. Niestalość to Twoja matka. Zmienność to siostra. Wychowany przez nie. Nie karmisz się we dnie. Jesz tylko w nocy, wtedy gdy nikt nie widzi. Pijesz po północy. Tak wypada, Ci się widzi. Sam jesteś swoją tradycją. Sam jesteś na mądrość amunicją. Sam chcesz być wyżej niż inni. Zastrzelić. Co z tego, że niewinni. Winni - niewinni, jakie to ma znaczenie. Nikt nie jest bez winy. I to jest me wytłumaczenie. Dzięki któremu mogę strzelać. Przez które mogę zabijać. I zostaną sam tylko. A gdy skończą się naboje dam się zjeść dzikim wilkom. Nie ma tak, że sprawiedliwość na pustyni żyje. Może i tak, ale czasami wraca. Do ludzi zagląda i pyta czy jest praca. Którą mogłaby wykonywać. Która mogłaby zbywać. Ale nie będzie, bo sprawiedliwość chodzi po kolędzie.

Na obiad dziś smażony ser z frytkami i sałatką z białej kapusty. Lucjan zadowolony. Mówi, że łapie i zbiera kalorie. Że masy chce nabrać. I na to siłownia. Żeby być jak Dyskobol Myrona. Jakoś go nie widzę w tej roli. Ale nie podcinam mu skrzydeł. Wierze, że wiara w niego wierzy. Przynajmniej póki sam wierzy. Więc przyklaskuję jemu i wierze. I po obiedzie idę na siłownię, pojeździć na rowerze.

Sen był. Odwiedził mnie. I opowiedział mi samego siebie. Pytałem go co to za obraz. Prawdziwy, czy taki jak by chciał, żebym zobaczył. Naturalne, czy przetworzone. Weź zapytaj swoją żonę, czy te piersi są zrobione. A w śnie byłem kolarzem. W grupie zawodowej. Jeździliśmy w wielkim wyścigu. W peletonie. Po górach. Zmienialiśmy się miejscami. Raz jeden był z przodu, raz drugi. Pracowaliśmy dla dobra zespołu. Pedalowaliście dla wygranej lidera. Choć lider tego nie doceniał. Uważał, że mu się to należy. Że jego pozycja to gwarantuje. Wielkość. A inni mali. Niewiele znaczący. Czołgający. A gdyby nie my nie zajęłaby daleko. Nie miałyby siły na ostatnich kilometrach odskoczyć. Więc postanowiliśmy utrzymać mu nosa. Zgadaliśmy się grupowo, że go zostawimy. Odskoczyliśmy więc razem. Zrobiliśmy ucieczkę. A lider został w tyle. W peletonie. Ucieczka się nie udała. Peleton połknął nas po szesnastu kilometrach. Ale to nie ważne. Plan się udał. Lider zespołu musiał jechać sam cały ten czas. Bez wsparcia. Bez ciągnięcia na kole. I stracił siły. Odeszły. Uleciały. Na ostatnich kilometrach nie miał jak zaatakować. Nawet nie próbował. Musiał się schować. Po wyścigu pyta dlaczego. Mówi, że powinniśmy inaczej. A my na to, że ma rację, raczej. Ale teraz rozumie, na czym to wszystko polega. Że jeden ciągnie drugiego. Że się gra grupowo. Co znaczy kolega. Co znaczy współpraca i walka ramie w ramie. Dlaczego szacunek się nie łączy z ty chamie.

Obudziłem się i już wiedziałem. Że na rowerku za daleko ujechałem. Na siłowni. Wczoraj wieczór. Bo złapał mnie skurcz. I pyta mnie czym poczuł. Mówię, że nie gadam z tymi co przemocą. Przekonują, że się w łóżko nocą nie moczą.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **25 odpowiedź Dreyfusa**

Jakie miejsce zajmujesz w łańcuchu pokarmowym  
Masz jedno, niezmiennie, czy zaskakujesz ciągle nowym

Czy jesteś jedzonym  
Czy jesteś jedzącym

Dowiesz się dopiero po fakcie  
Zrozumiesz jak już będziesz na trakcie

W trakcie jedzenia poczujesz ból  
Lub w trakcie jedzenia poczujesz sytość

Jeden będzie mówił nie dzisiaj, nie tu  
A innego Ty sam będziesz brał na litość

Jaka jest istota mistycznego słowa  
Słowa twórczego, o którym tutaj mowa

Rzecz bowiem o to się rozchodzi  
Żeby poznać wschód, gdy wschodzi

Żeby zrozumieć kiedy zachodzi  
Że się coś nowego rodzi

Że nie ma przypadku i nie ma nowiny  
Co by się obeszła bez Pana swego i winy

Każdy się potyka  
Każdemu czapka z głowy znika

I z gołą głową  
Musi patrzeć jak znika

Musi modlić się w myślach  
Lub przeklinać pod nosem

Że wolałby rosnąć na kiściach  
Albo być jesiennym wrzosem

Tajemniczo się uśmiechać  
I nie w tajemnicy grzeszyć

Mówić o sobie uduchowiony  
I do słońca się cieszyć

Jesteś jednak kim jesteś  
I nie zmieni nic już tego

Będziesz kim sobie zażyczysz  
I nie widzę w tym nic złego

O ile do złego nie przywrzesz  
O ile zła nie pokochasz

Być złym znaczy być tym  
Który po mocach szlocha

Być wyrzutkiem, być obcym  
To być człowiekiem nocnym

Co nie chce podzielić się sobą  
Wolałby stać się Tobą

Wolałby ganiać się z dziećmi w parku  
Ale nie wypada

Wolałby upaść się lodem w słoneczny dzień  
Ale boi się samym sobą władać.

**26 list**

**1 listopada, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dziś dzień w którym wspomina się zmarłych. Myślimy, że wszyscy nudzą się w niebie. A w niebie wcale nudno nie jest. Jest błogo. Jest cicho i spokojnie. Tak jak w lesie zimą. Jeśli cisza Cię przytłacza, to znak, że musisz nad sobą pracować. Aby wydobyć to co dobre. Aby zrozumieć samego siebie. I wpisać się na listę oczekujących w niebie. Na ucztę z ciszy. Bez myszy które gryzą stoły. Bez tych którzy są głodni na poły. Jest jeden Bóg. Jedna krew. Która w każdym z nas tętni. Jedno powietrze, które wypełnia płuca nasze. Jeden test, zwany życiem. Aby oddzielić ziarno od plew. Należycie. Wspominamy zmarłych. Niedługo nas będą wspominali. Pytanie jak. Jak szybko zapomną. Jak długo będziemy zajmować ich myśli. Czy tylko na kilka sekund odpalania znicza. A może jedną modlitwę się w pakiecie dolicza. Nie znam się na modlitwach. Nie znam się na prawie. Ale wiem jedno, że Bóg piszczy w trawie. Nie dla umarłych. Tylko dla żyjących. Dla tych się cieszących i dla siebie samych pilnujących. Bóg nie wybiera każdego. Każdego zaś prosi o przyjście. Wybiera tych, którzy mają na uczcie usługiwać. Wybiera tych, bez których nie może zbywać. Bo najmniejszych się zazwyczaj nie zauważa. Spytaj rodziców, spytaj lekarza. Bakterie i zarazki, chociaż takie małe, rządzą wrzaski i potrafią pokruszyć skałę. Są ludzie którzy by chcieli. Ale na chceniu się kończy. Są ludzie którzy nie wyobrażają sobie życia bez Boga, ale Bóg jakoś nie jest przekonany. Bóg im nie kibicuje. Nie czuje chemii. Nie iskrzy między nimi. Każdy może się jednak zbawić. Każdy może poczuć swój czas. Wieczny. Który czeka na nas. Czeka on także na Ciebie. Mówi o Tobie często. Zastanawia się jak to jest być złączonym. W jednym duchu. W jednym słowie zatopionym. Życie wymaga. To nie jest tak, że niczego od Ciebie nie chce. Życie chce Cię mieć na wyłączność. Chce się Tobą posłużyć. Chce o Tobie myśleć. Nim przestaniesz istnieć. Chce zatańczyć z Tobą pierwszy i ostatni taniec. A po środku tańczysz z kim chcesz. Życie to nie kaganiec. Życie robi sobie z Tobą zdjęcia. Do albumu. Pamiętkowe. Życie nie jest stabilne. Życie jest ciągle nowe. Poznałeś je parę lat temu, teraz jest całkiem inne. Poznałeś go rozwydrzone. Teraz jest niewinne. Życie lubi zaskakiwać. Zaskoczy nie raz Ciebie. Nie raz poda też Ci pomocną dłoń. I krzyknie na Ciebie. Zapyta czy może pomóc. Opowie innym, że było warto. Nachyli się nad Tobą i przytuli. I będzie niekończącą się dominantą.

Pomagałem dziś przez dwie godziny w bibliotece karnej. To nie znaczy, że za kare. Więźniowie przychodzą tu z własnej woli. Nikt nie zmusza nikogo. Nie ma skracania wyroku za czytanie. Ale wydłużanie za czytanie też nie grozi. Przyszedł dziś jeden delikwent i pyta czy mamy książki o seryjnych zabójcach. Mówi, że przejechał faceta samochodem. I zastanawia się czy kontynuować karierę. Dobrą passę. Ja mu na to powiedziałem, że dobra passa to by była gdyby go nie złapali. A jak już wpadł na wstępie to nie rokuje. Kariery w morderczym biznesie nie robi. Więc szkoda się napalać. Lepiej w piecu rozpalać. I pilnować aby temperatura była zimną odpowiednia. Żeby nikomu zimno nie było. Żeby się nikomu morderstwo nie śniło.

Na obiad były trzy jajka sadzone. Dobrze dosolone. Z zasmażaną marchewką i groszkiem. I ziemniaczkami. Zjadłem troszkę i zasmakowałem. Szybko dokończyłem i przed Lucjanem się chowałem. Za książką. O hieroglifach egipskich. Którą czytałem.

Sen. Bo znowu mi się coś śniło. Traktował o Betlejemskim Świetle Pokoju. Byłem odpowiedzialny za to, żeby przenieść płomień świecy z jednego kościoła do drugiego. Oddalonego o trzy kilometry. Była zima. Mroźno. Padał śnieg. Dawno nie widziałem takich wielkich płatków. Po kilka centymetrów. Szedłem ze świecą. Ośaniałem ją ręką aby nie zgasła. Zwracałem uwagę z której strony wieje wiatr. I ustawiałem się w taki sposób, aby świeca była jak najbezpieczniejsza. Ogień świecy. Bo o ogień tutaj przecież chodzi. Zapalony w Betlejem.

Przewędrował przez cały kontynent aby spocząć w moich rękach. Aby stał się odpowiedzialny za podtrzymanie tego światła. Które niesie pokój. I poniosło mnie. Światło. Pokój zagościł w moim sercu. Czujęm jak rośnie. Wraz ze mną. Jak napełnia mnie moją mocą. Jestem pokojem. By po chwili stwierdzić, że staję się niepokojem. Podszedł do mnie szatan i kusi. Aby zmuchnął świeczkę. Mówi, że to doda mi mocy. Pokaże jaki jestem silny. Ile mogę. Zabójca światła pokoju. To jest coś. Nie przekonał mnie. Ale próbuje dalej. Delikatniej. Jeśli nie zmuchnąć, to chociaż ją odstoń. Nie zastanawiaj jej tak przed wiatrem. A zobaczysz czy przeżyje. Czy przetrwa. Ty jej nie zgasisz. Stanie sama. Oko w oko z naturą. I los zdecyduje, czy ma płonąć, czy umrzeć. I zламаłem się. Dałem się przekonać i odstąpiłem świecę. Płomień zaczął drzeć i podskakiwać. Chybotać się. Nachylać i koniec. Jego życie zamieniło się w odrobinę szarego dymu. A mnie ogarnęło przerażenie. Co ja zrobiłem. Odpaliłem świeczkę zapalniczką. I wszedłem do kościoła w którym miałem odpalić świecę. Światłem z Betlejem. Powiedziałem jednak prawdę. Nie miałem siły tuszować sprawy. Przyznałem się, że szatan mnie namówił i nie strzegłem światła wystarczająco dobrze. Że pozwoliłem mu zgasnąć. Na to odezwało się światło. I mówi, że nie zgasło do końca. Że jest płomieniem pokoju. Nadal. Że w sercu tego płomienia bije prawda, objawiona przez tego kto ją niósł. Że zło próbuje, ale to nie skutkuje. Że zło się stara. Myśli, że zwyciężyło. A później płomień powstaje ze swoich własnych zgliszczy i zło niszczy. Spala. Zadeptuje. I samo sobie przyklaskuje. Odpaliłem drugą świecę. W kościele. Dwa płomienie przywitały się pocałunkiem. W miłosnym uścisku pokoju i zgody. Dobro przywitało się z dobrem. Dla życia ośłody. Obudzony a nie poparzony popatrzyłem na twarz Lucjana. A ten się śmieje od samego rana i pyta co mi się śniło. A ja na to, że coś co płomień zabiło. A potem wskrzesiło.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **26 odpowiedź Dreyfusa**

Ci którzy żyli przed nami  
Patrzą teraz na nas

Ci którzy żyją z nami  
Patrzą póki czas

Ci którzy będą żyli po nas  
Woleliby by przyszedł już ich czas

Nie patrzą  
Zasłonił ich bas

Zasłonił ich tenor  
Co czasu swojego nie trwonił

Mówisz, że liczysz się ze zmarłymi  
Mówisz, że pamiętasz

Uśmiechasz się dla nich  
I chodzisz na cmentarz

Czy jednaknosisz ich w swoim sercu  
Czy spotkałeś się z nimi na miłości kobiercu

Czy wołałeś, przyjdźcie  
Pomóżcie w potrzebie

Czy widziałeś ich w myślach  
Czy w żywym wciąż chlebie

Czy nuciłeś ich ulubione przeboje  
Nie moje, nie Twoje, ale ich smutki i znoje

To co by chcieli, poprawić, naprawić  
Aby nadal mogli niespodziankę sprawić

By poprawić to za nich  
By nauczyć się żyć

By nauczyć poprawiać tych  
Którym trudno jest tyć

By zrozumieć co ważne  
By uchylić rąbka tajemnicy

Co się stanie  
Jeśli Kościół weźmiemy do Bożnicy

Na modły świąteczne  
I poznamy grzecznie

Może się zakochają  
Może rękę sobie podają

I pomodlą się w ciszy



Chwaląc Pana jednego

I pomodlą się śpiewem

I dowiedzą się tego czego nie wiem

Tajemnic zakrytych

Przed oczami zwyczajnego

Tajemnic odkrytych

Przed oczami naznaczonego

Pamiętaj o prawach rządzących światem

I wyrusz w podróż po miłości, która Ci bratem

Od miłości, do miłości

Od lubianego, do nieznośnego

Miłość kocha każdego

I pokaże Ci co wynika z tego

**27 list**

**25 listopada, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Czy potrafisz sam siebie wyrazić. Sam siebie opisać i pokazać przed innymi. Czy jesteś prawdziwy, czy się chowasz między nimi. Czy wolisz nie pokazywać co w Tobie schowane. Czy wolisz się naigrywać z tego co zastane. Są ludzie dla których nie ma rzeczy ważniejszej od znalezienia siebie. Od odkrycia kim są i chodzą z głową w niebie. Ciało na ziemi o jedzenie woła a głowa w niebie się na Boga powoła. Ludzie którzy żyją w zgodzie sami ze sobą. Co znają swoją wartość, chętnie się podzielą z Tobą. Pokażą kawałek swej duszy. Pokażą kawałek swego serca. Czasami przez to ich dopadnie. Kat. Serca morderca. Czasami zaboli ich to bycie szczerym. Czasami zastanawiają się czy warto. Ale szczerłość jest rzeczą otwartą. Nie można jej kontrolować i zastanawiać się co ludzie powiedzą. Co ludzie pomyślą i czy grzecznie siedzą. Czy jeden widelec od noża w dobrej jest odległości. Czy ryba pływała kiedyś w stawie, jak teraz na talerzu, bez ości. Ludzie chcieliby, żebyś był z formy odlany. Żebyś grał w grę, system przez nich wymyślany. Nagrody i kary. Swobody i więzienie. Myślą, że Cię mają. A sami siebie sprzedają. Myślą, że warto kontrolować. A ja myślę, że warto próbować. Zachować samego siebie w całym tym chaosie. Warto być jak sokół, a nie jak w chlewie prosię. Co się ubrudzi, co się natrudzi i dookoła wszystkich pobudzi. Żeby widzieli, żeby patrzyli i z jego wielką godnością się wszyscy liczyli. Mam na ten temat średnie powiem zdanie. Nie oceniam. Nie neguję. Choć

mówię że psuję. Sam siebie gdy do chlewu wejść. I zacznę mówić slangiem ze świniami. Tak żeby rozumiały. Tak żeby wiedziały. Że nie na darmo, całą noc tutaj stały. Tak aby każdy zobaczył. Podpisałem chlewik: To raj z naszych marzeń. Tylko dla rządnych wrażeń. I nikt nie wiedział o co mi chodziło. Wszyscy myśleli, że już mi się znudziło. I postanowiłem być taki jak oni. A ja nigdy nie składam broni. Jestem i będę orędownikiem tego. Żeby każdy kleił się tylko do dobrego. Żeby odróżniać sokoła od świni. Żeby mieć gdzieś co mówią, nie przejmować się nimi. Ważne, żeby być zgodnym z Bogiem. Ważne, żeby być jak skała. Z której nie jedna skakała, a skała się dalej dobrze miała. Każdy wybiera jak żyje i po co. Każdy decyduje co nazywa przemocą. Tworzymy własny świat w głowie. Nie każdy. Są tacy, którzy wszystko widzą na nowo. To kierunek ważny. Bo pokazuje, że można inaczej. Bo pokazuje że warto jest żyć. Raczej.

Na obiad gulasz węgierski. Z chlebem. I ogórkiem kiszonym pokrojonym w ćwiartki. I mamy dylemat. Ja z Lucjanem. Czym jest gulasz. Lucjan mówi, że to zupa. Ja mówię, że sos. Drugie danie. A gulasz miał na to inne zdanie. Powiedział. Jestem gulaszem. Jestem sobą. A ogórek jest mi ozdobą. Chleb do smaku. Chleba mało. Ważne, że się gulaszowi chciało. Nakarmić ducha, nakarmić ciało. Tylko nie mów, że ci mało. Pogadaliśmy z gulaszem. Pogadaliśmy ze sobą. A ludzie dalej się zastanawiają, jak się plotki rodzą.

Co do snu, bo był u mnie jeden taki. Dziś w nocy, jak wczoraj, jednaki. Opowiadam a Ty pomyśl. Co Ci powie. Snu się domyśl. Bolał mnie ząb. Bolało pół szczęki. Niby jeden a promieniował. Nie wiem który bo się schował. Ale jak przygryzłem wyszedł bolący szpieg. To górna szóstką. Do dentysty bieg. Dentysta ogląda, puka i stuka. Nawet prześwietlenie zrobił. Ogląda zdjęcie. Szczęka boląca. Nie potrzebuje zdjęcia, tylko zębem się zajęcia. Jest decyzja. Wyrwanie. Zęby zagryzłem. Drogi Panie. Tylko delikatnie. Tylko z finezją. Nie chcę, żeby skończyło to się Polinezją. Dentysta się zaparł i rwie. Drugi trzeci. Wyrwał cztery zęby. Patrze jak krew leci. Pytam go, jak to. Jak to możliwe. Jeden był do wyrwania a cztery drażliwe. Dentysta na to, że tą szóstkę co boli, zostawił. A wyrwał cztery inne, bo słabo rokowały. Według niego standardów jakichś nie spełniały. Ja na to, że przynajmniej nie bolały. Dentysta mówi, że chciałem Polinezji to mam. Spokój z zębami. Jak mi nie pasuje, to przyklei z powrotem. I wklei pokotem. Ja na to żeby więcej nic nie robił. Bo zepsuje więcej niż naprawi. Odbił. Trzeba było samemu sobie wyrwać skoro wiedziałem który boli. A nie wysługiwać się innymi. To że rzeźnik, to nie znaczy że dobrze kroi. Ja na to, że następnym razem już będę wiedział. I koło rzeźnika nie będę już siedział. Sam swoje problemy będę rozwiązywał. Nie liczył na ludzi. Chyba, że chodzi o nalanie piwa.

Obudziłem się z ochotą na piwo. Przygryzłem zęby, żeby sprawdzić, czy wszystkie są na miejscu i powiedziałem Lucjanowi, że już nigdy nie pójde do dentysty. Tak na wszelki wypadek. Jakby sen nie znał wpadek. Nie zrozumiał. Taki wypadek.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## 27 odpowiedź Dreyfusa

Wyrazić siebie  
Czy porazić Ciebie

Kto do kogo mówi  
W nagłej potrzebie

Czy warto się starać  
Pokazać prawdziwą twarz

Nie próbuj się starać  
Jeśli prawdziwość to maska, którą masz

Nie próbuj udowadniać  
Że jesteś lepszy niż jesteś

Nie próbuj pokazywać  
Że naczyń nie musisz zmywać

Że same się zmyją  
Że same siebie zakryją

Pokażą co ważne  
I momenty nierozważne

Które unikają wyjścia na światło dzienne  
Które sprawiają wrażenie że są niecodzienne

Walczyć ze sobą  
To nie znać się z osobą

Która jest Ci najbliższa  
Nie żałuj, jak drzewo liścia

Tylko zrozum jedną ważną rzecz  
Jeśli wybierzesz mieć

Nie znając siebie  
Nie poznasz świata

Będziesz samotny

Będziesz jak spinka do krawata

Pasuje temu, kto unika siebie  
Życie planuje rozbić obóz w niebie

Czy się na niego zapiszesz  
Czy zrozumiesz gdzie puenta

Obóz to test na szczerłość  
A ten wiersz to zachęta

Żebyś rzucił to wszystko  
Żebyś zajął się sobą

Abyś zrozumiał samego siebie  
A nie był sam sobie ozdobą

Abyś wyraził się za pomocą słowa  
Mówionego, śpiewanego, malowanego

To bez znaczenia  
Słowo jest po to, aby żyć zaczęła Twoja głowa

**28 list**

**11 grudnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Żona, czy mąż. Związek małżeński to świętość. To zjednoczenie dusz. Przed Panem. Przed światem. Przed świętym patronatem. Małżeństwo to taniec miłości. Lub okrzyki złości. Małżeństwo to rozumienie się bez słów. Lub nie traktowanie poważnie swoich słów. To martwienie się o drugą osobę. To walka o rację, lub zgodę. To mówienie prawdy, lub kłamanie. Ty decydujesz na czym związek stanie. Na czym zostanie zbudowany. Jakie ma Bóg względem Ciebie plany. Jeden odnajdzie się w małżeństwie inny nie. Jeden inaczej służy Bogu. Oddaje dusze swe. Małżeństwo trzeba podlewać. Jak kwiat. Dbać o nie. Jak mówił Brat. Trzeba pamiętać zawsze o drugiej osobie. Trzeba kochać a nie żyć w niezgodzie. Nie ograniczać małżonka. Kajdan mu nie zakładać. Nie zamykać w szefie i nocą się nie skradać. Uciekając od związku, uciekając od Boga. W ciemności się chować. Lepsza chłodna woda. Niż gorąca, którą poparzyć się łatwo. Uczyn swoje życie, do picia wodą zdatną. Niech Twoje decyzje karmią inne dusze. Te które Cię znają. Lub te które przeżywają katusze. Niech czerpią od Ciebie to co najlepszego. Niech poznają dobro, od dobrej strony. A nie od strony złego. Niech bliskość Twoja z Bogiem pomaga Ci żyć. Niech uczy Twoją duszę chwila po chwili tyć. Tak to już jest ten świat zbudowany. Że życie robi okłady. Z czystości. Na rany. Aby czyste serce duszę człowieka kołło. Aby czysta dusza inną duszę przytuliło. I opowiedziało historię swoją. Jak była brudna. I

jak została oczyszczona. Czy to żona. Czy inna zasługa. Wymarzona. Nie ważne kto, kiedy. Nie ważne dlaczego. Mówi się duszy per Ty. Per moja. I co z tego. A dusza woli być wolna. Pomaga nam czasem. Ciałem kieruje. O ile ciało się zgodzi. Tymczasem. Człowiek myśli, że umysł jest Bogiem. Że wszystkim zarządza. I jego zawodem. Jest praca dla ego. Praca w korporacji. Gdzie niewiele dostajesz ponad żywności racji. Gdzie niewiele nauczysz się. Garba dostaniesz. Od przepracowania. Co prawdę Ci zasłania. Co nie pozwala zobaczyć. Nie pozwala zrozumieć, że wierzyć, to znaczy umieć. Że umieć, to znaczy zrozumieć. Ktoś kiedyś powiedział mądrze tak, że jeśli chcesz wygrać, śpiewa sobie tak, że był kiedyś znak, co wskazywał do Boga. Mało kto jednak patrzył, a prosta była droga. Wystarczyło nie skręcać, wystarczyło nie kombinować. A większość ludzi szło na bok. Po rowach. Bo znak nie utkwiał im w głowach. Nie rozumieli dlaczego, nie wiedzieli po co. Ktoś tłumaczył gdzie cel jest. Widoczny w ciągu dnia, a niewidzialny nocą. Barcie. Pomódl się za mnie. Jak ja zacząłem się modlić. O zrozumienie i Boskie natchnienie. O słów przeistoczenie. Żebym nie musiał już kraść ich. Żeby same się we mnie rodziły. Żeby słowa żyły. I żeby mnie zmieniły.

Dziś na obiad gołąbki z kaszą gryczaną i grzybami. Przypomniało mi się jak kiedyś chodziłem po lesie. Jak zbierałem grzyby. Cieszył się człowiek. Cieszył się grzyb. Nie po to przecież rośnie, żeby być zapomniany. Nieznaleziony. Na pastwę robaków zostawiony. Grzyb chce się przydać. Grzyb chce smakować. Zanim się zestarzeje chce się w brzuchu schować. Porozmawiałem z Lucjanem o grzybach. Mówi, że nigdy nie zbierał. Że tylko kupował. W sklepie, albo na targu. Ale mu smakują. Ale do siebie pasują. Je więc. I myśli o nich ciepło. Zanim się zepsują.

Sen przeniósł mnie do dzieciństwa. Gdy byłem młody i głodny. Życia. Chłonny. Przeżycia. Każdego momentu i chwili. Każdego fragmentu i wbiciu każdej bili. Tworzyłem z dwoma kolegami grupę. Załogę. Ekipę. Bawiliśmy się wspólnie. Jeździliśmy wspólnie na rowerach. Bez kasku. Po drodze. Na wsi więcej można. Można było. Kiedyś. Zanim się skończyło. Przez kilka dni budowaliśmy w lesie bazę. Naszą kryjówkę. Naszą oazę. Większość z desek i gałęzi. Nawet dach miała. Zabezpieczony folią, żeby nie przeciekała. Baza była pierwsza klasa. Pomieści kilka osób. Nas było trzech. Byliśmy z niej dumni. Był to na ucieczkę sposób. Gdy bawiliśmy się w wojnę. I nie chciało nam się dłużej strzelać. Chowaliśmy się w bazie. I nie musieliśmy już szat rozdzierać. O to co powinno a co jest. Co będzie a co jest wszędzie. Baza nas rozumiała. Rozumieliśmy się nawzajem. Poznaliśmy się dawno. I chodziliśmy razem krajem. Pewnego razu starsi o kilka lat od nas koledzy. Dowiedzieli się, że mamy bazę. Tacy szpiedzy. Postanowili zagarnąć ją dla siebie i nas przegonili. Postanowili pić w niej piwa i marnować chwila po chwili. Powiedzieliśmy dziadkowi, że starsi koledzy, wyrzucili nas z bazy. Postanowił nam pomóc. Poszedł do lasu i nagadał zawczasu. Zanim zbyt daleko impreza młodzieży. Nie zaszła i nie odbiła się czkawką. Jak kawałek nieświeżego ciasta. Koledzy mamrotali pod nosem ale bazę odpuścili. Zostaliśmy sami i się dalej bawiliśmy. Tak minęły dwa kolejne dni. Beztrosko. Radośnie. Aż trzeciego dnia patrzymy i widzimy na sośnie. Na świerku. Wszędzie porozrzucane deski i kije. Fragmenty bazy. Kto był takim zbirem. Kto nie chciał, abyśmy się dobrze bawili. Kto zepsuł naszą pracę. I zmarnował kawał chwili. Kawał czasu, który uciekł z lasu. Który był ale dowiedział się zawczasu. Że impreza nie łączy się z dzieciaków zabawą. Że impreza jest bez hamulców sprawą. Teraz wiemy, że piwo szkodzi. I szydzenie z innych. Wyrządzanie krzywdy nie jest dla niewinnych. Zalani łzami. Postanowiliśmy jednak. Że bazę odbudujemy. W sercach. I się nią staniemy.

Obudziłem się. A wraz ze mną wstała nadzieja na lepszy dzień. W którym nie dojdzie do słowa cień. Piszę więc list do Ciebie. Wierząc, że ominie Cię zawód co kąpie się w biedzie. Że dobrze żyjesz i korzystasz z uroków. Łapiesz chwile i trzymasz je z dala od leśnych potoków. Żeby się nie połamały. Żeby się nie zgubiły. Żeby sobie krzywdy nie zrobiły.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **28 odpowiedź Dreyfusa**

Każdy z nas musi udowodnić, że kocha  
Ojca, matkę, żonę, dzieci, a jak jest to i macocha

Życie to test z miłości  
Która rośnie na złość złości

Życie to test jest z prawdy  
Co wypływa na wierzch zawsze

Nie myśl, że Ty życiem dyrygujesz  
Że sam to życie na kolanie prostujesz

Życie polega na tym że kolega  
Przyznaje się a nie bawi w zbiega

Co twierdzi, że niczego złego nie zrobił  
Co myśli, że sam siebie na śpiąco pobił

Nie trzeba było tyle pić  
Nie trzeba było tak śnić

A zrozumiałbyś że życie to nie ogół  
Życie to szczegół i pielęgnowanie

Tego co na przeszkodzie Ci czasem stanie  
A nie od tego się odwracanie

Nie obrażanie

I mówienie, że kłamie

Jak kłamie, niech kłamie, jego to sprawa  
Życie to ciągła w góry wyprawa

Wspinanie się i niebezpieczne urwiska  
Nie zapomnij daty urodzenia i nazwiska

Nie zapomnij kim jesteś i będziesz  
Skąd się wzięłeś i w którym siedzisz rządzie

Jeden Bóg patrzy na jednego syna  
Ty nim jesteś i chwila jest jedyna

Nigdy nie będzie piękniej  
Nigdy nie będzie lepiej

Na lód nie wychodź bez tyżew  
Co je kupisz w sklepie

W którym nie wystawiają rachunków  
Nie każą słono płacić

Wolą uśmiech zobaczyć  
Wolą zyskać człowieka, niż wrak stracić

Ktoś powiedział mi kiedyś pewną historię  
Że prawdziwych przyjaciół poznaje się na wojnie

Ja na wojnie nie byłem  
Wojny nie widziałem

Prawdziwą przyjaźń bez wojny poznałem  
I się z nią kolegowałem

**29 list**

**26 grudnia, 6 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Strach szkołą życia. Czy tak musi być. Czy strach musi być naszą niańką. Czy pijemy go z mlekiem matki. Czy za strachem chowają się zagadki. W szkole straszą. Nie nauczysz się, dostaniesz słabą ocenę. Nie odrobisz lekcji, nie przejdiesz do następnej klasy. Prawo straszy, nie łam mnie, bo pójdziesz za kratki. Za kratkami, mówią, zachowuj się, bo trafisz do karceru. Na wolności mówią spłacaj kredyt, bo zabierzemy Ci mieszkanie. Żona mówi, zarabiaj pieniądze, bo Cię zostawię. Ksiądz mówi, wierz w Boga, bo skończysz w piekle. Czy to tak musi być, że żyjemy ze strachem pod jednym dachem. Czy to tak świat jest urządony, że strach zbiera swoje plony. Codziennie więcej. Codziennie nowe. Po co mu one. Oddaj choć połowę. Oddaj nam choć trochę. Pokaż co schowałeś. Co dla siebie zostawiłeś. A co znów sprzedałeś. Na czym się strachu dorobiłeś. A kiedy przeliczyłeś. Co wtedy myślałeś. A z czego kpiłeś. Strach przemawia długo. Wiele ma do powiedzenia. Opowiada, że współpracował z wieloma. I wiele miał do stracenia. Jednak ludzie sami pragnęli. Sami się starali. By najlepszego przyjaciela w strachu właśnie mieli. By strach nimi rządził. Zmuszał ich do pracy. Do wysiłku i kolejnego posiłku. Strach to kolektyw z zazdrością i złością. Mówią jednym głosem, który kończy się pogłosem. Śpiewają jedną piosenkę. Zadowolają się wdziękiem. Piękniej niewiasty. Co ubrała ubiór ciasny. By się podobać, by podkreślić figurę. Człowiek ma jedną, zdejmowaną skórę. Ściąga kiedy potrzeba. Zakłada na specjalne okazje. Skóra to nie chmura. Nie rozpuszcza się i nie znika. Nawet gdy zamkniesz ją do składzika. Ona tam będzie. Czekala i miała. Zawsze będzie Cię prosić. Może byś dziś mnie ubrała. Może pokażesz się światu. Nie w zwiędłym już kwiatu, ale w świeżym bukietcie, zerwanym rankiem na łące. Ubierz swoją skórę i poczuj kwiaty pachnące. Łąka symbolizuje trudy życia codziennego. Lub kogoś życiem styranego. Co nawet nie wie że daje. Niczym się nie przejmuje. Myśli tylko o sobie. I zmęczenie się w nim kotłuje. Gdy nie masz już siły. Gdy nie chce się Ci nic. Idź na adorację Najświętszego Sakramentu. Nie musisz nic pić. Nie musisz nic jeść. Tam nakarmią Ciebie. Chlebem i winem. Co się zmieni w Ciebie. W chlebie siebie zobaczysz. Winem się napoisz. Co tak stoisz. Klękaj. Czego jeszcze się boisz.

Lucjan mówi, że się zmieniłem od kiedy zacząłem chodzić do kościoła. Czy do więziennej kaplicy, dokładnie mówiąc. Podobno jestem spokojniejszy. Częściej się śmieje. I trudno mnie wyprowadzić z równowagi. Może coś w tym jest. Tylko zgaga wie co doprowadza do zgagi. Inni się domyślają. Inni zauważają. Ale zazwyczaj nie kochają, a dużo o miłości do powiedzenia mają.

Na obiad pierogi z mięsem. Z okazji święta po dwa więcej. O dwa. Rzecz się ma. Tak, że poczta. Myślała że najważniejsza. Że konkurencji nie ma. Więc w problemy się uwikłała. I sama narozrabiła. Nie rozumie jak się to stało. Nie wie dlaczego tak się rozwiało. I ją przewiało. Teraz leży sama z okładem. Rozgrzewającym. Na 'wiem', kojącym.

Sen miałem przedziwny. Każdy jest dziwny, ale ten miał przytup jak należy. Byłem bożyszczem młodzieży. Brałem udział w talk-show. W programie telewizyjnym na żywo. Rozmowy. Na każdy temat. O tytule Każdy temat, to dylemat. Prowadzącym był nie kto inny, jak sam Elias. Ja byłem gościem. I zaczynamy. Elias pyta jakie mam plany. Ja na to, że chciałbym zostać sobą. Albo inaczej. Jezusa na ziemi ozdobą. A ja pytam Eliasza, jak to jest że ciągle wraca. Co jakiś czas się objawia. W kimś innym. W kimś nowym. Elias mówi, że zawsze gotowym. Jest ten w którym przychodzi. Nie broni się a prosi. Więc się doprosi. Nikt nie rodzi się Eliaszem z urzędu. Nie dostaniesz na to papieru. Trzeba wierzyć i prosić Jezusa. On przydziałami rozdziela. Elias wygadał się i zakończył kolejnym pytaniem. Ciekawe, czy znasz odpowiedź na nie. Dlaczego



Kościół wspiera wojny na ziemi. Mówię, że nie wiem. Może nie da się inaczej. Że bronić się trzeba. Albo pacyfikować tych którzy dla zła pracują. Zamieszanie na świecie budują. Są ludzie, przez których przemawia zło. Doceń to, że ma kto bronić dobro. Trzeba się cieszyć, że nie trzeba grzeszyć. Że każdy ma wolną wolę. Choć niektórzy wybierają swawolę. Ja na to pytam Eliasza, dlaczego nic nie mówił o kobietach. Czy miał żonę. Czy miał swoją cielesną miłość. Eliasz na to że gardzący ciałem nie szuka uciech ciała. Że ta chciała a inna płakała a żadna nie dostała. I kolejne pytanie Eliasza. Dlaczego Bóg jest niszowy. Dla wybranych. Mało kto chce być godny nazywania się dzieckiem Bożym. Jak to możliwe. Lata temu Bóg był dla ludzi najważniejszy. Teraz przekonuje się o jego braku. O pustce, która zawładnęła światem. Ja na to odpowiadam. Pustka nigdy nie zawładnęła światem. To zło się rozpanoszyło i przekonuje ludzi, że jest dobre. Zło dla dobra ludzkości. Aż do połamania kości. Jezus łamał chleb i się nim dzielił. Szatan łamie kości bo się tu ośmielił. Obwołać się królem i panem na włościach. Co trzeba mu się kłaniać. A mnie, jak to słyszę, łamie w kościach. Ostatnie pytanie. Mówi Eliasz. Czy na coś liczysz. Za służbę Panu. Co dostaniesz. Co Ci skapnie. Czy wiesz. A ja na to, że mało mnie to obchodzi. Że zarobki. Jednych nagrodzi. A innych w długi wpędzi. A ja się brzydę jakichkolwiek pieniędzy. Chwała mi niepotrzebna. Sława jest mi zbędna. Ważne, żeby robić swoje. Dobrego podboje. Zmieniają ich na swoje. Co je moje, to je Twoje. Powiedział Bóg. Na rozradowanie moje. I pytam. A Tobie kto Eliaszu drogi płaci. A Eliasz na to. Ci, którzy płacą za abonament. Radiowo-telewizyjny. Ale prawie wszyscy się migają. Więc mam jeszcze zawód inny. Robię w wykończeniówce. Trochę szpachluję. Kładę karton-gipsy. Idzie na tym zarobić. Choć wszyscy piją. A w telewizji o oglądalność się biją. Na jedno wychodzi. Jedna taka prawda. Że świat jest podzielony. Jeden ketchup, drugi musztarda. Woli i przekonuje. Że drugie nie rokuje.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

## **29 odpowiedź Dreyfusa**

Jeden Bóg jedno życie  
Jeden strach, co towarzyszy należycie

Życie uprzykrza i ciągle się stara  
Bać się o swojego Jaguara

Bać się o willę z basenem  
I o to kto co ukradnie

Jeden maluje bohomazy  
Drugi maluje całkiem ładnie

A trzeci nie rozumie  
Po co te obrazy

Mówi, że ze sztuki  
Najbardziej smakują mu zrazy

Radio, telewizja  
Tam kariery robią

Ci którym zależy na strachu  
I się zamykają w gmachu

Myślą jak strach wypromować  
Jak strach czegoś nauczyć

Zwiększyć jego zasięgi  
Na biedzie go utuczyć

Bo strach boi się wszystkiego  
A szczególnie siebie samego

Dlatego nie patrzy do lustra  
Nie wymaluje się jak bóstwa

Chodzi ze spuszczoną głową  
I straszy wszystkich i siebie

Za namową  
Poszedł raz na operację plastyczną

Żeby poprawili mu nos  
I wadę mimiczną

A skończyło się na tym  
Że gorzej zrobili

I się sami  
Strachu wystraszyli

Ale kazali zapłacić  
Stracha przeraził rachunek

Myślał, że dla dobra ludzkości  
Darmowy ten poczęstunek

Skalpelem co dumnie rządzi ręką  
I kieruje strachu męką

Po męce, po strachu  
Nic się nie udało

Strach straszy jak straszyl  
Nic złego się nie stało

Tylko pytanie dla kogo strach ten nasz robi  
Dla złego, czy w dobro się w końcu ozdobi

Zapytałem strach, choć stracha strasznie miałem  
Oto co od stracha w końcu usłyszałem

Jestem freelancerem. Robię dla siebie samego  
Przed nikim się nie spowiadam, i nie ma w tym nic złego

Poza tym, że nikt mi nie płaci  
Nie mam więc dochodu

Bez ubezpieczenia, na bezrobociu  
Straszę brakiem przychodu.

**30 list**

**10 stycznia, 7 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Niektórzy łamią przepisy drogowe. A przynajmniej się do tego przyznają. Reszta także je łamie. Ale się nie przyznaje. Do tego. Bo nie wypada. Wolą uchodzić za porządnych. Wolą. Myślą, że lepiej wyglądają w dobrym świetle. Złe światło nie podkreśla makijażu. I nowej maski. Z galerii. Masek i rozpusty. W biały dzień. Zakupili i zamienili. Teraz w nowej chodzą i zastanawiają się, czy widać, że z wyprzedaży. A nawet. Jeśli tak. To i tak przepłacili. Przynajmniej w ich mniemaniu. Przynajmniej w ich doznaniu. Trzeba więcej i częściej. Trzeba ciężiej pracować. Aby na nowe maski zapracować. Aby stać człowieka było. Zanim uczciwość wymyśliło. Żeby żyć wygodnie. Za zasłoną. Karygodnie. Jest bez maski. To jak jazda bez hamulców. To jak nie udawanie w telewizji. Niby ktoś słyszał, że się da. Ale jeszcze nikt nie spróbował. Boją się, że nie wyjdzie. Boją się, że się pokaleczą. Że ludzie zobaczą. I że się ludzie zlecą. Że będzie afera. Że będzie teatr dla konesera. Jak w stolicy teatry. Nie nagonisz ludzi, jak nie ma gołego. Nie nakłonisz jak coś złego nie podpowiada aktorom. Nie przekonasz, że warto, śmiać się w oczy stworom. Co żywią się Twoimi emocjami. Co żywią się Tobą samym. Wszystko za Twoją zgodą.

Nazywasz to życie swobodą. A jest to droga donikąd. A prowadzi ona znikąd. Czyli błądzenie we mgle. Czyli pytasz znów się. Ile jeszcze musisz przeczytać książek. Ile mądrych filmów obejrzeć. Żeby stać się elitą. I w intelekt zmęźnieć. I stać się jak tamci. Mądrzy z domu pomarańczy. Co strzelają do siebie. Bo taką mają tradycję. Bo mówią, że życie. Biorą za powtarzającą się fikcję. Nie ma co się tak głowić. Nad sensem i celem życiowym. Nadaj go sobie sam. Jak musisz. Lub w prawdę uwierz. Ona Cię poprowadzi. Ona Ciebie nie zdradzi. Nie wyznaczy Ci celu. Każe Ci siedzieć w fotelu i patrzeć się na nią bez okularów. Dotykać i mówić półsłówka. O jedno słowo za dużo. I zacznie ją boleć główka. Dla niej żyć to wyzwanie. Dla Boga to jest staranie. A gdy wołasz, Jezu. Masz go na zawołanie. Mówię to z doświadczenia. Mówię, to ze słyszenia. Co go sam usłyszałem. Jak zajęte ręce miałem. Mówić to jedno. Słuchać to drugie. Jedno drugiemu w nosie dłubie. Jedno drugiego nie lubi. Musisz wyprawić im ślub z weselem. I ich rozweselić. Musisz pokazać, że Ci na nich zależy. A nie zostawiasz na pastwę żołnierzy. Musisz zrozumieć ich racje. A nie liczyć na tanią atrakcję. Musisz zrozumieć co potem. Że potem jest dzisiaj kłopotem. Musisz uwierzyć, że warto wymienić się otwartą kartą. I w takie karty grać. Zanim życie powie, w twoje mać. Każe Ci stać i spowiadać się, dlaczego musi pracować. Znowu Twoje brudy. Złudy to nie brudy. Mówisz, że światło tylko się tak odbija. Że widzisz brudy a to drugi koniec kija.

Mój adwokat powiedział mi, że zawnioskował o zwolnienie warunkowe, za dobre sprawowanie. To Ci dopiero. Pod łóżkiem się chowanie. Mnie tam wszystko jedno. Co będzie to będzie. Nie muszę zjeść lodu, żeby zabolaty mnie zęby.

Na obiad żeberka wieprzowe. Duszone. Lucjan pyta, kto ma tyle siły, żeby świnię udusić. A mnie się wydaje, że życie na skraju zachęca do życia na haju. A świnka nawet nie wiedziała kiedy się przewróciła. Przecież stała. Tak się zastanawiam, dlaczego ludzkich żeberek się nie jada. Tyle mięsa się zakopuje i gnije. Ludzkiego. Zamiast użyć i walczyć z głodem na świecie. Zamiast ugotować zupę z ręki. Albo stopę na patyku. Na ognisku. Jak w ogniku. Wiem, wiem. To nieludzkie. Tylko dlaczego nieludzki człowiek ma mi mówić co jest ludzkie. A co sprośne. Bywa nieznośne. Ludzie smakują najlepiej na wiosnę.

Rozmowa z Lucjanem o żeberkach była żartem. Tak jak żartem był mój sen. Bo traktował o kabarecie. Byłem członkiem kabaretu 'O krok od śmierci' i występowaliśmy na scenie. W teatrze jakimś, czy innej melinie. I opowiadamy. Jedzie samochodem śmierć z życiem. Autostradą. I rozmawiają. Śmierć mówi. Zabiłam dziś w nocy 9 osób w miejscu z którego wracamy. A życie na to odpowiada: ja wydałam na świat 9 osób w miejscu z którego wracamy. Śmierć na to: to po co była nasza praca. Mogliśmy zostawić jak było. Jak jest. Rachunek by się zgadzał. Życie na to: ale wtedy nikt by nas nie szanował. Nikt by nas nie doceniał. A bez szacunku do życia i śmierci nie wiesz. Ani, że żyjesz. Ani, że umierasz.

Jedna osoba klaskała. Anioł. W pierwszym rzędzie. Nawet wstał. Cała sala cicho. Nikt nie rozumie. A anioł stoi i się cieszy. Takie czasy. Takie życie kabareciarza.

Drugi skecz. Woda z ogniem siłują się na rękę. Raz woda przechyla się w kierunku zwycięstwa. Raz ogień wydaje się być górą. I tak mija 10 minut. 20. 30. I dalej nie ma rozwiązania. Nie widać zwycięscy. Po pewnym czasie okazało się, że woda wyparowała a ogień się wypalił. I nie miał kto odebrać nagrody. Tyle swobody a nie ma kto iść na lody. Anioł się popłakał ze śmiechu. Tak mu się podobało. A ludzie patrzyli. I po chwili pytali, czy mogą dostać zwrot pieniędzy za bilety. Bo kabaret był na poziomie klozetu. Podobno. Ja byłem aktorem, więc występowałem bez biletu.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **30 odpowiedź Dreyfusa**

Zasady są po to aby je łamać  
Czy po to żeby kłamać

Że się ich nie łamie  
Że się nie odważy

Jeden dużo gada  
Drugi żeberka smaży

Trzeci cicho się modli  
Czwarty otula się żalem

Kto komu dogadza  
A kto stoi nad przepaści skrajem

Wiele kiedyś myślałem  
Teraz myślę niewiele

Wiele kiedyś chciałem  
Teraz zawierzam się w Kościele

Mówiłem bez sensu  
Pijany

Teraz jestem na Ty z sensem  
Roześmiany

Wiele lat mi zajęło  
Zrozumienie kim sam jestem

Wiele lat mi zajmie  
Medytacja nad Jezusa gestem

Są rzeczy, które warto poznać  
I są rzeczy niepoznane

Których lepiej nie tykać  
Bo nie powinny być znane

Więc nie staraj się pojąć  
Co, jak i dlaczego

Nie wszystko jest dla człowieka  
Wiele niszczy jego

Zdrowy rozsądek  
I życia porządek

Wiele mówi, że bałagan jest w Kościele  
Ja uważam, że widzę co niedziele

Prawdziwą stroną miłości oddanej  
Która nie chce być na czworo, składanej

W ofierze oddanej  
Za lepsze życie

Nie nasze  
Przepicie

Za lepszy świat  
Miłości nie zabijaj. Miłość to nasz Brat

Miłość to jego myśli  
Jedno twórcze słowo

Co stworzyło potok  
I strumień dla zrozumień

Co sprawia że słodka rzeka  
Do słonego oceanu wpada

Napełnia ocean łaską  
Łaska w soli przepada

Ale nie do końca

Jako podwodne rzeki żyje

Łaska Boża jest wieczna  
Nawet w soli przeżyje

**31 list**

**30 stycznia, 7 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Do kubka możesz wlać wszystko. Zalać wrzątkiem kawę, lub herbatę. Wlać do kubka zimne mleko. Lub napić się z kubka wody sodowej. Kubkowi jest wszystko jedno. Spełnia swoje zadanie. Spełnia swoje powołanie. Kubek jest dumny z bycia kubkiem. Tylko wtedy. Jak się rozbije. Roztrzaska na milion kawałeczków. Wtedy duma z niego ulatuje. Wzbija się i dziękuje. Za wspólne chwile. Za czasy dobre i kiepskie. Za napoje smaczne i mniej. Kubek pamięta. Nawet po rozbiciu jak dobrze się bawił. Jak dobrze trawił. To co go spotykało. To co spotkać go miało. Taki kubek to skarb. Taki kubek jest wiele wart. Warto doceniać chwile. Warto gdy jest milej. Gdy kubki się do siebie uśmiechają. I jedne z drugimi się stukają. Nie spotkałem kubka, który by płakał. Nie spotkałem kubka, który by skakał. Nie ważne jaki humor. Dobry, czy do kitu. Kubek jest i pozostanie. Zadowolony do sufitu. Z którym nigdy nie będzie miał niczego wspólnego. Kubek zna sufit tylko z opowiadania. Nigdy tam nie był i nic nie pomogą starania. Kubek lubi podróże. Duże i małe. Z jednego pokoju do drugiego. Z kuchni do gościnnego. Kubek lubi gotować. Zupkę chińską może Ci zrobić. Albo barszcz staropolski. Na wysiłek się zdobyć. I powiedzieć kurze oddaj swoje życie. Wywar z kury jest niezbędnym na kubka przeżycie. Żeby ciągle nosić. W sobie wszystkie płyny. I dzielić się wnętrzem. Całkiem bez przyczyny. Kubków jest wiele. Kubkami ustaty jest świat. Jeśli nie jesteś kubkiem. Kubka nie jesteś też wart. Jeśli nie rozumiesz poświęcenia kubka. Jeśli nie rozumiesz zatracenia jego. To zastanów się nad sobą i zapytaj się po co żyjesz kolego. Zamieszaj herbatę. Pochuchaj na kawę. Obejmij bezpiecznie kubek. Daj mu swoją strawę. Daj mu swoje życie. Powiedz, to wystarczy. I zamień się z nim życiem.

Dziś Lucjan zaciągnął mnie na telewizję. Czasami się złamię. Żeby sprawić mu przyjemność. Żeby miał to poczucie, że robimy coś razem. Były wybory Miss. Najpiękniejszej kobiety. To jak darmowe winiety. Możesz jechać bez zwalniania. Możesz błagać, bez błagania. Nie rozumiem tego szczerze. Dlaczego ładne ciało jest takie ważne. Nie pojmuje dla kogo i po co. Dlaczego jeden ma mieć łatwiej, bo się ładnie umalował. Bo podciągnął sobie skórę. Na policzkach, czy gdzieś indziej. Dlaczego ważne jest tylko opakowanie. O zawartość już nikt nie pyta. Dlaczego

piękna ma być tylko kobita. A facet to wszystko jedno. Byleby zarabiał. Byleby przyniósł do domu pieniądze. Na kolejną operację twarzy. Lifting sam się nie robi. Lifting liftingiem się nazywa. Żeby przypominać jak wiele Ci brakuje. I że ciągle od nowa trzeba zaczynać.

Byłem dziś w kantynie. Kupiłem maszynki do golenia i czekoladę 72% kakao. Zjedliśmy za pół z Luckiem. Ponarząkał trochę, że woli mleczne. Zwykle, jak on to nazywa. Czekolada nie lubi, jak ją ktoś przeżywa.

Na obiad była kiełbasa podsmażana z cebulką. Z ziemniaczkami i szparagami. Lucek pyta co to za farfocle takie zielone. Mówię, że szparagi. On, że większego dziwactwa na talerzu nie widział. Że te szparagi pewnie wyrastają z krewetek. Albo są z nimi spokrewnione. Co to za jedzenie. Co to za karmienie. Że żołądek zastanawia się o swoje własne mienie. Każdy ma jakieś nawyki żywieniowe. Każdy się na czymś wychował. Jeden z nimi żyje w zgodzie. Inny się z nimi kłóci. A trzeci je do kieszeni schował.

Pytasz co mi się śniło. Nie muszę słyszeć pytania, aby na nie odpowiedzieć. Znów byłem dzieckiem. Ale nie w Polsce. Mieszkałem na wsi. W wielodzietnej rodzinie w dalekim, ciepłym kraju. Na zwrotniku. Rodzina była tak biedna, że nie mieli pieniędzy by nas wszystkich wykarmić. Dlatego postanowili sprzedać. Mnie i siostrę. Rok młodsza ode mnie. Płakaliśmy. Ale nie zmieniło to decyzji rodziców. Zawieźli nas na targ do miasta. Nigdy nie widziałem miasta. I tylu ludzi. Zrobili na mnie wielkie wrażenie. Przytłaczające doświadczenie. Nie szukali długo kupców. Po chwili znalazł się ktoś chętny na dziewczynkę. Myślałem, że ktoś kupi nas oboje. I nie rozstanę się z siostrą. Ale się myliłem. Wymachiwała rękami i krzyczała, jak ją zabierali. Ale to nic nie dało. Musiała pogodzić się z nową rolą. Sprzątaczką w bogatym domu. Dwie godziny później ktoś mną się zainteresował. Popytał. Potargował się i kupił. Trafiłem źle. Gorzej się chyba nie dało. Miałem żebrać. Było nas dziewięciu. Chodziliśmy po mieście w obdartych łachmanach, bez butów. I zaczepialiśmy ludzi. Najlepiej turystów. Żebraliśmy. A to co uzebraliśmy oddawaliśmy naszym właścicielom. Biznesmenom od siedmiu boleści. Kapitalizm na całego. W wersji biedny kraj. W wersji biedny świat, nie znający definicji wad. Zaczepił mnie raz pewien misjonarz. Z długą brodą. Nie dał pieniędzy. Ale mnie nakarmił. Zapłacił za obiad. Wypytał o wszystko. Powiedziałem prawdę. Więc zaproponował ucieczkę. Pracował na prowincji. Dość daleko. Tam mnie nikt nie znajdzie. Nie dosięgnie mnie kara od moich właścicieli, mówi. Uwierzyłem. Zabrał mnie na samochód. Na pakę. I pojechaliśmy. Kilka godzin jazdy i jesteśmy. Niewielka miejscina. Ale jest studnia z czystą wodą. Szkoła i kościół. Nie byłem nigdy wcześniej w kościele. Misjonarz mi wytłumaczył czym jest Bóg. Następnego dnia miałem pojawić się w szkole. W nocy miałem sen. Bóg do mnie przemówił. Przedstawił się i powiedział, że czeka na takich dzielnych śmiałków jak ja. Co nie boją się życia. Nowych wyzwań. Poznawania ludzi i ich kochania. I Bóg zapytał: czy kochasz. Czy tylko wiesz, że trzeba kochać. A ja na to, że wszyscy, których kochałem mnie wykorzystywali. Musiałem ciężko pracować a głodowałem. Na to Bóg rzekł: Zostań ze mną. A nigdy nie braknie Ci chleba. Już nigdy nie będziesz wykorzystany, głodny, ani nieubrany. Będziesz roześmiany. Zacząłem się głośno śmiać. Cieszyć. Podskakiwać. Śmiałem się z radości. Aż do przesady. I obudziłem się ze snu. Dziecka i swojego. Mój sen się skończył. Ale obudziłem się śmiejąc. Lucek pyta z czego się śmieję. A ja na to, bo mam wielką nadzieję.

Rozmarzony,



### **31 odpowiedź Dreyfusa**

Jesteś jak samica komara  
Która żywi się krwią

Czy jak samiec  
Szanujący wolę twą

By nie być atakowanym  
By nie być napastowanym

Przez owady i inne gryzonie  
Od których nawet dobry pływak tonie

Po których zostają bolące rany  
Stan ten jest każdemu znany

Szczególnie tym których krew im smakuje  
Czy krew może być słodka, główkuje

Czym się jedna krew różni od drugiej  
Czy komary wybrzydzą

Czy biorą jak leci  
Kłują i się dobrze mają

Jeśli ich nie zabijesz  
W samoobronie

Miałem kiedyś kolegę  
Co mówił że całe życie tonie

Że nie potrafi się utrzymać na powierzchni  
Że nie rozumie co znaczy wierzchni

Tylko ciągle brakuje mu  
Tlenu i genu

Tylko ciągle przygląda się  
Pechowi swojemu

Kiedyś nawet kupił mu czekoladę  
Pech uznał to za akt agresji i rozpoczął nową zwadę

Nie daj się wyprowadzić z równowagi  
Powtarzam koledze

Nie kłóć się jak Kargul z Pawlakiem  
O nie ich miedzę

Bo wszystko jest Boga  
Cała ziemia na ziemi

Bóg daje i odbiera  
I nic tego nie zmienia

Nie staraj się więc  
Być większy niż On

Nie tłumacz, to zabawa  
Bo to zwykły zgon

Zabiłeś sam siebie  
Lub siebie zabiło Ciebie

I nie było już w stanie  
Sprawdzić jak jest w niebie

Twój anioł stróż  
Zapali świeczkę Twojej duszy

I zapyta, dlaczego ten Twój chleb  
Tak się strasznie kruszy

Odpowiesz, że nie wiesz  
Że nawet chleb sam za siebie odpowiada

Chleb odpowiedział  
To potwarz. Tak się zaczyna zwada.

Dajcie mi się kruszyć

Będę się kruszył po swojemu

Nie zakazujcie mi być sobą  
Chcę się spełniać samemu

**32 list**

**12 luty, 7 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Nie ma znaczenia jaki wykonujesz zawód. Możesz być strażakiem, policjantem, pielęgniarką, czy maklerem. To bez znaczenia. Ważne, czy jesteś artystą w tym co robisz. Ważne, czy jesteś artystą miłości. Miłość potrzebuje prawdziwego twórcy. Bijącego serca. Które maluje. Kolorami miłości. Odcieniami zrozumienia. A zamiast werniksu nakłada współczucie. Artysta miłości tworzy życie. Sam staje się życiem. W miłości. W Bogu. W wolności. Nie ma tak, że miłość Cię zniewala. Miłość Cię wyzwala. Miłość dodaje Ci skrzydeł. Miłość domaga się powideł. Smaku. Kubka wypełnionego smakiem. A z wiekiem także i makiem. Miłość domaga się życia wiecznego. Tak przez nią wyczekiwanego. Artysta musi być w miłości oryginalny. To nie ma być zrzynanie. Praca odtwórcza. To ma być staranie. Tworzenie. Życie a nie istnienie. Miłość przychodzi z radością. A za nimi biegnie ufność. Zaufanie. Nie tylko Bogu. Ale i człowiekowi. Każdemu. Nawet jeśli na zaufanie nie zasłużył. To Ty zasłużyłeś żeby ufać. To Ty zasłużyłeś żeby się cieszyć. Radować. Tworzeniem. I przygnębienie schować. Nie dać mu wyjść z ukrycia. To pierwsza zasada bycia. Artysta nie patrzy na innych. Chociaż lubi jak komuś się dzieło podoba. Artysta nie stara się być inny. Szczerość płynie jak woda. Artysta nie może być ograniczony. Nie ważne, winny czy niewinny. Czego. Dobrego. Nie mam nic z tego. I prawdziwy artysta nie ma nic więcej. Niż tylko miłość. Co złości jest na złość. Co w starości widzi młodość. Dla której śmierć przynosi życie. Kochaj i żyj należycie. Dla Boga. Dla siebie. Zrozum gdzie prawda w potrzebie. W przyciąganiu do prawdy. W koloryzowaniu. Lub Jego braku. W szkicowaniu. Bez, lub z powodu smaku. Ktoś się zastanowił. Ktoś wielką rybę złowił. Artysta namalował. Rybę w kieszeni schował. Gdzie jest ryba. Zastanawiają się wszyscy. A ryba nie mówi. Ryba miga. Że została w kieszeni. Że namalowana w przestrzeni. Że się przestrzenią stała. I stoi, choć całe życie leżała.

Miłość bez pokory nie znajdzie artysty. Który zna te twory. Który podoła wyzwaniu. I miłość umieści na nagraniu. Bo miłość niekoniecznie musi być malowana. Bo miłość, pokornie może być wyśpiewana. Lub w wiersz zamieniona. Co go czyta osoba wyczekiwana. Widz. Słuchacz. Krytyk. Puchacz. Co nocą żyje i myszy łapie. Karmi się brakiem współczucia. Karmi się

ciemnością uczucia. Krytyk krytykuje nawet samego siebie. A może przede wszystkim. Takiego nie znajdziesz w niebie. A czytelnicy. Słuchacze. Widzowie. Mówią, chyba że ktoś przed nimi powie. Co powiedzieć trzeba. Jak skomentować twórcze dzieło. W które miłość zakłęto. Lub zakłęto. Zależy kto pyta. Zależy kto tworzy. Jeden przeklina inny zaklina. A Ty twierdzisz, że to moja wina, że tylu artystów miłości jest niedocenionych. Tylu artystów miłości jest nieodgadnionych. Mało kto ich rozumie. Mało kto im przyklaskuje. Prawdziwy artysta umiera samotnie. Choć może powinno być odwrotnie. Ale według sprawiedliwości ziemskiej. Bo według Boskiej wszystko się zgadza. Samotność wypada. Artyście miłości. Z dala od stada. Z dala od złości. Z dala od zawiści. Ostatnie winogrono na kiści. A mróz już łapie. Zmienia się w rodzinę. Gdy ktoś po śniegu człapie.

Lucek mi opowiadał, że wychowywał go dziadek. Że był ulubieńcem. Rodzinnym szaleńcem. Wszędzie go było pełno. Nos wszędzie swój wsadzał. A później przestał. I sam z sobą się o rację zakładał. Są tacy którzy z wiekiem się zmieniają. Są też tacy, co ślepyimi pozostają.

Na obiad wątróbka z cebulką. I chlebek do tego. Chrupiący. Z przypieczoną skórką. Tylko dla widzających. Tylko dla chcących. Co nie boją się co będzie. Co nie zastanawiają się, czy znajdzie się dla nich kiedyś miejsce na grzędzie.

Sen. Podobny do tego, który już kiedyś miałem. Całkiem podobny, do tego który już opowiadałem. Byłem członkiem kabaretu 'O krok od śmierci'. Kolejny występ. Kolejne miasto. Inna buda. Inni ludzie. Inny świat. Oczekiwania studzę. Kabaret jednak nie zna litości. Chociaż nie czeka na oklaski od gości. Młodość i starość. Jadą razem metrem. Patrzą na siebie. Zerkają. Myślą że drugie tego nie widzi. Obserwują i oceniają. Taki i owaki. Młodości starość się staro kojarzy. Ciuchy jakieś niemodne. Słowa niewygodne. Nie chcę być stary. Mówi sam do siebie. Nie chcę być młody. Mówi starość szeptem. Ubranie krzykliwe. Wierci się. Usiedzieć nie może. Ciało niecierpliwe. Dusze niezjadliwe. Dusze co o spokój wołają. Młode. Co chodzą całą zgrają. Młodość wysiadła na przystanku, dorastanie. Przystanek później wysiadła starość. Na przystanku, zapomnianie. Gdy starość wysiadła, młodość już tam była. Dogoniła ją i metro przegoniła. Pyta starość młodości jak to zrobiła. A młodość na to, że się w starość zamieniła. Że się zestarzała. Że się zgryźliwa zrobiła. Ale to działa w jedną stronę. Starość w młodość się nie zamieniła. Chociaż mówi. Na pomysł wpadła. Co by było jakbym dogadała się z czasem. Żeby cofnął się czasem. A czas na to z nieba przemówił. Mówiłem, mówię, będę mówił. Płynąłem, płynę, dopłynę. Do końca czasu. Dopóki nie zginę.

Drugi skecz to rozmowa pracy z lenistwem. Praca chwali się, że jest pracowita. Lenistwo chwali się, że nic nie robi. Praca mówi, że marzy o większej ilości pracy. Lenistwo mówi, że chce zostać sobą w nieskończoność. Praca przekonuje, że nie ma lepiej niż spełnić się w pracy. Lenistwo mówi, że prawdziwe lenienie się jest jedną z dziedzin sztuki. Użytkowej. Ciągłe zdrowej. Nagle podchodzi do nich, mam to gdzieś. I mam to gdzieś, mówi. Kiedyś mi zależało. I miałem romans z pracą. Wyszło z tego nieślubne dziecko. Skończyło się na alimentach. Później znowu mi zależało. I miałem romans z lenistwem. Została mi po tym choroba weneryczna. Teraz odnalazłem siebie. Jestem, mam to gdzieś, i mam gdzieś co robię. I mam gdzieś co o tym myślisz. Ty i Ty. Jeden i drugi sobie wyśniesz. Świat wart. Pracy, lub lenistwa. A świat jest wart, spadającego liścia. Żyje póki spada. Jak spadnie umiera. Zakłada związek zawodowy. I pracę, lub lenistwo popiera na premiera.

Rozmarzony,

**32 odpowiedź Dreyfusa**

Być artystą miłości  
To uciec z pod topora złości

To wiedzieć co jest ważne  
Zanim poznasz co jest odważne

Zanim zrozumiesz co duma  
Nie jeden kuma. Kum kuma.

Nie jeden człowiek  
Od człowieka ucieka

Nie jeden myśli  
Co myśli kilka spadających liści

Czy myślą to samo  
Czy każdy co innego

Czy spadanie ich cieszy  
Czy woleliby bez tego

Zestarzeć się na drzewie  
Zestarzeć się wśród rodziny

Gdzie nikt nie opada  
Gdzie nikt nie poznał kpiny

Nikt nie zrozumiał  
Że drzewo pąków nie wypuści

Dopóki stare liście nie opadną  
Staniemy się tłuści

A później jedzenie odstawimy  
Na swoim postawimy

I się w drzewo zamienimy  
Oto o czym myśli liść

To jest prawda cała  
O tym o czym myśli kiść

Aby stać się drzewem wielkim  
Aby tworzyć a nie być tworem

Czy to możliwe  
By otwór nie był otworem

Czy to możliwe  
Aby obraz stał się malarzem

Aby statek  
Stał się żeglarzem

Dla miłości nie ma  
Rzeczy niemożliwych

Miłość tworzy miłość  
Nawet z ludzi tchórzliwych

Miłość kocha siebie i innych  
Winnych i niewinnych

I chodzi do przedszkola  
Odebrać swoje dziecko

I skacze w przepaść  
Co wygląda zdradziecko

Nic nie jest pewne  
Dopóki żyjemy

Nie marz aby być drewnem  
Którym się stajemy

Warto żyć i kochać  
Warto oddychać i szlochać

Warto Boga za nogę złapać

I powiedzieć, że tylko chciałeś go podrapać

Próbować, walczyć  
To musi wystarczyć

Są tacy, którym nie wystarczyło  
I rozwodem to się skończyło

**33 list**

**25 luty, 7 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Dziś mieliśmy dzień ciszy. Ja i Lucjan. Cały dzień się nie odzywaliśmy. Do nikogo. Czasami robimy sobie takie wyciszenie. Słuchamy ciszy. Tego co ma do powiedzenia. To działa oczyszczająco. To działa kojąco. To pomaga zapomnieć. O tym co wymaga zapomnienia. To pomaga przypomnieć sobie, to co warte jest przypomnienia. Tak to już jest że hałas zagłusza. Nas samych. Sami hałasujemy i sami w tym hałasie tonimy. Tylko ja ja, moje moje. Do siebie, dla siebie. Bez potrzeby, i czasem w potrzebie. Byleby się działo. Byleby hałasowało. I życzenia spełniało. Podpisz cyrograf z diabłem. Zaprzędasz swoją duszę. A później dziw się, że świat jest pełen zmuszeń. Dowiesz się, jak bardzo brak Ci wolności. Ale nie będzie już litości. Zostanie tylko sterta kości. Po złej stronie jest zniewolenie i brak szacunku. Liczy się tylko istnienie. Niszczenie i zdeptywanie. Co jest zapowiedzią. Na nogach się ślanianie. Ale zgniata i walczy ze sobą. O pion. O to, żeby nie stanąć na swój własny ogon. Walka. Hałas. I Ja. Ten co niewiele da. Bo niewiele ma. Ale jest głośny. Jest donośny i chce. Bo myśli, że umie. Cisza woli się nie przyznawać. Nawet sama do siebie. Cisza woli się nie gniewać. Nawet sama na siebie. Cisza woli mówić wolno. Wolno gryźć to co ma w ustach. Nie ma jedzenia, bez dokładnego gryzienia. Nie ma istnienia, bez samego siebie, niesienia. Kto wyniesie, ten doniesie. A ambitny jajko zniesie. Jajecznicą na prawdziwkach. Będzie smak. I zapach grzybka. Będzie działo się na świecie. Aż napiszą w codziennej gazecie. By taki jeden, który dużo chciał. Myślał, że myślał i dużo miał. Dużo problemów i pełno rozterek. Nie jedz ze sklepu tanich kajzerek. To nie jedzenie. To trucie psa. Ten kto się struje, zrozumie o czym mowa ta. Ten kogo życie brutalnie pogryzie. Wypluje i brzuch jak w Japonii rozpruje. Lepiej szanować ciszę. Czczyć spokój. Powagę. Rozwagę i równowagę. Weź to pod uwagę. Zapamiętaj gdzie dobro człowieka leży. Jeśli go nie podniesiesz z podłogą się zmierzy. Na podłodze się zakurzy, ktoś go kopnie butem. Podnieś, wytrzymaj, ogrzej, niech nie męczy się hukami. Niech nie znosi upodlenia i na podłodze leżenia. Dobro chce być przytulone. I na zawsze podniesione. Patrz na jego jasną stronę. Nie na drugą. Bo nawet dobro ma dwie. Jedną dobrą i drugą w którą zamienia się. Gdy go kopiesz i nie szanujesz. Nie wiesz nawet kiedy a dobro rozprujesz. Bo pomylisz go ze złem. A to tylko ciemna strona dobra. To co innego. To sprawa wiarygodna. Ze złem sprawa ma się inaczej. Zło zawsze jest złe. Ma jedną stronę. Złą. I z niej cieszysz się. Cisza pomaga zrozumieć. Cisza pozwala

zobaczyć, że jasna i ciemna strona dobra, to samo mogą znaczyć. Bo chodzi o szacunek. Gdy go brakuje dobro nie idzie na posterunek. Samo sprawy bierze w swoje ręce. I podziękuje Ci raz i nigdy więcej.

Lucjan siedzi którąś godzinę z rzędu i maluje. Jakieś krzaki. Mówi, że to kopia z pamięci Kwitnącego migdałowca, van Gogha. To jedyne co dziś powiedział. Resztę dnia cicho siedział. Ma chłopak talent. Choć ja wolę klasycznie. Bardziej naturalnie. Jak zmarszczki mimiczne. Oddać rzeczywistość w najmniejszym szczególe. Oddać przeszłość. Zapakować na prezent. I podarować przyszłości. Niech się zdziwi. Przyszłość i grono zaproszonych gości.

Na obiad po dwa krokiety na głowę. Z pieczarkami. Dzielę na połowę. Aby szybciej wystygły. Aby się nie poparzył. Patrzą się na mnie jakbym sam je smażył. Kiedyś lubiłem gotować. Gotowałem dużo. Z przyjemnością i gotowością do wyzwania nowych. A wyzwania były, z tych gotowych. Na talerzu. Co podniebienie łaskocze. Kamień, nawet ciężki. Przed siebie potoczę. Nie muszę podnosić. Nie trzeba dźwigać. Wystarczy sposobem. Nie trzeba się migać.

Co do snu. To szedłem po wrzosowisku. Wielka połać ziemi. Hektary uśmiechających się do mnie roślin. I widzę. Drabinę. Żółtą. Prowadzi do nieba. Znika gdzieś wysoko w chmurach. Chwila zawahania, ale decyduję się. Idę. Wejdę. Sprawdzę co jest na końcu. Zobacze dokąd prowadzi. Więc wchodzę. Pierwszy krok i następny. Coraz wyżej i wyżej. Staram się nie patrzeć w dół. Bo już jestem wysoko. Nagle dochodzę do anioła. Stoi na drabinie i zawodzi. Pytam go co się stało. Mówi, że skręcił nogę w kostce. Mówi, że boli. Wyciągam więc 'Tiger balm' i wcieram mu w nogę. Mówię, żeby nie przesilał nogi. Oddałem mu resztę maści. I pożegnałem słowem, odpoczywaj. Idę dalej. Wspinam się w górę. Kolejny anioł stoi na drabinie. Mówi, że boi się wysokości. I nie może. Ani zejść na dół, ani wejść na górę. Ugrzązł. Pat. Ja na to, że będę go zabezpieczał. Z tyłu. Gdyby się ześlizgiwał. Gdyby spadał, to go złapię. Przekonałem anioła. Poszedł, powoli w górę. Coraz wyżej. Po chwili już nawet nie patrzył, czy jestem za nim, czy nie. Praktycznie wbiegał na kolejne stopnie. Idę dalej powoli. Byle wyżej. I widzę trzeciego anioła. Który sprzedaje gotowaną kukurydzę. Podsmażoną na maśle. Mówi, że dorabia. Karmi śmiałków, którzy wchodzą do nieba. Ja na to że nie mam pieniędzy. Anioł na to, że będzie na zeszyt. Zapisze kto i co. A oddam przy innej okazji. Jak będzie. Jest wszędzie. Wziąłem jedną kolbę. Zjadłem wychodząc wyżej. Coraz bardziej ciekawy co jest na końcu. I jest. Nareszcie. Koniec drabiny. Wychodzę a tam brama. Domyślam się, że do raj. I portier z zeszytem. Podchodzę. Witam się. Mówię, że chce zaglądnąć. Chcę zobaczyć jak tu pięknie. Jaki jest raj. Czy jak maj, czy jak grudzień. Portier prosi mnie o dowód osobisty. Szukam, ale nie mam. Zapomniałem. Akurat nie miałem. Nie ma dowodu, nie ma wejścia, powiedział portier. Miałem kartę pływacką. Zapytałem czy wystarczy. Pokręcił nosem, ale wpuścił. Otworzył drzwi. Uchylił bramę. I przechodzę. I wchodzę. Ze środka bije światło. Oślepiające. Porażające. Nigdy nie widziałem jaśniejszego. Bardziej soczystego. Przeszedłem i lecę. Nagle zacząłem spadać. Zagłębiać się w światło. Coraz szybciej. Nie czułem oporu powietrza. Ale wiedziałem, że spadam. Nagle zobaczyłem Piękno. Wszystko się zatrzymało. Cisza. I ciszą się stało. Piękno mnie poznało. I się uśmiechnęło. Odpowiedziałem uśmiechem i się obudziłem. Szczęśliwy, że spotkanie z Bogiem przeżyłem.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*



### 33 odpowiedź Dreyfusa

Cisza woli stać w kolejce  
A nie być zamknięta w niewoli

Cisza chwali się swym istnieniem  
Mówi o tym swoim milczeniem

Cisza pyta Cię o zdrowie  
Dobre słowo Ci dziś powie

Jeśli spotkasz się z nią przy winie  
Jak czas Wam szybko razem minie

Cisza lubi pogaworzyć  
Potrafi coś z niczego stworzyć

Lubić ciszę to być jej sługą  
Nie nazywaj linii długą

Nie mów także, że jest za krótka  
Długa, krótka czy malutka

Wszystko względne jest niestety  
Poza tym, że szkodzą pety

Poza tym, że szkodzi zło  
Nie pytaj go dlaczego szło

Nie pytaj dokąd się udaje  
Odwracaj się, gdy ono staje

Nie patrz mu w oczy, bo nie warto  
Płacić za zakupy kredytową kartą

Odsetki Ci naliczy  
Dodatkowe opłaty doliczy

I skończysz na długi  
W życia bocznej dziczy

Która nie dba o swoich  
Która się nie interesuje

Kto się boi, kto się stroi  
Wszystko ją stresuje

Że jest, że ludzie, że każdy coś chce od niej  
Tak jak wspinacz natrzyj magnezją swoje dłonie

Tak jak wspinacz zrób to  
Co powinno być zrobione

Pokonaj skałę  
Pokonaj dzicz

Biegaj w pojedynkę  
I kondycję ćwicz

Nikt nie rodzi się geniuszem  
Nikt nie rodzi się najedzony

Najpierw zasiej  
Abyś w końcu mógł zbierać plony

Żyj, graj, śpiewaj  
I się już nie gniewaj

**34 list**

**8 marca, 7 roku odsiadki**

Drogi Dreyfusie,

Byłem świadkiem jak na spacerunku doszło o awantury. Między kolorami. Czerwony zarzucił żółtemu, że zdradził. Żółty się nie przyznawał. Powołał zielonego na świadka. I każe mu potwierdzić. Zielony mówi, że nie wie. Że spał, czy udawał. W każdym razie sprawy sobie nie zdawał co, jak i na co. Niebieski się nie odzywał. Stał tylko i ważnego zgrywał. Miał wzrok tak jakby wiedział. Jakby rozumiał, ale maluczkim nie powiedział. Różowy mówi, chłopcy. Jak pięknie dziś wyglądacie. Nawet jak się kłóćcie. Nadal wspaniale się macie. Dołączył do

wszystkiego czarny. Czerwony powiedział, aby ten się nie wtrącał. Nie gadam z murzynem. Po uszach go trącał. Fioletowy, mówi, żeby się uspokoił. Bo Bóg ich ukarze w tej chwili. Spadnie ogień z nieba a komu to potrzeba. Liliowy poczuł już wiosnę. I śpiewa piosenki radosne. Pomarańczowy agresor, dołączył do czerwonego i skopał żółtego. Nie patrząc na niego. Brązowy mówi, że się opala. Ceglasty chce zgodę budować. Rudy trzyma się z dala. Z rudym nikt nie gada, bo mówią, że nie ma duszy. Głupota rudego po twarzy smaga. Bursztynowy nie domaga. Czeka aż ktoś go znajdzie. Miętowy go znalazł. Poczekał, aż bursztynowego ochota najdzie, żeby porozmawiać. O tym jak żółtego z opresji wyciągnąć. Mówią, że jest sposób. Linę trzeba przeciągnąć. Udowodnić doświadczalnie, że żółty nie jest żółty. Że to tylko światło odbite. Do niego nie należące. Że jest przeźroczysty. Że jest bez koloru. Oddaje co dostaje. Pokazuje jakim się staje. Otoczenie co go dostaje. W swoje ręce i ciągnie na skraje. Nadaje koloru, dodaje wigoru i udaje, że żółtym się staje. Tak zrobili i żółtego obronili. Czerwonego i pomarańczowego na dobre odgonili. Najgorsze w tym wszystkim, jest to, że i żółty uwierzył. Że nie ma koloru. I że tyle lat przeżył. W niewiedzy. Nie wiedząc, że tylko odbija. Kolory co go otaczają i ze światłem się mija. Nie zatrzymuje promieni, tylko daje dalej. Czeka, aż się coś zmieni, a czuje się malej. Maleje i maleje. W oczach swoich i świata. Świat się nim nie interesuje. I już nie ma brata. Nie ma nikogo, kto by go uratował. I przypadkiem go miętowy stratował. Bo nie zauważył. Bo sam uwierzył, że jest bez koloru. A kolor był przyczyną całego tego sporu. I kolor zakończył życie żółtego. Co już teraz opowiadają, jak źle jest bez niego. Kiedyś to było, jak był i dokazywał. Ale się skończyło, żółty po sobie pozmywał.

Dowiedziałem się, że mnie wypuszczą. Za miesiąc. Warunkowo. To Ci dopiero. Nowina, co nowe życie rozpoczyna. Historia czas zagina. A czas myśli, że to kpina. Teraz będzie biegł inaczej. Teraz będzie musiał się zmienić. Zrozumieć nową sytuację. I się w nią przemienić.

Lucjan pogratulował mi. Powiedział, że zazdrości. Mówię mu, że może wejść na moje miejsce do biblioteki. On na to, że z książkami najlepiej wychodzi na zdjęciach. Odpowiedziałem, że mam inne zdanie o rodzinie. On na to, że jak zginie, to zobaczę to na jego minie. Staram się zrozumieć. Ale patrzę. I widzę. Jak zrozumienie mnie minie. I odleciała kukułka. O pełnej godzinie. Czy pojawi się kolejna. Czy zakuka zapuka. Czy kukułka zdaje sobie sprawę, jaką ważną odgrywa rolę. Czy tak tylko z przyzwyczajenia kuka.

Na obiad paluszki rybne z kaszą bulgur i surówką ze świeżego jabłka i marchewki. Lucjan jest jakiś skwaszony. Widać, że nie ma smaku. Pytam go, czy chce się wygadać. Mówi, że nie chce się sam smagać. Że tęskni za wolnością. Ja na to, że wolności nikt nie trzyma na uwięzi. Wolność siedzi i śpiewa. Wolna na gałęzi. Sam możesz myśleć. Że jej nie ma. Że znikła. Sam sobie jesteś więzieniem w którym wolność jak nadzieja. Znikła. Ale wystarczy, że dostrzeżesz piękno. W sobie samym. I drugim człowieku. Piękno będzie Ci towarzyszem. Jezus bratem. A sam będziesz prawdy wariatem. Takim nieuleczalnym. Co dla prawdy zwariował. Co raz ją zobaczył. I już ją w sercu schował.

Sen. Tak miałem. I chętnie się nim podzielę. Byłem pomocnikiem. W jadłodajni dla ubogich. Nie w niedzielę. Dwa razy w tygodniu. Przychodziłem i pomagałem. Grochówkę na talerz ubogim nakładałem. Kroiłem. Gotowałem. Naczynia zmywałem. Robiłem co trzeba. W zamian za kromkę chleba. Za każdym razem, przychodził starszy facet. Siwy. Przygarbiony. Bez dwóch zębów. Co narzekał. Na Kościół i księży. Co jadłodajnie założyli. Żeby pomagać, na niego łożyli. A on tego nie widział. Mówił, tylko, że kobiety i pieniądze im w głowie. Że pomagają dla spokoju sumienia. Każdy mądry to wie. Ja nie wiedziałem. Ja się tylko dziwiłem. Jak dodatkową

kiełbasą się z nim dzieliłem. Zawsze się uśmiechałem. Zawsze byłem miły. Aż pewnego razu uśmiechy mi się znudziły i mówię. Że księża utrzymują Cię przy życiu. Że gdyby nie oni skończyłoby się na byciu. W zapomnieniu i w zagłodzeniu. Co się chowa w ukryciu. I czeka na dobrą okazję, aby wyjść na światło dzienne. Co chce pokazać, że razem z żółcią niezmiennie. Mieszają się i karmią. Oraz poją delikwenta. Co gryzie rękę, która go karmi. To do samobójstwa zachęta. To zachęta to zabicia duszy i jej woli życia. To próba pobudzenia ciała do szybszego gnicia. Nagadałem facetowi. Tylko się popatrzył. A następnego dnia, dzień od mszy zaczął. Widziałem jaki jest uśmiechnięty. Słowo zadziało. Z Kościoła wyszedł nietknięty. Widocznie mu się spodobało.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **34 odpowiedź Dreyfusa**

Każdy kolor ma swoje humory  
Nie wszystkie wstają rano na nieszpory

Nie wszystkie są miłe dla sąsiada  
Dlatego taka moja dla nich rada

Żeby nie dyskryminować innych  
Ze względu na kolor

Nie mówić, że się nie nadaje  
Nie mówić, że coraz gorszym się staje

Bo koloru nabiera  
I coraz bardziej się upiera

Że dobrze mu w takim, czy takim  
I kolor na twarzy rozciera

Niech robi, niech się bawi  
Niech szaleje póki ma zdrowie

Kiedyś wnukom  
O swej głupocie opowie

O tym jak wierzył tylko tym

Co w kolorze byli takim jak on

Że myślał, że liczy się budynek  
A w sercu chowa się Twój dom

Kolory gadają, kolory się zbierają  
I jedne o drugie ocierają

Czasem jako zachęta  
Czasem z niesmakiem

Patrzę na to  
I muszę obejść się smakiem

Bo ja już od dawna  
Jestem bez koloru

Bo ja dawno temu  
Wybrałem życie pełne humoru

Jestem tym co koloruje  
A nie samym kolorem

Pokoloruję też Ciebie  
I będziesz moim tworem

Jestem tym który miesza  
I kolory ustala

Jestem tym który rozgrzesza  
I kolory wypala

Mówię to żebyś zrozumiał  
Mówię to żeby było jasno

Że z marchewki  
Piecze się Boskie ciasto

Że z dodatkiem cynamonu  
Że wszystko mieszam w garze

Ty myślisz, że życie to na poważnie  
A ja żart w piecu smaże

Drogi Dreyfusie,

Zrozumiałem, że nie ma Boga bez Kościoła. Że po to Bóg założył Kościół, żeby Kościół stworzył Boga. Na ziemi. Żeby ludzie mogli Go zrozumieć. Bez Kościoła by nie zrozumieli. Bez Kościoła by nie umieli. Pogubiliby się. Nie wiedzieliby jak żyć. Kościół to nie instytucja. Ani medialny pic. Kościół to droga. Kościół wskazuje kierunek. Dla tych, którzy szukają. Dla tych, dla których jest ważny szacunek. Kościół to matka. Która karmi nas swoją piersią. Nie gryź piersi matczynej. Jaką Ci dano. Jedynej. Szanuj, jeśli chcesz być szanowany. Kochaj, jeśli chcesz być kochany. Kościół zagoi nasze rany. O ile w grzechu się nieutyłamy. Po to woda święcona. Żeby oczyścić. Po to spowiedź. Żeby nagrodzić. Nas za to, że przy Bogu trwamy. Żeby potwierdziła, że miłość tworzy nasze plany. To nie my decydujemy o tym dlaczego i jak warto żyć. To miłość nami kieruje i pozwala duszy tyć. To miłość zawiaduje i karmi każdą naszą komórkę. To ona pokazuje na niebo i pyta czy widzisz chmurkę. Co Ci przypomina. Jaki przybrała kształt. Patrzysz, zastanawiasz się i mówisz, to jak kilka małp. Które chciałyby być człowiekiem a nie mogą. Nie jest to im dane. Człowiek to bowiem coś więcej. Zobacz co jest grane. Jak do małpy Cię przyrównują i mówią, nie jesteś lepszy. Ja pokazuje im na chlewik i gromadę wieprzy. Tam Wasze miejsce. Tam, między swoimi. Jeśli jesteście, pro eko. Wymień się z nimi, przemysleniami twymi. Opowiedz co Ci ciąży. I jaki ten świat straszny. Jak nie dba o siebie i jaki rubaszny. Jak mówi bez pytania i podnosi rękę. Jak woła, moja kolej, i zaczyna mękę. Z samym sobą się męczy. Stęka i nie może sobie poradzić. Gdy na toalecie przyszło się posadzić. Nie jest w stanie wydaląć tego co mu ciąży. Potrzebne cięcie cesarskie, jak kobiecie w ciąży. Potrzeba wydobyc operacyjnie brudy. Gdy się to uda, krzykniesz i powtórzysz, cudy. Cudy, cudy, nad cudami. Wyczyścili światu jelita. Teraz gra jelitami. Pytanie tylko na jak długo operacja ta pomoże. Czy świat będzie już zdrowszy, czy będzie uważał co je. Czy ludzie rozumieją, że nie szanują mnie. Nie szanując siebie karają karą chłosty. Siebie samych i świat który zastali. Za nich. Za kolejnych będą kolejni śmiałkowie. Co będą chcieli zmieniać. I znowu pogotowie. I kolejna operacja. Ile jeszcze tego. Jedenasta stacja. Ile tego złego. Zło się cieszy z tego. Że trzeba operować. Znowu. Panie kolego. Kolejna operacja to kolejne zagrożenie życia. Śmierć wychodzi z ukrycia i wisi nad światem. I się tylko patrzy. Pyta się świat, ile po dwa jest. Świat odpowiada, trzy. Jeszcze dobrze. Jeszcze się udało. Połączenie nie zerwane. Jeszcze nic wielkiego się nie stało. Jeszcze mamy szansę. Jeszcze jest nadzieja. Że się odrodzimy. Że zostanie knieja. Że zostanie las. A wśród. Między nas. Odzywa się nasz czas. I poganiasz nas. Prędkiej, prędkiej do wagonu wchodzić. Bo koniec już czasu, by się z czasem pogodzić. Pogódź się więc prędko. Ze sobą i życiem. Raz pogodzony, nie skończysz w nieżycie. Mieliśmy dziś niezapowiedziane przeszukanie celi. Nie znaleźli niedozwolonych przedmiotów. Poza narzekaniem na wszędzie walające się farby i pędzle. Nie jest to w zgodzie z przepisami, ale strażnicy przymykają oko. To niegroźne. Czasami ktoś na odwiedzinach przyniesie

flaszeczkę, czy dwie dla klawiszy, żeby byli spokojniejsi. I milej parzyli na naszą celę. Tak to już jest. Na świecie. Nie tylko w niedzielę.

Lucjan maluje nowy obraz. Ale nie chce pokazać. Nie chwali się. Robi się tajemniczy. Posmutniał odkąd dowiedział się, że wychodzę. Albo tylko mi się wydaje. Może młody na nogach staje. W końcu. I z cieniem się rozstaje.

Na obiad dziś dwa naleśniki. Nas jest dwóch. Naleśniki cztery. Nie wskazują kierunków. Pachną dżemem truskawkowym. Lucjan mówi, że woli z wiśniowym. Że truskawkowy za słodki. Że w zęby go boli. Ja mam z zębami spokój. Taki koniec niedoli.

Sen. Bo pewnie na niego czekasz. Był ciekawy. Byłem rycerzem. Na białym koniu. Ale nie walczyłem na wojnach. Byłem od czego innego. Byłem od czegoś ważniejszego. Dawałem ludziom radość. W zamian, za dość. Zajmowałem się walką w turniejach rycerskich. Pokazowych i na poważnie. Walczyłem mieczem. Miecz o miecz. Odważnie. Byłem najlepszy. Prawie zawsze wygrywałem. I frajdę olbrzymią z tego tytułu miałem. Kilka turniejów w roku i dało się wyżyć. Aż pewnego razu zostałem zaproszony na wielki turniej do stolicy. Zjechali najlepsi rycerze z całej okolicy. Najlepsi z Europy. Złota widzę tropy. Będzie się działo. I się okazało. Że nieźle. Pokonałem, jednego, drugiego, trzeciego. Aż dotarłem do finału. I walczyliśmy na miecze. Król patrzy z królową. Cały dwór. Dworzanie. Kupcy. Ściągnęli wszyscy. Każdy chciał zobaczyć. Walczymy i walczymy. Uderzenie za uderzeniem. Nie ma rozwiązania. Po długiej walce zdecydowano przerwać. I zmienić broń. Miecze nie przyniosły rozwiązania, więc przyszło nam walczyć na kopie. Chwila ciszy. Wyczyszczenie głowy. I ruszamy. Ja z jednej strony, przeciwnik z drugiej. I trafienie. Trafiłem przeciwnika a on trafił mnie. Obaj spadliśmy z konia. Dalej nie ma rozwiązania. Nie ma też gadania. Król zdecydował, że o wyniku zdecyduje strzelanie z łuku. Na odległość czterdziestu metrów. 10 on. 10 ja. 8 on. 8 ja. 9 on. 9 ja. W końcu zrozumiałem. Przeciwnik ściągnął hełm. Zobaczyłem. I wszystko było jasne. To byłem ja. Walczyłem sam ze sobą. Za swoją własną zgodą.

Rozmarzony,

*Słów złodziej*

### **35 odpowiedź Dreyfusa**

Nie ma duchowości  
Bez religijności

Nie ma życia  
Bez społeczeństwa

Nie ma tycia duszy  
Bez umysłu radości

Nie ma zapominalstwa  
Bez pozorów

Nie ma pomocy  
Bez ludzkich tworów

Nie ma litości  
Bez zastanowienia

Nie ma współczucia  
Bez serca poruszenia

Nie ma białego  
Gdy czarne nie istnieje

Nie ma żółtego  
Gdy czerwony się z niego śmieje

Nie ma słowa  
Jeśli ukradzione

Nie ma zdania  
Jeśli słowa przestawione

Nie ma znaczenia  
Jeśli jest to bez znaczenia

Nie ma odpowiedzi  
Jeśli pytanie jest od niechcenia

Nie ma mnie  
Jeśli nie ma Boga

Nie ma Ciebie  
Jeśli nie dopisuje pogoda

Nie ma religii  
Jeśli nie ma prawdy

Nie ma prawdy  
Jeśli nie widzisz jej zawsze

Jaki ma sens mówienie



Seriami

Jeśli strzelasz do niewinnych  
Nabojami

Naboje to słowa  
Słowa które ranią

Nie zabijaj, mówi pismo  
Nie sprzedawaj się tak tanio

Za złość, za nienawiść i za wolę zwycięstwa  
Pozbawiłeś się szacunku, honoru i męstwa  
**36 list**

**12 kwietnia, 1 dzień wolności**

Drogi Dreyfusie,

Ostatni dzień jest zarazem pierwszym. Ostatni dzień w więzieniu zamienił się w pierwszy dzień wolności. Zakosztowałem. Przejadłem się. I zwymiotowałem zamknięciem. Zwróciłem. Wyszedłem z pustym brzuchem. Pusty w środku. Gotowy na przyjęcie Boga. I poniosły mnie nogi. Z obrazem w dłoni. Obraz od Lucjana. Prezent. Na pożegnanie. Namalował Sąd Ostateczny inspirowany freskiem Michała Anioła. I idę przez miasto z Sądem Ostatecznym. Obraz jest duży. Wszyscy oglądają. Jadę metrem. Później czekam na autobus. Wszyscy się uśmiechają. Jakby nigdy nie widzieli faceta z obrazem. Jakby pomylili mnie z jednym, czy drugim zakazem. A tak nie jest. Niczego nikomu nie zakazuję. Proszę. Dziękuję. I w barze mlecznym się stołuję. Biorę makaron ze szpinakiem i czosnkiem niedźwiedzim. Już sezon. Czosnek wyrósł. Wiosna w pełni. Nie da się smaczniej. Na da się piękniej. Zacząć nowego życia. Więc zaczynam dalej i idę do kościoła. Nie ma mszy. Jest Adoracja Najświętszego Sakramentu. Modlę się. W ciszy. Klęczę. Jedną godzinę. I następną. Siły zamiast mnie opuszczają. Przychodzą. Zbierają się. Gromadzą. Czuje jak rosnę. Czuje jak mój duch się unosi. Liczyłem na mszę. Liczyłem na Komunię Świętą. Ale to coś innego. Spotkało mnie coś wspaniałego. Adoracja. I kazanie ciszy. Cisza powiedziała, że mam tylko jedno życie. Żebym przeżył je należycie. Że mam tylko jednego Boga. Żebym chwalił go nie tylko jak trwoga. Że mam serce które tęskni. Za połączeniem. Za w Bogu istnieniem. Więc proś. Więc błagaj. I ręce rozkładaj. Dziękuj Panu za życie. Dziękuj Panu za szansę. Która Cię spotkała. I wodą święconą oblała. Szansa przyniosła nowinę. Szansa mówi, że warto. Że to ten czas. Żyć i mieć duszę otwartą. Na przyjęcie Pana. Na złączenie się z Bogiem. Cisza mnie przekonała. Żebym nie leżał odłogiem. Na końcu cisza mówi. Pomilczmy jeszcze trochę. Na końcu milczy i złoto nazywa grochem. Groch uwiera. Radość ze snu zabiera. Groch Ci przeszkodzi. Odpłynąć na Boskiej łodzi. Aby łowić co będzie. Aby spełnić przeznaczenie. Zakosztować chwili. Z Bogiem w jedności istnienie. I tak milczałem. Trzecią godzinę. Słuchałem ciszy a cisza słuchała mnie. Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Bez słów. Tak lepiej. Tak łatwiej się dogadać. Tak można wszystko lepiej wytłumaczyć. Ubrać słowa w ciszę.

Wyszedłem z Kościoła. Białego. Odbijał promienie słoneczne. Był jak statek. Na wielkim oceanie. Co nie wiadomo co się z nim stanie. Co będzie. Co dwa łabędzie. Dziobami się stykają. I myśl jedną w głowie mają.

Poszedłem do parku. Usiadłem na ławce. Zielonej. Pod kasztanowcem. Przede mną pałacyk. Dworek. Budynek co przypomina o minionych pokoleniach. Które wiedziały. Bądź zapomniały. Które chciały, lub za dużo miały. I tak siedziałem. Słońce ogrzewało mi lewy bok twarzy. Wiosna. Ciepło. Bezwietrznie i on. Jego śpiew. Ptak. Dzwoniec. Usiadł na gałęzi niedaleko mnie i śpiewa. Nigdy nie słyszałem piękniejszej muzyki. Oda do piękna. Oda do prawdy. Oda do Boga. Nie pisana. A śpiewana. Nie drukiem. A głosem. Zapomniałem o świecie. Zniknąłem. Zatopiłem się. Złałem z otoczeniem. Stałem się śpiewem. Nie moim. Zmieniłem się w życie. Tętniące radością. Bijące miłością. Tłoczące prawdę. I w środku tego wszystkiego ja. Ja którego nie ma. Ja, który nie istnieje. Ja, który kocha i ma nadzieje. Że nic już mną nigdy nie zachwieje. Że nic już się nigdy nie zmieni. I będzie jak taniec godowy jeleni. I zdeptanych w cieniu cieni. To był ten dzień, kiedy słońce cienia na rzucało. To był ten dzień w którym Najświętszy Sakrament zmienił moje ciało. W Kościół. W dom Boży. I skorzystałem. I los na loterii wygrałem. Połączyłem się z Panem. Poczuję. Nie uwierzyłem. Zrozumiałem bo był obok. Bo był we mnie. I byłby beze mnie. Dałem ku kolejną okazję, aby zmienić się w słowo. Dałem mu kolejną okazję, aby słowo zrodziło się na nowo. Sam stałem się słowem. Aż mi odjęto mowę. Po co mówić. Jak jest On. Co mądrego można powiedzieć, gdy słyhać ciszy dzwon. Pan jest pytaniem i odpowiedzią na nie. Pan jest życiem. I Cię kocha nad życie. Bo miłość rodzi miłość. I chce, abyś stał się częścią łańcucha. Tej Świętej Rodziny, co czujesz zapach jej ducha.

Sen. Pierwszy po wyjściu z więzienia. Pierwszy po siedmiu latach. Taki. Wolny. Wiosenny. Wonny. Idę w towarzystwie anioła. W ciszy. Chodzimy po Raju. Szukamy źródła życia. Nagle widzimy wspaniałe drzewo. Wyróżnia się. Wielkością i blaskiem jaki od niego bije. To drzewo poznania dobra i zła. Podchodzimy bliżej. I widzę. Jedno jabłko. Anioł popatrzył na mnie i powiedział, nie. Ja stałem wpatrzony w owoc. Po chwili przemówił do mnie. Możesz być Bogiem. Możesz dowiedzieć się to co wie Bóg. Możesz być tym, który wie. Możesz z Boga naśmiewać się. Wystarczy jeden kęs. Zerwij mnie i sprawdź. Zakosztuj i zapomnij o byciu prochem. Staniesz się więcej niż grochem. Staniesz się nauczycielem pokoleń. Bez szkół, kursów i szkoleń. Nie uwierzyłem. Owoce nie słyną z prawdomówności. Odpowiedziałem w myślach. Nabrać możesz próżniaka, a nie wolnego chłopaka. Owoc chyba usłyszał. Bo jeszcze bardziej się zaczerwienił. Poszliśmy dalej. W Raju nie ma ścieżek. Trzeba się przedzierać. Czasami torować nowe drogi. Zaznać błogości w wolności. Poszukiwać i znajdować. Znaleźliśmy drugie drzewo. Które wyróżniało się dziwnym blaskiem. Jakby złotą poświatą. To drzewo życia. Podchodzimy bliżej. Połóż na nim swoją dłoń. Dotknij kory. Poczuj jak pulsuje. Złącz się z nim. A podzieli się z Tobą swoimi życiodajnymi sokami. Stałem tak dotykając drzewa i rosnąc. Nie wiem kto bardziej urósł. Ja czy drzewo. Drzewo życia. Prawdy odkrycia. To już niedaleko. Źródło życia musi być w okolicy. I stojąc przy drzewie życia ujrzałem Go i zrozumiałem. On jest źródłem życia. Nie woda. Nie drzewo. On. Jezus we własnej osobie. Zobaczyłem go i uwierzyłem. Że On za tym wszystkim stoi. Jezus podszedł. Uśmiechnął się. Podzielił chleb i podał mi kawałek. Następnie podał mi swój kielich i pozwolił mi się z niego napić. Życie. W czystej postaci. Kto żyje, ten wiary nie traci.

Rozmarzony,

### **36 odpowiedź Dreyfusa**

Jedność z Bogiem  
To cel oddychania

Powiedz, pomyśl  
Bez wahania

Postuchaj jak śpiewa ptak  
To jest piękny znak

Który nie mówi  
A pokazuje

Jak cała ziemia  
Się dla Niego raduje

Jak cała ziemia śpiewa na Jego cześć  
Nie próbuj ziemi na barkach swoich nieść

Skup się na tym co możesz  
Na tym co wykonalne

Aby stać się częścią życia  
Jak rysunki naskalne

Które udowadniają  
Że człowiek tworzył od zawsze

Tak jak Bóg stworzył człowieka  
Tak jak Bóg na człowieka czeka

Aż uwierzy, aż zrozumie życia sens  
Że Bóg jest jeden i jeden ma kredens

W którym chowa wszystkich zainteresowanych  
Wszystkich z życiem przywitanych

Nazywa ich Świętą Rodziną  
Bo żyją. I są związani.

Ze sobą  
Boską ozdobą

Bo potrafią siłę sobie przekazywać  
Bo niewiele mają, więc nie muszą niczego zbywać

Mają tylko Boga  
I mają też siebie

Poznasz ich po oczach  
I spotkasz ich w niebie

Na ziemi nie odróżnisz ich  
Nie rozpoznasz spośród tłumu

Na ziemi są nikim  
Nie robią wiele szumu

Szumi za to ich dusza  
Cieszy się niezwykle

Że z Bogiem jest jednym  
Jeszcze tu na ziemi. Jeszcze zanim znikne

Co dalej? A jakie to ma znaczenie? Jest Bóg. Jest życie.

*Słów twórcy stał się częścią Świętej Rodziny. Tego roku wiosna nie miała końca. Nie było końca wiosny. Dla Twórcy. Dla wiosny. Dla życia.*



## Spis obrazów:

*Zdjęcie ze strony tytułowej:* Marcin z Frysztaka, Brat  
*Wiersz ze wstępu.* Marcin z Frysztaka, Przemyslenie

*Obraz końcowy:* Marcin z Frysztaka, 



**Marcin z Frysztaka**

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Marcin z Frysztaka oprowadza pielgrzymów po Niebie. Tylko od Ciebie zależy, czy zagościsz tam na stałe. Autor 14-częściowego cyklu „Powrót do źródła”. Jego książki można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie: [wilusz.org](http://wilusz.org)

Marcin napisał m.in. książkę „Poznać Jezusa to poznać miłość”, wiersze „350 uniesień duszy”, oraz cztery opowiadania. Pierwsze z nich to: „Krok za krokiem”. Cykl kończy opowiadanie „Więzienna cela w sercu słów złodzieja”. Marcin jest także autorem licznych obrazów i grafik.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:  
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Słów złodzieja” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Słów złodzieja” na wszystkie możliwe sposoby. Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Słów złodzieja” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Słów złodzieja”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Słów złodzieja”? To do dzieła!

Marak S. Wilke

Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Słów złodziej” był w całości dostępny za darmo w internecie. Kopiujcie go z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiajcie dostęp do „Słów złodzieja”. Udostępniajcie go bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

Marak S. Wilke